TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 4 (998)
23 STYCZNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

GOSPODARKA

BOGDA MADEJ

TERAZ WSZYSTKO WIDZĘ W RÓŻOWYM KOLORZE

I

— To jest przy ulicy Brzezińskiej, kawałek za cmentarzem — powiedziano mi.

Od ronda na Dołach — jak się później okazało — do nowej fabryki jest dobre 15 minut piechotą. Niedaleko fabryki zatrzymują się autobusy MPK. Tak na pierwszy rzut oka wydaje się to niedaleko, ale kiedy człowiek ruszy piechotą do tej części fabryki, która już ruszyła, to musi przejść znacznie więcej niż kilometr. Niektórzy mówią: — dobre półtora kilometra. Trzeba bowiem ominąć plac budowy.

Szłam tą drogą i klęłam sobie cichutko. Ale ja tu szłam raz, a oni, ci którzy tu pracują, muszą chodzić codziennie. Koparki łopatkami rozgrzebywały grunt dobrze już podmarznięty, ładowały go na wywrotki. Spychacze równały ziemię. Ciężarówki jeździły bez opamiętania. Normalna budowa. I tam, w końcu tego wielkiego, porozjeżdżanego placu fabryczne budynki.

Doszłam wreszcie. Obejrzałam się na przebytą drogę. Przekroczyłam próg nowej fabryki i zapytałam o kierownika dziewiarni Zakładów Przemysłu Pończoszniczego „Feniks" — *WOJCIECHA GRABOWSKIEGO.*

Najpierw obeszliśmy to, co już zbudowano i to, co się jeszcze buduje. Pełna koegzystencja dziewiarzy, a ściślej — pończoszników — z budowlanymi. Przypomina to trochę generalny remont

Dalszy ciąg na str. 5

ŁÓDŹ

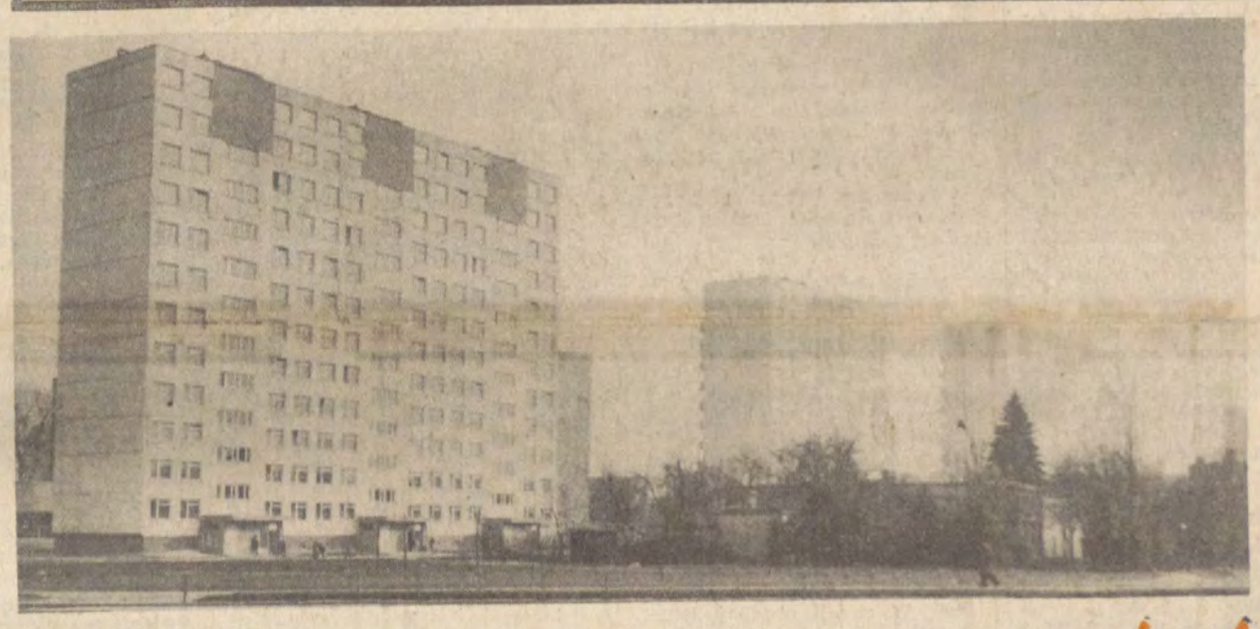

RZECZYWISTOŚĆ WYPRZEDZA nasze MARZENIA

Rozmowa z I Sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR, Przewodniczącym Rady Narodowej M. Łodzi – tow. BOLESŁAWEM KOPERSKIM

— Towarzyszu Sekretarzu, w minionym sześcioleciu Łódź osiągnęła stopień rozwoju bez precedensu w jej historii. Jakie z tych przemian uznalibyście za najważniejsze?

— Te wszystkie, które wpłynęły na poprawę warunków pracy i życia mieszkańców naszego województwa. Mam na myśli przede wszystkim tych 37 nowych zakładów przemysłowych i ponad 100 zmodernizowanych. Dzięki nim w minionym pięcioleciu produkcja przemysłowa w stosunku do 1971 roku wzrosła o 71 procent. Pragnę podkreślić, iż zakres modernizacji starych zakładów był szeroki, modernizowano poszczególne oddziały produkcyjne, obiekty zaplecza socjalnego, jak stołówki, bufety, szatnie, urządzenia sanitarne, urządzenia rekreacyjne i inne. Modernizowano także gruntownie całe zakłady od piwnic aż po dachy.

W nowoczesnych fabrykach praca jest nie tylko lżejsza, lecz także przyjemniejsza, daje o wiele więcej satysfakcji, można bowiem produkować wyroby o wysokim standardzie, artykuły lepsze, w szerokim asortymencie, poszukiwane na rynku wewnętrznym chętnie widziane na rynkach zagranicznych.

Większość łodzian nie zdaje sobie nieraz sprawy, że w starych murach, które widują codziennie, zainstalowano nowoczesne maszyny, że wybudowano doskonałą klimatyzację, że warunki pracy wewnątrz wielu starych murów uległy generalnej zmianie.

Następna sprawa to budownictwo mieszkaniowe. Łodzianie zawsze żyli w niezmiernie trudnych warunkach mieszkaniowych, również długo po 1945 roku, do chwili, kiedy władza ludowa zaczęła realizować szeroki program budownictwa mieszkaniowego. W ciągu ostatnich sześciu lat nastąpiła w Łodzi i województwie wyraźnie odczuwalna poprawa warunków mieszkaniowych. Oddano w tym czasie do użytku, łącznie z rokiem 1976, 226 tysięcy izb mieszkalnych. To tak, jakby obok Łodzi wybudowano zupełnie nowe, blisko 400-tysięczne miasto.

Pragnąłbym tu zwrócić uwagę na pewien istotny fakt. Mieszkańcy nowych osiedli, korzystając z dobrodziejstw nowoczesnych mieszkań, dzięki kulturalnym warunkom byt u ulegają pozytywnym wpływom kształtującym kulturę życia codziennego.

Wraz z poprawą warunków pracy i warunków mieszkaniowych nastąpił bardzo wydatny wzrost płac mieszkańców naszego województwa. I tak średnia płaca w gospodarce uspołecznionej w końcu 1970 roku wynosiła około 2.200 zł, w końcu 1975 r. — 3.380 zł. Obecnie średni poziom płacy w naszym województwie wynosi 3.900 złotych. Określa się, iż wskaźnik wzrostu płac realnych wyniósł ponad 40 procent.

Dalszy ciąg na str. 3

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

KONRAD FREJDLICH

Z ŁÓDKĄ w herbie

Chciałoby się rzec: na początku było słowo. I tak zresztą było rzeczywiście. Wyłoniony przez oddział Związku Literatów Polskich komitet organizujący Wydawnictwo Łódzkie działał na słowo honoru. Czasy nie były łatwe. Łódź przestała być od dawna stolicą kulturalną Polski, a nie stała się jeszcze miastem posiadającym własne środowisko kulturalne. Tak się przynajmniej wydawało. Pisarze czekali na debiut latami, jeśli nie zmieścili się w centralnym rozdzielniku. Z opóźnieniem wydał swój debiutancki tom wierszy Tadeusz Chróścielewski („Czytelnik"), długo czekał na swe, opublikowane po raz pierwszy w książce, wiersze znakomity poeta Jan Czarny („Iskry").

Ale nawet wtedy, w złych dla Łodzi latach, kształtowało się tu coś, co dziś owocuje dziesiątkami książek o ogólnopolskim znaczeniu: prężne środowisko pisarskie, autentycznie związane ze swym miastem. Byli mu wierni od samego początku Władysław Rymkiewicz i Jan Huszcza, podjęła flirt z Łodzią wybitno pisarka Wanda Karczewska, za nimi przyszli inni.

Czytelnik wybaczy mi w tej chwili, że sięgam po bagaż osobistych doświadczeń, ale miałem szczęście znać, a nawet przyjaźnić się ze Stanisławem Czernikiem. Ten wielki poeta, który po wojennych peregrynacjach zdecydował się na osiedlenie w Łodzi wpłynął ożywczo na tracące z wolna wiarę w siebie środowisko pisarskie, tchnął w nie zarówno ducha buntu, jak i działania. Odgrzebana pośród starych papierów notatka służbowa głosi:

„Działalność Wydawnictwa Łódzkiego otwiera data 1 stycznia 1957 roku. Przygotowanie założeń organizacyjnych i programowych przyszłej placówki edytorskiej władze polityczno-administracyjne miasta powierzyły Komitetowi Organizacyjnemu wyłonionemu przez Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi i Łódzką Spółdzielnię Wydawniczą.

Posiedzenie inaugurujące prace Komitetu w zespole: Stanisław Czernik, Leon Gomolicki, Franciszek Hetman, Tadeusz Jaskuła i Juliusz Saloni, odbyło się we wrześniu 1956 r. 1 stycznia (1957 r.) Komitet Organizacyjny przekształcił się w zespół redakcyjno-wydawniczy, sygnujący wydawane książki imieniem własnym: Wydawnictwo Łódzkie i imieniem jednostki patronującej — Łódzka Spółdzielnia Wydawnicza".

W ten sposób wiemy już jak doszło do powstania instytucji, która obchodzi dziś jubileusz dwudziestolecia swego powstania. Powiedzmy sobie jednocześnie: placówki, która odegrała nieocenioną rolę w dziejach kulturalnej Łodzi. Tych minionych dwadzieścia lat to przecież zarazem bilans tego, co dokonało się w kulturze naszego miasta. Bilans oczywiście cząstkowy, ponieważ nie tylko pisarze tworzą dobra, które stają się własnością całego narodu.

A jednak trudno wyobrazić sobie nasze życie kulturalne bez obecności oficyny wydawniczej, która od swego zarania posiada łódkę w herbie. Więcej, trudno wyobrazić sobie pejzaż współczesnej Polski bez Wydawnictwa Łódzkiego. Kiedy piszę te słowa nie przemawia przeze mnie sen-

Dalszy ciąg na str. 8

A.B.C...

KURDYSTAN

Kurdystan jest górzysty. Najwyższy szczyt Resko ma 4 168 metrów ponad poziom morza. Kraina podzielona jest między trzy państwa: Turcję, Irak i Iran. Ale Kurdowie mieszkają nie tylko w tych trzech państwach.

Nazwa Kurdystan pojawiła się w XI wieku. W połowie XVI wieku Kurdystan należał do Turcji, ale pretensje do tej krainy rościła sobie Persja. Stąd w następnych wiekach, aż po wiek XIX trwa nieustanny spór o Kurdystan między Turcją i Persją. Dla Persji był to jednakże, spór beznadziejny, nie rokował bowiem pozytywnego zakończenia, jako że Persja wówczas nie stanowiła takiej potęgi, która mogłaby przeciwstawić się Turcji. Kurdowie natomiast wzniecali w tych czasach liczne powstania, walcząc o niepodległość.

Problem Kurdystanu i Kurdów ponownie stał się aktualny po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Imperium tureckie zostało podzielone, a traktat zawarty w Sèvres w 1920 roku obiecywał Kurdom niepodległość. Jednakże niepodległe państwo Kurdów nigdy nie powstało, chociaż problemem niepodległości Kurdów zajmowała się w latach 1924—1925 Liga Narodów.

„Encyklopedia Powszechna PWN" (Warszawa 1974) podaje, że według danych z 1967 roku Kurdów jest około 8 milionów. W Iraku stanowią oni około 18 procent ludności tego kraju. W Iranie zamieszkują w dwu rejonach administracyjnych: Kurdystanie i Kermanaszahanie. W Turcji stanowią największą grupę ludności wśród mniejszości narodowych i oficjalne źródła utrzymują, że jest ich tam 2,5 miliona. Stanowią też mniejszości narodowe w Syrii i ZSRR.

W roku 1926 między Wielką Brytanią, Turcją i Irakiem zawarto porozumienie, na podstawie którego Kurdystan turecki został podzielony między Turcję i Irak. Nie rozwiązało to kwestii kurdyjskiej, a Kurdowie wzniecili powstania w 1925, 1930, 1935 roku. W Iranie, 1922 roku i 1924, a więc jeszcze przed dezycją o podziale, przed ostatecznym przekreśleniem nadziei, jakie im dawał traktat z Sèvres. W Turcji, która usiłowała wprowadzać w życie politykę asymilacyjną, Kurdowie wznieclli powstania w 1925, 1930, 1935 roku. W Iranie pod koniec drugiej wojny światowej, powstały autonomiczne rządy w irańskim Azerbejdżanie i Kurdystanie. Stłumiono je w 1945 roku. W Iranie uważa się, że Kurdowie są blisko spokrewnieni z Irańczykami i nie powinno to stanowić kwestii narodowościowej. Ale jest to pogląd Irańczyków.

Interesujący jest pogląd rzecznika Kurdyjskiej Partii Demokratycznej, która powstała w 1946 roku i kieruje walką wyzwoleńczą Kurdów zamieszkujących Irak. Pogląd ten przytoczyła niedawno agencja „Reutera", stwierdzając, że według Kurdyjskiej Partii Demokratycznej, Kurdów jest 18—20 milionów, z czego 9 milionów mieszka w Turcji, 6 milionów w Iranie, 3 miliony w Iraku, pół miliona w Syrii i około 300 tysięcy w Związku Radzieckim. „Reuter" zwraca też uwagę, że Kurdyjska Partia Demokratyczna ożywiła ostatnimi czasy swoją działalność, a według opinii jej londyńskiego rzecznika usiłuje ona nawiązać kontakty z Kurdami zamieszkującymi Turcję, Iran i Syrię, aby opracować wspólną linię postępowania w walce o niepodległość i zainteresować tą walką różne organizacje międzynarodowe i ONZ.

W Iraku — po drugiej wojnie światowej — Kurdowie podjęli walkę o niepodległość w 1946 roku. Następne powstanie wybuchło w 1961 roku i trwało z przerwami i różnym powodzeniem do 1970 roku. W 1958 roku nowo powstała republika Iraku zapowiedziała w tymczasowej konstytucji przyznanie Kurdom autonomii, ale przyrzeczenie pozostało tylko na papierze. Kurdowie porwali się więc do walki, która zakończyła się w 1970 roku, kiedy to czwarta od 1958 roku tymczasowa konstytucja znów obiecywała Kurdom autonomię, ale też uznawała ich jako odrębną narodowość. Jednakże i to posunięcie nie rozwiązało problemu kurdyjskiego w Iraku.

Kiedy w 1926 roku przekreślono nadzieje Kurdów na niepodległość i dzielono były turecki Kurdystan między Turcję i Irak niewielkie miasto na skraju Kurdystanu przyznanemu Irakowi nie jeszcze nie znaczyło. Dziś Kirkuk to wielkie pola roponośne, tu wydobywa się około dwóch trzecich irackiej nafty. Przez wiele lat było tu królestwo Iraq Petroleum Company, ale teraz zyski czerpane z nafty mają służyć Irakowi. Kirkuk stał się więc punktem zapalnym w kurdyjsko-irackim sporze. Oficjalne uznanie Kurdów jako odrębną narodowość Iraku, posiadającą prawo do autonomii i tę autonomię im przyznającą, miało jeden mankament. Nie określało granic terenów autonomicznych. Tam, gdzie obie strony nie mogłyby dojść do porozumienia, miano przeprowadzić spis ludności. Ale Mustafa Barzani, który od 1961 roku stał na czele kurdyjskiego powstania, nie chciał uznać tej zasady w przypadku Kirkuku. Uważał, że Kirkuk jest bezspornie kurdyjskim i nic do tego nie mają żadne spisy. Chciał, aby Kurdowie mogli bezpośrednio uczestniczyć w zyskach z kirkuckiej nafty, a nie za pośrednictwem rządu w Bagdadzie. Wydana w 1971 roku przez rząd bagdadzki Karta Narodowa potwierdziła prawo Kurdów do autonomii, ale sporu nie rozstrzygnęła. Po 4 latach rozejmu w 1974 roku znów doszło do walk w irackim Kurdystanie.

Bagdad oskarżał wtedy Teheran o podsycanie kurdyjskiego separatyzmu, jako że wówczas toczył się spór między Iranem a Irakiem o granicę na rzece al—Arab. Władzom w Teheranie nie bardzo w smak był separatyzm kurdyjski, jako że i sami posiadają mniejszość kurdyjską. Ale również nie w smak było zbliżenie Iraku ze Związkiem Radzieckim, nic więc dziwnego, że służyli powstańcom kurdyjskim pomocą. Ale w marcu 1975 roku dochodzi do pojednania między Irakiem a Iranem. Bagdad ustąpił w sprawie granicy na rzece al—Arab, a Teheran zamknął granicę w Kurdystanie. Rząd w Bagdadzie ogłosił więc amnestię dla kurdyjskich powstańców, odrzucając wszelkie nadzieje na jakiekolwiek negocjacje Mustafy Barzaniego z Bagdadem. Na początku kwietnia 1975 roku kilka tysięcy kurdyjskich powstańców złożyło broń, ale niektóre oddziały wraz z Mustafą Barzinim przeszły do Iranu. Rząd w Bagdadzie ogłosił więc amnestię dla tych, którzy powrócą z Iranu. Wróciło około 90 tys. Kurdów. Mustafa Barzini pozostał i do dziś mieszka pod Teheranem. Nie jest jednak dla Iranu postacią najwygodniejszą, jest osamotniony i opuszczony. Odsunęli się od niego niektórzy działacze Kurdyjskiej Partii Demokratycznej.

Czy problem kurdyjski w Iraku został rozwiązany? Podana niedawno przez PAP informacja o uprowadzeniu przez partyzantów kurdyjskich grupy polskich specjalistów wydaje się wskazywać, że nie ma spokoju w irackim Kurdystanie, a Kurdowie nie zrezygnowali z walki o niepodległość. Przy tej okazji „Reuter" poinformował, że w grudniu 1976 roku partyzanci kurdyjscy dokonali zamachu na gubernatora prowincji Sulejmanieh w Iraku. Władze irackie zaprzeczają tej informacji, która pochodzi od rzecznika Kurdyjskiej Partii Demokratycznej w Londynie.

Uprowadzeni polscy specjaliści byli zatrudnionymi w Iraku pracownikami prowadzącymi prace melioracyjne. Prace te prowadzili na mocy kontraktów zawartych przez „Polservice". Obecnie polscy specjaliści pełnią różne funkcje w 50 krajach, z którymi „Polservice" zawarł przeszło 1 500 kontraktów. Największe kontrakty zawarto właśnie z Irakiem. Przebywa tam obecnie 130 polskich specjalistów, którzy opracowują koncepcje budownictwa mieszkaniowego, zakładają sieć geodezyjną, opracowują mapy topograficzne i prowadzą prace melioracyjne.

Uprowadzenie polskich inżynierów odbyło się nie bez powodu. Rząd w Iraku stara się bowiem przesiedlać rodziny buntujących się Kurdów na południe kraju. Jerzy Chociłowski cytował niedawno w „Kontynentach" (nr 10, 1976 rok) wypowiedź przewodniczącego Rady Wykonawczej autonomicznego Kurdystanu, wysokiego działacza KPD — Haszima Akrawi.

„— Tak, były transfery ludności — powiedział premier H. Akrawi. — Każdy system ma prawo się bronić, gdy jest zagrożony. Deportowano zresztą głównie elementy najbardziej buntownicze, niespokojne, kryminalne nawet. Łącznie koło 30 tysięcy osób. Nie jest to zasadatylko wyjątkowy środek zapobiegawczy".

Ten środek — jak twierdzą „Reuter" i AFP — zastosowano i obecnie. Stąd uprowadzenie Polaków, aby w zamian za ich uwolnienie rodziny kurdyjskie mogły powrócić do Kurdystanu. W Bagdadzie — jak to napisał J. Chociłowski w „Kontynentach" — uważa się, że nie ma „problemu kurdyjskiego", jest najwyżej „kwestia kurdyjska". Kurdowie widać chcą pokazać, że uważają inaczej. Z czego wcale nie wynika, aby można było usprawiedliwiać terror niezależnie od tego jakim on celom służy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LAUREACI

NAGRODY MIASTA ŁODZI

Wzorem lat poprzednich, również i w tym roku z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi w siedzibie Urzędu Miasta Łodzi odbyła się podniosła uroczystość. Prezydium Rady Narodowej M. Łodzi przyznało sześciu zasłużonym dla rozwoju naszego miasta łodzianom nagrody.

Laureatami zostali:

WACŁAW BILIŃSKI

Wacław Biliński znany jest miłośnikom literatury już od dawna i to nie tylko w Łodzi. Poza pracą pisarską, która jest wyjątkowo owocna: ma w swoim dorobku utwory powieściowe takie jak „Lato po wojnie", „Nagrody i odznaczenia", „Los i łut szczęścia", „Wrócić do siebie": para się także pisaniem słuchowisk radiowych. Ceniony jest również jako autor widowisk telewizyjnych i scenariuszy filmowych.

Twórczość Bilińskiego zyskała wielu zwolenników zarówno wśród krytyków, jak i czytelników.

Wyrazem tej popularności i wysokiego uznania dla osobowości twórczej jest przyznanie mu wielu nagród literackich. M. in. otrzymał główną nagrodę w konkursie literackim z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej, jest dwukrotnym laureatem nagrody ministra Obrony Narodowej, a także nagrody ministra Kultury i Sztuki.

Obecnie Wacław Biliński już od wielu lat związany jest z Łódzką Rozgłośnią Polskiego Radia. W latach 1964—68 był redaktorem naczelnym naszego pisma.

Odznaczony jest m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

MIECZYSŁAW JAGOSZEWSKI

Mieczysław Jagoszewski już od ponad 50 lat zajmuje się dziennikarstwem. Od najwcześniejszych lat swojej zawodowej działalności związany jest z Łodzią. Jego świetne artykuły, recenzje teatralne, felietony znane już były czytelnikom przedwojennych pism „Hasło", „Rozwój", „Express", „Republika". W chwili obecnej Jagoszewski związany jest na stałe z „Dziennikiem Popularnym".

Pasją życiową sędziwego laureata jest nie tylko dziennikarstwo. Posiada w swoim dorobku prace literackie. Jest autorem licznych nowel i powieści. Są to powieści obyczajowe dotyczące życia w przedwojennej i okupacyjnej Łodzi.

Jagoszewski jest wielkim miłośnikiem naszego miasta. Był jednym z inicjatorów powołania do życia Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Często na łamach naszej prasy propagował ideę odbudowy pomnika Tadeusza Kościuszki i ruin więzienia w Radogoszczu.

Mieczysław Jagoszewski jest odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

ANTONI MAJAK

Zasłużony aktor, śpiewak operowy i reżyser. Wkrótce będzie obchodził uroczystość 50-lecia pracy na scenie. Obecność jego w Łodzi datuje się od września 1960 r., kiedy to obejmuje kierownictwo Opery Łódzkiej. Wcześniej, tuż po wojnie pracował w Operze Śląskiej w Bytomiu. Później w Operze Stanisława Moniuszki w Poznaniu.

Za swoją działalność społeczną i artystyczną Antoni Majak odznaczony został m. in. Orderem Sztandaru Pracy II klasy.

WIESŁAW ŁASIŃSKI

Generał brygady profesor dr Wiesław Łasiński już od wielu lat kieruje Instytutem Biologiczno-Morfologicznym WAM. W latach 1965—72 był rektorem tej uczelni. Jest wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Anatomicznego, członkiem Rady Naukowej ministra Obrony Narodowej d/s Medycyny i Farmacji Wojskowej. Nagrodę m. Łodzi otrzymał jako dowód uznania dla jego osiągnięć medycznych oraz dydaktycznych.

Wiesław Łasiński jest autorem podręczników medycznych, recenzentem prac doktorskich i habilitacyjnych.

Prof. W. Łasiński odznaczony został m. in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem za Odrę, Nysę i Bałtyk.

EDWARD SZWARCSZTAJN

Edward Szwarcsztajn jest Dyrektorem Instytutu Papiernictwa i Maszyn Papierniczych Politechniki Łódzkiej. Członek Komitetu Drewna PAN, Polskiego Towarzystwa Chemicznego, Międzynarodowej Akademii Nauk o Drewnie w Wiedniu, naukowych towarzystw papierniczych we Francji, Anglii, USA i Australii.

Jest wybitnym naukowcem w swojej dziedzinie, w jej ramach stworzył własną szkołę naukową, która cieszy się dużym autorytetem w międzynarodowym świecie naukowym.

Szwarcsztajn jest autorem wielu prac naukowych i artykułów poświęconych papiernictwu. M. in. dzięki niemu Łódź stała się jednym z bardziej cenionych w Polsce ośrodkiem papiernictwa.

E. Szwarcsztajn odznaczony jest Orderem Sztandaru II Klasy.

WŁADYSŁAW WELFE

Władysław Welfe jest prorektorem Uniwersytetu Łódzkiego, przewodniczącym Rady Naukowej przy prezydencie m. Łodzi, członkiem licznych towarzystw naukowych.

Nagrodę m. Łodzi uzyskał za ogromne osiągnięcia naukowe i dydaktyczne w zakresie materii i jej wykorzystania w gospodarce narodowej. Stworzył na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego kierunek ekonometrii, którym zresztą z ogromnym powodzeniem kieruje do chwili obecnej.

W dorobku naukowym prof. W. Welfe znajduje się wiele prac i rozpraw naukowych.

W. Welfe odznaczony został m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

KULTURA

DNI KULTURY CZECHOSŁOWACKIEJ

W tym roku po raz pierwszy w Łodzi zorganizowano Dni Kultury CSRS. Impreza, której gospodarzami jest Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji oraz Łódzki Dom Kultury trwać będzie od 14—29 I 1977 r. Na spotkaniu inauguracyjnym obok przedstawicieli z Wydziału Kultury Urzędu m. Łodzi, obecni byli goście czechosłowaccy, lektor KC KPCz. doc. dr J .Bobok i dyrektor Czechosłowackiego Ośrodka Kultury i Informacji dr J. Pastrnak. W przemówieniu inaguracyjnym dr Pastrnak mówił o ogromnej roli jaką Czechosłowacki Ośrodek Kultury przywiązuje do organizowanych właśnie w Łodzi Dni Kultury swojego kraju. Wskazał także na specjalny termin, w jakim impreza ta jest prezentowana: otóż zbliża się marzec, a właśnie w tym miesiącu mija 10 lat od podpisania układu o przyjaźni i wzajemnej współpracy między PRL i CSRS.

Dużo na tym spotkaniu mówiło się także o innych formach prezentacji kultury naszych południowych sąsiadów w Polsce. Sześć województw współpracuje stale z analogicznymi czechosłowackimi jednostkami administracyjnymi. Istnieje między nimi ciągła wymiana doświadczeń w zakresie organizacji życia kulturalnego swoich regionów: wymiana imprez kulturalnych, przedstawień teatralnych itp. Ponadto w ciągu ostatniego roku w 42 województwach naszego kraju odbyły się dni kultury CSRS.

W ciągu 15 dni trwania właśnie rozpoczętej imprezy zaprezentowanych zostanie łódzkiej publiczności wielu ciekawych artystów m. in. Irina Svercowa. Obejrzeć będzie można kilka nowych, nie wyświetlanych jeszcze w Polsce filmów, zarówno fabularnych jak i oświatowych. Wygłoszone zostaną referaty i prelekcje.

zasługują jednak przygotowane

Na szczególne wyróżnienie zasługują jednak przygotowane przez Czechosłowacki Ośrodek Kultury wystawy. M. in. interesująca ekspozycja malarstwa czeskiego XX w. Złożą się na nią dzieła M. Alesza, Antonina Slavicka, Jana Preislera, Bohumila Kubicka, Emila Filla, Josefa Capka, Vaclava Spala i innych. Warto w tym miejscu podkreślić, że Galeria Zachodnioczeska, z której zbiorów pochodzą prezentowane na wystawie dzieła należy dziś do najwybitniejszych placówek tego typu w CSRS.

Druga równie ciekawa wystawa grafiki Vladymira Suchanka. Vladymir Suchanek należy do młodego pokolenia twórców czechosłowackich, tym nie mniej zajmuje już dosyć eksponowane miejsce wśród najwybitniejszych.

Poza imprezami, o których już wspomnieliśmy, warto polecić jeszcze mieszkańcom naszego miasta wystawę fotogramów L. Janacka, a także wystawę karykatur M. Nydla.

Interesująco zapowiadają się również koncerty muzyczne „Kwintetu Dętego", a także prezentacja najnowszych nagrań fonoteki czechosłowackiej.

Przypomnijmy jeszcze, że większość imprez organizowana jest w Łódzkim Domu Kultury oraz w ZDK ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex".

INFORMACJE

PIOTRKOWSKIE ZABYTKI

Piotrkowska starówka, zabytkowy zespół ulic i domów budowanych od XVII wieku — przywracany jest do dawnej świetności. Przeprowadzono m.in. badania murów obronnych, stare budynki rynku trybunalskiego otrzymały nowe elewacje. Zespół staromiejski będzie zamknięty dla ruchu kołowego. Kompleksowe zagospodarowanie staromiejskiego zespołu Piotrkowa Trybnalskiego pozwoli przywrócić pierwotne wielu obiektom, a całemu temu rejonowi miasta — wartość urbanistyczne.

KSIĄŻKI O SZTUCE

Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe opublikowały kilka ciekawych serii książek mówiących o sprawach sztuki. Poszczególne tomiki znikają szybko i edytor przystępuje do wznowienia wyczerpanego tytułu (ostatnio „Impresjonizm" Zdzisława Kępińskiego).

W serii „Style — Kierunki — Tendencje" otrzymaliśmy nową pracę Zygmunta Świechowskiego, Lesława Nowaka i Bronisławy Gumińskiej „Sztuka romańska", w serii „Kultury starożytne i cywilizacje pozaeuropejskie" — II tom pracy Fredericka J. Dockstadera „Sztuka Ameryki", a w serii „Artystyczna stolica świata" — książkę Michała Iljina „Moskwa".

POLSKIE ARTYSTKI ODZNACZONE WE FRANCJI

W salonch paryskiej „Olimpii" odbyła się uroczysta dekoracja wysokim międzynarodowym odznaczeniem artystycznym „Ordre International des Arts-Ordre de l'Education Artistique" polskiej piosenkarki Ewy Demarczyk i przebywającej stale w Paryżu pianistki Ewy Osińskiej-Mitko. Odznaczenia wręczył przewodniczący „orderu" Bruno Coquatrix. Podkreślił on wysokie walory artystyczne sztuki prezentowanej przez obie Polki, ich wkład w upowszechnienie najwyższych osiągnięć muzyki polskiej we Francji oraz w pogłębienie więzów przyjaźni polsko-francuskiej.

ZMARŁ TWÓRCA FILMOTEKI FRANCUSKIEJ

13 stycznia br. zmarł w Paryżu w wieku 62 lat Henri Langlois, założyciel filmoteki paryskiej — Centralnego Archiwum Filmowego Francji będącego jedną z największych tego typu placówek na świecie.

LIGAWKOWE KONCERTY

W Ciechanowcu w woj. łomżyńskim odbył się drugi z kolei konkurs gry na ligawce. Ten ciekawy, od dawna znany instrument ludowy, w różnych częściach kraju nosi różne nazwy. Na Mazowszu i Podlasiu — ligawka, na Podhalu — trombita, zaś na Pomorzu — bazun. Grę na ligawce i związane z tym obyczaje postanowili przypomnieć działacze Towarzystwa Miłośników Ciechanowca i miejscowego Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka. Nie tak odległe to czasy, gdy w podlaskich, mazowieckich i kurpiowskich wioskach grajkowie wygrywali na ligawkach oryginalne melodie, zaś głos instrumentów niósł się nieraz nawet na odległość 10 km. W czasie wojny hitlerowcy surowo karali za granie na ligawkach, słusznie odczytując je jako sygnały ostrzegawcze dla partyzantów.

W konkursach biorą udział grajkowie, którzy przejęli ligawki po swoich ojcach, braciach, sąsiadach, a grają z myślą o potrzebie przedłużenia pięknej tradycji. W Muzeum im. K. Kluka znajduje się kilkanaście starych ligawek. Laureatem ostatniego konkursu został młody rolnik z Tymianki — Józef Tymiński.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

RZECZYWISTOŚĆ WYPRZEDZA nasze MARZENIA

Dalszy ciąg ze str. 1

— Towarzyszu Sekretarzu, w ciągu tych minionych lat nastąpiła ogromna poprawa warunków pracy, wydatnie wzrosły płace, oddano do użytku ponad 200 tysięcy nowych izb mieszkalnych. Co ponadto zmieniło się na lepsze w warunkach bytowych mieszkańców Łodzi i województwa?

— Bardzo wiele. Np. zrównanie uprawnień pracowników fizycznych z uprawnieniami pracowników umysłowych, płatne zwolnienia w celu opieki nad chorym dzieckiem, szereg uprawnień dla kobiet pracujących, zwiększenie możliwości wypoczynku urlopowego w domach FWP, leczenie w sanatoriach, rozbudowa bazy materialnej służby zdrowia, a więc uruchomienie dalszych ośrodków zdrowia w nowych i starych osiedlach mieszkaniowych, zwiększenie ilości łóżek szpitalnych, rozbudowa bazy rekreacyjno-wypoczynkowej, dla młodzieży szkolnej i inne.

— Na łamach naszego tygodnika wiele uwagi poświęcamy sprawom kultury, nauki i oświaty. Łódź dopiero po wyzwoleniu stała się miastem akademickim. Ale od tego czasu łódzki ośrodek naukowy znacznie się rozwinął.

— Duży krok naprzód zrobiliśmy w zakresie rozbudowy zaplecza i bazy materialnej szkolnictwa wyższego. 2 ośrodki naukowo-badawcze Polskiej Akademii Nauk otrzymały nowe pomieszczenia po byłych urzędach, zlikwidowanych wskutek reorganizacji administracji terenowej. Trzeci: Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych otrzymał nowy gmach przy ul. Bocznej. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych otrzymuje piękny, nowoczesny gmach na Dołach, nowy pawilon, wyposażony w urządzenia naukowo-badawcze na najwyższym światowym poziomie otrzymał Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej. Nowe pomieszczenie otrzymał Wydział Inżynierii Chemicznej PŁ, w budowie znajduje się gmach Instytutu Papiernictwa PŁ. Wydział Elektryczny tej uczelni dostał duże obiekty po Zakładach im. K. Świerczewskiego. Uniwersytet Łódzki otrzymał budynek po Komitecie Dzielnicowym Łódź-Polesie, dwa gmachy przy al. T. Kościuszki, nowy pawilon Wydziału Prawa przy ul. G. Narutowicza oraz szereg obiektów o wielu metrach kwadratowych powierzchni użytkowej — po zlikwidowanych instytucjach i urzędach.Poza tym Politechnice Łódzkiej i Uniwersytetowi Łódzkiemu przekazano do użytku — łącznie — sześć gmachów stanowiących obiekty socjalne. W tym: dwa nowe domy 10-piętrowe dla potrzeb studentów i młodych naukowców, jeden hotel dla asystentów oraz dwa domy akademickie dla studentów PŁ i jeden dla studentów UŁ. Nowy pawilon na Dąbrowie otrzymał Doświadczalny Zakład Techniki Cieplnej.

Wiele innych obiektów otrzymają nasze wyższe uczelnie niebawem, jeszcze inne są w bardzo zaawansowanych stadiach budowy i zostaną przekazane do użytku w niedalekiej przyszłości. Pomijam tu oczywiście inwestycje dopiero co rozpoczęte, jak na przykład imponujące Centrum Kliniczno-Dydaktyczne Akademii Medycznej.

— Nie we wszystkich dziedzinach życia jednak obserwujemy jednakowe tempo rozwoju. Dotyczy to na przykład tego, co nazywamy budownictwem towarzyszącym.

— To prawda, chociaż w okresie minionych sześciu lat przybyło nam ponad 90 tysięcy m² powierzchni sklepowej, 42 tysiące m² powierzchni usługowej i 3.500 miejsc konsumenckich w gastronomii, to wyraźnie widzimy konieczność przyśpieszenia budowy dalszych obiektów handlowo-usługowych. Wymagają tego stale rosnące potrzeby mieszkańców Łodzi i województwa.

W 1977 roku należy oddać do użytku ponad 17 tysięcy m² powierzchni sklepowej, 6.600 m² powierzchni usługowej i około tysiąca miejsc konsumenckich.

— Obok szybkiego postępu w rozwoju przemysłu i budownictwa mieszkaniowego nastąpił także widoczny postęp w rozwoju życia kulturalnego, nauki, gospodarki komunalnej itp.Czy w latach 1977—90 polityka ta będzie kontynuowana?

— Jak już wspomniałem wcześniej, wiele zrobiliśmy w dziedzinie rozwoju wyższych uczelni. Władze miasta dbały o rozwój życia kulturalnego. Co prawda w minionym sześcioleciu wybudowaliśmy zaledwie jedno kino, zresztą piękne, ale w tym czasie powstało w dzielnicach miasta wiele nowych bibliotek. Liczne zakłady pracy w Łodzi i województwie pobudziły do życia, lub stworzyły od podstaw zespoły artystyczne, taneczne, muzyczne, chóralne i inne. Uważam, że wysiłek i administracji zakładów przemysłowych, nie tylko zresztą przemysłowych, i związków zawodowych na rzecz rozwoju życia kulturalnego w Łodzi i województwie jest duży. Godny podkreślenia jest stały rozwój łódzkich teatrów. Prezentują one repertuar interesujący i wartościowy, akceptowany przez łódzką widownię teatralną oraz wysoki poziom artystyczny.

Na potrzeby kultury, między innymi muzealnictwa, do którego przywiązujemy dużą wagę, oddaliśmy gmach przy ul. Ogrodowej, rekonstruujemy także niektóre stare pofabrykanckie pałacyki. Te kierunki działania będziemy kontynuować. Podejmujemy konkretne decyzje, żeby umacniać pozycje naszych rozwijających się środowisk twórczych — plastycznego, teatralnego, literackiego, muzycznego. Na sercu leżą nam problemy rozwojowe Filharmonii i Teatru Wielkiego. Wysoka pozycja naszej Opery oraz Filharmonii w skali kraju i ich liczne sukcesy zagraniczne niezmiernie radują mieszkańców Łodzi.

— V Plenum KC PZPR określiło program rozwoju kraju na bieżące pięciolecie. Jakie konkretne zadania z tego programu wynikają dla województwa?

— W latach, które nadchodzą, będziemy rozwijać te kierunki produkcji, której wyroby są społeczeństwu najbardziej potrzebne, których brak sprawia ludziom najwięcej problemów. A zatem permanentny rozwój produkcji rynkowej.

W dalszym ciągu utrzymamy wysoką dynamikę budownictwa mieszkaniowego, oddając do użytku w latach 1976—80 co najmniej 3.400 tys. m² powierzchni użytkowej, tj. o 31 proc. więcej niż w ubiegłej pięciolatce.

W rolnictwie nie uniknęliśmy zahamowań w produkcji, a zwłaszcza w produkcji zwierzęcej. Rozwijamy więc działania zmierzające do usunięcia trudności żywnościowych, a przede wszystkim trudności związanych z zaopatrzeniem rynku w mięso i wyroby mięsne. Dołożymy wszelkich starań, żeby w niedalekiej przyszłości kłopoty z zaopatrywaniem się w te artykuły były coraz mniej dokuczliwe.

Rozwój produkcji rynkowej i rolnictwa — to sprawy, którym obok budownictwa mieszkaniowego poświęcimy szczególnie dużo uwagi i wysiłku. Nie oznacza to oczywiście, że zapomnimy o konieczności rozwijania innych dziedzin gospodarki. Samo życie nie pozwala zapomnieć o niczym, co jest potrzebne człowiekowi. „Dla ludzi i przez ludzi" — to hasło sformułowane przez Towarzysza Edwarda Gierka zobowiązuje nas do działania na rzecz ludzi pracy w najszerszym tego słowa znaczeniu. Będziemy przeto — obok zadań priorytetowych — rozbudowywać żłobki i przedszkola, usprawniać komunikację i usługi, przygotowywać szkoły do nowego 10-letniego programu nauczania, będziemy dbać o dalszy rozwój wyższych uczelni, o dalszą rozbudowę ośrodków krzewienia kultury i oświaty, aby służyły one nie tylko miastu, lecz całemu województwu.

Zadania obecnej pięciolatki traktujemy jako drugą fazę rozwoju i modernizacji przemysłu. Do 1980 roku wybudujemy w naszym województwie kilkanaście dalszych nowoczesnych zakładów produkcyjnych. Będziemy nadal intensywnie modernizować fabryki w starych murach. Widzimy tu duże możliwości wykorzystania obiektów, które po modernizacji i rekonstrukcji wyposażymy w nowoczesny park maszynowy. Obecnie modernizujemy i rekonstruujemy takie duże zakłady przemysłowe, jak ZPB im. Obrońców Pokoju, ZPJ „Pierwsza", ZPB im. J. Marchlewskiego, ZPB im. S. Kunickiego, ZPB „Boruta" w Zgierzu i inne.

Kreśląc te ambitne, chociaż niełatwe zadania nadchodzącej pięciolatki mamy pełną świadomość, że startujemy do ich wykonania ze zdecydowanie szerszej bazy materialnej niż miało to miejsce w 1970 roku.

Trudno omówić wszystkie zadania, jakie sobie postawiliśmy. Należy podkreślić, że zasadniczy kierunek i cel — poprawa warunków życia i pracy społeczeństwa — został w pełni zachowany. Zmieniły się tylko metody i środki, które prowadzą do jego realizacji.

— Łodzianka była autorem hasła rzuconego na VII Zjeździe Partii: „Po mnie poprawiać nie potrzeba". Czy można uznać, że realizacja tej zasady jest na naszym terenie zadowalająca?

— Nadchodzące lata będą okresem nieustannej poprawy jakości. Nie można jednak tego pojęcia sprowadzać wyłącznie do sfery produkcji. Jakość produkcji? — oczywiście, ale także jakość obsługi klienta w sklepie, jakość załatwiania petentów w urzędzie, jakość pracy administracji domów mieszkalnych, także wzajemny stosunek człowieka do człowieka zawiera w sobie pojęcie jakości. Zrobiliśmy w tej dziedzinie spore postępy, ale realizacja tej zasady w szerokiej praktyce życia codziennego jeszcze wciąż nas nie zadowala. Problem poprawy jakości musi być rozwiązywany w procesie ciągłym, permanentnie. Ludzie chcą żyć coraz lepiej, chcą nabywać coraz lepsze towary, chcą, żeby towarów tych było coraz więcej. Te wzrastające wymagania i coraz ostrzejsze kryteria ocen narzucają konieczność systematycznej poprawy jakości produkcji i działania.

Niestety, obok zakładów, w których potwierdza się hasło: „Po mnie poprawiać nie potrzeba", na przykład takich jak: ZPDz. „Femina", ZPB im. Dubois. ZPDz. „Lido" i jeszcze wiele innych, mamy też przykłady produkcji złej, która nie znajduje nabywców, powoduje marnotrawstwo kosztownego surowca, przynosi ogólnospołeczne szkody.

— Co, Waszym zdaniem, będzie przede wszystkim decydować o powodzeniu w wykonaniu obecnej pięciolatki?

— Przede wszystkim pełne zaangażowanie ludzi pracy w wykonanie nakreślonych zadań. Tylko dobra, rzetelna praca może przyśpieszyć realizację naszych zamierzeń. Są one ambitne, a zatem niełatwe. Musimy wykonać program wynikający z potrzeb mieszkańców województwa i potrzeb rozwojowych naszego regionu, program będący częścią programu rozwoju społeczno-gospodarczego Polski. Pragnę podkreślić jeszcze raz: żeby go wykonać, żeby nasze fabryki produkowały lepiej, żeby coraz więcej ludzi mieszkało w nowych mieszkaniach w zadbanych osiedlach, słowem — żeby nam się żyło lepiej, dostatniej, przyjemniej — potrzebny jest świadomy wysiłek wszystkich mieszkańców naszego województwa.

Wykonanie tego programu jest także uzależnione od pracy aparatu administracyjnego, od kierownictw zakładów i Urzędu Miasta. Jest uzależnione również od działalności aktywu partyjnego, członków partii, od stopnia zaangażowania wszystkich mieszkańców województwa. Nie wątpię ani przez chwilę w patriotyzm, ofiarność i dojrzałość polityczną społeczeństwa naszego regionu i jestem przekonany, że program ten wykonamy z nadwyżką. Tak, jak w minionym pięcioleciu, realizując Uchwałę Biura Politycznego KC PZPR, dotyczącą Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi, osiągnęliśmy nie notowany dotąd w historii miasta postęp w każdej dziedzinie gospodarki. Przypomnę, że na wykonanie tego programu rząd wyasygnował ponad 55 miliardów złotych.

Z satysfakcją podkreślam, iż dorobkiem minionych lat jest również wzrost kwalifikacji ludzi pracy. Dziesiątki tysięcy robotników, techników, inżynierów, kadra kierownicza różnych dziedzin naszej gospodarki narodowej coraz trafniej rozwiązują stojące przed nimi problemy.

Mieszkańcy naszego województwa wyrażają zdecydowany pogląd, że do nowoczesności, dostatku i rozwoju społeczno-gospodarczego Polski prowadzi tylko jedna droga: dalsza, konsekwentna i uparta realizacja strategii ostatnich dwóch Zjazdów Partii, wyrażona w dokumentach V Plenum Komitetu Centaralnego PZPR. Odpowiada ona oczekiwaniom naszego narodu, jego potrzebom i aspiracjom.

— Jeśliby pokusić się o spojrzenie w przyszłość, to jak można byłoby scharakteryzować Łódź z 1980 roku?

— W całej dekadzie lat siedemdziesiątych w naszym województwie nastąpi 2,5-krotny wzrost produkcji, a jej wartość wyniesie ponad 200 miliardów złotych w roku 1980, 2,5 — krotnie zwiększy się także wartość usług świadczonych dla ludności. W tym dziesięcioleciu przekażemy do użytkowania mieszkańcom naszego regionu 120 tysięcy mieszkań o łącznej powierzchni użytkowej 6 milionów m². Wybudujemy 27 nowych szkół oraz 70 żłobków i przedszkoli. Powstaną nowe dzielnice mieszkaniowe o wysoce rozwiniętej infrastrukturze technicznej i społecznej. Zarysuje się wyraźnie kształt przebudowanego centrum Łodzi. Województwo stanie się nowoczesnym ośrodkiem przemysłu lekkiego z wyraźnie rozwiniętym przemysłem elektromaszynowym. A więc Łódź roku 1980 będzie dla wielu miastem innym, trudnym do poznania — w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

— Czy zechcielibyście odpowiedzieć na pytanie bardziej osobiste: jakie macie zainteresowania, co jest Waszą pasją, jak odpoczywacie po trudnym dniu pracy?

— Moim zamiłowaniem jest Łódź, łodzianie, całe województwo. Wynika to nie tylko z funkcji, jaką pełnię, lecz również z przywiązania do ziemi łódzkiej, do Łodzi. Wypływa z uczucia, które zawsze łączyło mnie z Łodzią, nawet, kiedy przebywałem z dala od niej. Nie jest to naturalnie moja jedyna pasja. Przedmiotem mojego osobistego zainteresowania jest także muzyka, której z przyjemnością słucham w miarę moich skromnych możliwości czasowych. Pasjonuje mnie sport, cieszą mnie sukcesy łódzkich sportowców. Sport traktuję także jako element kształtowania patriotyzmu, jako sentyment do barw ulubionego klubu czy barw drużyny narodowej.

Wielu przeżyć dostarczają mi koncerty w Filharmonii, interesujące spektakle teatralne, opera. Są to chwile mego wypoczynku.

— A kino?

— Do kina chodzę rzadko, chociaż bardzo kino lubię. Mam jeszcze dwie pasje: fotografię i filatelistykę. Obie zabierają jednak mnóstwo czasu i mogę im poświęcić liczone chwile, i to w dodatku kosztem snu. Utrwalanie na zdjęciach nowej, powstającej Łodzi i tej odchodzącej w przeszłość, starej, daje dużo satysfakcji. Wzruszają takie pamiątki.

— Rozmawiamy w przeddzień 32 rocznicy wyzwolenia Łodzi. Jakie wydarzenia z tamtych lat, zaraz po wyzwoleniu, pozostały Wam w pamięci?

— Wspomnień ciśnie się wiele. I te najbardziej smutne, kiedy w czas wyzwolenia, jako więzień hitlerowskiego obozu, marzyłem o powrocie do rodzinnego miasta. I te radosne z pierwszych lat po wyzwoleniu, lat nad wyraz trudnych, wypełnionych pracą zawodową i polityczną w organizacjach młodzieżowych. Kiedy w 1945 roku powróciłem do Łodzi, od razu wpadłem w wir aktywnej pracy społecznej i politycznej. Myślę, że jako działacz młodzieżowy w dzisiejszych Zakładach im. Obrońców Pokoju, biorąc wraz z kolegami aktywny udział w młodzieżowym wyścigu pracy, sporo zrobiliśmy na rzecz uruchomienia zakładu, uczyliśmy się dobrej, solidnej pracy od najmłodszych lat. Braliśmy także aktywny udział w licznych akcjach odbudowy stolicy. Z gruzów Warszawy wracaliśmy do Łodzi ciężarówką, zmęczeni, umorusani, ale szczęśliwi.

W tej pracy aktywnie sekundowała mi moja żona, Halina, która w jednym z etapów młodzieżowego współzawodnictwa pracy zdobyła pierwsze miejsce, a kilkakrotnie drugie i trzecie.

Ilekroć sięgam myślą do tamtych lat i porównuję nasze ówczesne, młodzieńcze marzenia z dniem dzisiejszym, zawsze ogarnia mnie jakieś radosne zdumienie — o ileż rzeczywistość wyprzedza te marzenia związane z nowym, przyszłym kształtem Łodzi. A to przecież dopiero początek!

Rozmawiał:
JERZY WAWRZAK

Foto: Włodzimierz Parys

LITERATURA

JACEK SZYNKIELEWSKI

☆ ★ ☆

okno
jak otwarty pocałunkiem dnia ołtarz

gdy pochylasz się
twoje oczy przysłaniają mi go
włosy oplatają ramy od wewnątrz
ciepło twojego ciała oddechu
sprawia że drży powietrzem całe wnętrze

gdy jestem sam
nie mogę się w nim przejrzeć

lusterko odbija moje rysy zbyt wyraźnie

gdy pochylasz się nade mną
w twoich oczach
widzę siebie

☆ ★ ☆

Człowiek postradał wiarę.
Dostrzegam w wypalonej świecy
tylko brak stearyny.
Unikam spojrzeń prosto w oczy.
Nie wierzę w śmierć jako nagrodę.

Odnajduję boga na obrazku
z podpisem, że to on.
Gdy czytam sit-tibi-terra-levis
to przypomina mi się
gramatyka łacińska.

Gdy wchodzę na cmentarz
to słucham ptaków,
ich radosnych głosów
jak w spokoju wiją gniazda,
z dala od nas.

Rezerwat spokoju
który tworzy śmierć
jest przypadkowy.
Gdy zmieni się obrzęd
zginą ptaki
i moja wiara
w spokój na Ziemi.

STANISŁAW ROMANIAK

POEZJA

Tobie poezję chcę dać na śniadanie
byś poezją była tego dnia
cierpieniem każdej chwili
zaraźliwym uśmiechem
źdźbłem trawy strząsającym rosę
powiewem rozpraszającym nienawiść
dotknięciem warg zapylaj kwiaty
ruchem ramion rozpraszaj mgłę
nieprzebudzonym snem usypiaj noc
gwiazdy daj dzieciom które płaczą
Ty o której nikt nie wie
w którą nie wierzą
niezapisana w księgach proroczych
bądź bo jesteś zjawieniem
nieoczekiwanym

EWA FILIPCZUK

TEN KTÓRY UMARŁ

ten który dawno umarł jest zawsze dorosły
mimo niewielkich rozmiarów
wciąż się kurczy w tobie
aż mały jak garstka prochu
jak wspomnienie senne
ukryty w ciepłym piasku albo w sercu boga
doczeka się twojej śmiertelnej obcości
gdy zdjęty współczuciem
gubiąc pod nogami ziemię
zejdziesz w spróchniałą słodką pełną
utrudzonych życiem
w ciepłym okryciu z desek
doczeka się ciebie
ten który dawno umarł twój cierpliwy brat

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

PRZYJADĘ W SOBOTĘ

W dużym mieście wojewódzkim jest malutki garnizonowy hotel. Stoi jako pierwszy z szeregu mniejszych i większych budynków z czerwonej cegły, oddzielonych od ulicy pasem trawników i żelazną kratą, ścieżki wśród trawników obramowano bielonymi sztachetkami a w przerwach pomiędzy domami widać w głębi szeroką przestrzeń, gdzie stoi wysoki biało-czerwony maszt i gdzie żołnierze w gimnastycznych koszulkach grają w siatkówkę.

Garnizonowy hotel przeznaczony jest dla gości w mundurach, czasem tylko nocują tu rodziny, odwiedzające kogoś z miejscowego pułku, a czasem zostaje parę miejsc, na które zawsze chyhają dziesiątki tych, co nie mogą dostać miejsca w żadnym z wielkich hoteli w mieście. Otóż nie mogłem dostać miejsca. Delegacja służbowa nie stanowiła żadnego argumentu dla panienek z recepcji ani tym bardziej dla ich sztywnych, lodowato uprzejmych kierowników. Jeden tylko trafił się taki, co mówiąc ze mną dłubał nożykiem w fajce, a więc mniej lodowaty, bardziej, powiedziałbym, ludzki. Mówił to samo co wszyscy: „mowy nie ma", „niestety" — ale mówił to takim tonem, jakby to jeszcze nie było ostatnie słowo. Dzięki setkom moich służbowych podróży potrafię odczuwać takie niuanse i podejmować odpowiednią grę. Więc nie uczyniłem zwrotu w tył, co byłoby definitywnym zerwaniem mostów, tylko z ciężkim westchnieniem żalu nad samym sobą położyłem grubachną teczkę na ladzie recepcji. Znaczyło to, oczywiście: niechże chociaż odpocznę. Możemy przecież chwilę pogawędzić, w czyszczeniu fajki to pomaga.

— Teraz to już nie wiem, co dalej. Tapeta.
— Tapeta? — zainteresował się pan kierownik.
— No: Jakbyś nosem wszedł na ścianę i ani rusz dalej. Tak się mówi, bo przecież ściany się tapetuje. Szlag z tymi hotelami!
— Trudno będzie, wie pan.
— Trudne się czasem udaje...
No i tak od słowa do słowa doszło wreszcie do tego, że mój rozmówca – a zdążył już tymczasem nabić na nowo fajkę i z wielkim namaszczeniem ją zapalić — sięgnął po słuchawkę telefonu, pokręcił i powiedział coś mniej więcej tak:
— Maniek? Tę trójkę, wiesz, od środy ci załatwię. Dobra, nieważne, na weselu odtańczę. No. To cześć. Aha, mam tu jednego na dziś. Jedna noc. Trzeba pomóc człowiekowi, po to tu siedzimy, na ulicy nie będzie spał. Znajdziesz? Maniek, buźka! O czwartej? Dobra. Dobrze. Więc pamiętaj Tamta trójka bd środy załatwiona. Cześć.

— Kolega, wie pan — zwrócił się po odwieszeniu słuchawki wprost do mnie, nie zauważając przemyślnie, że spod gazety leżącej na ladzie wystawał już czerwony różek stuzłotówki. I właśnie dał mi adres hotelu garnizonowego, gdzie punkt o czwartej miałem zameldować się u obywatela Barłogi. Miałem przeszło godzinę czasu, ale od razu, z nowym przypływem sił, ruszyłem w drogę.

Mówiłem: Miasto jest duże, bywam tam zaledwie raz na parę lat i za każdym razem na nowo nigdzie nie mogę trafić. Koniec czerwca, sezon, a miasto ma ładne okolice i niebrzydkie legendy. Więc kogo na ulicy nie zapytać, to nietutejszy. Kioskarka w „Ruchu" też nie wie którędy najbliżej, ona siedzi tu dopiero pięć lat i miasta w ogóle nie widziała. Jeżeli co parę lat tak dużo nowych domów, a coraz to rosną większe, już takie ogromne że przyłapuję się na głupim jakimś strachu i na chęci jak najszybszego stąd wyjścia, otóż jeżeli tyle tych okien i balkoników z suszącą się bielizną, to znaczy że przybyło miastu znowu ładnych parę tysięcy mieszkańców. A to są wszystko ludzie nowi i nie tylko nie wiedzą gdzie jest ulica Jana Strzałki, ale w ogóle jeszcze na dobre nie wżyli się, że tak powiem, w mentalność. Nie weszli, wiecie, w tryb. To są dopiero połówki, ćwiartki, kawałki rodzin czy rodów. Ich uzupełniające części żyją dokoła miasta i czekają na jeszcze nowsze bloki. A są też tacy, co ściągają tu na dobre i złe, zaczepiają się o jakieś zbiorowe kwatery, podnajmują kąty w pokojach i przedpokojach, chwytają pracę jaka podleci — później poszuka się lepszej — sprzedają bez skrupułów swe niekompetencje, swoje niesprawdzone nijak możliwości, i w takim stanie półwiszącym, półosiadłym, na jednej nodze, stanowią jeszcze jedną grupę czekających. To są dopiero pojedyncze odpryski, ich macierzyste pnie tkwią jeszcze mocno po miasteczkach i wsiach całego województwa.

— Jana Strzałki? To będzie chyba na Glinach. Nie, zaraz. Pójdzie pan prosto i najlepiej to niech pan tam kogoś zapyta, ludzie panu powiedzą. Proszę bardzo, nie szkodzi.

Był upał, wszyscy dokoła ledwie że ubrani, a tu ciężka teczka w prawej ręce i marynarka na grzbiecie. Nie mogłem wyjechać bez niej, bo jak bym poszedł załatwiać jutro sprawy w ważnym urzędzie? Przez lewą rękę marynarki przewiesić nie można, bo już się niesie płaszcz. Bez płaszcza też nie mogłem wyjechać — a nuż trafi się deszcz? Taki klimat. Z klimatem nikt nie wygrał. Więc idę, pocę się, wyglądam jak nie z tej ziemi, najgłupszy kundel pozna obcego. Ale jeszcze brakowało kwadransa do czwartej, kiedy z trudem pchnąłem ciężkie drzwi wejściowe hotelu garnizonowego.

Uch, jaki miły chłodek. Pusto, cicho, całe podłogi pokryte chodnikami, na kamiennych schodach też chodnik i srebrne gałki przy poręczy. W rogu dużego hallu siedzi za typową recepcyjną ladą samotna dziewczyna i patrzy. Patrzeniem może wypełnić czas, kiedy jest co oglądać. Dziewczyna nie ma co oglądać w bezludnym hallu, jej czas jest pusty, ale na pewno nigdy o tym nie pomyślała i nie przyszło jej do głowy, żeby na przykład wziąć do ręki książkę lub „Panoramę". Pytam o pana Barłogę.

— Pana porucznika nie ma.
— Ale ja tu miałem się zgłosić.
— To niech pan poczeka. Może przyjdzie. Jak się umówił, to chyba przyjdzie. Tam są fotele, szkoda nóg...

Uśmiechnęła się i nie zmieniając pozycji patrzyła dalej na to samo co przedtem, czyli na nic.

Fajne, głębokie fotele. Po paru minutach zmęczenie odparowało, ułożyłem już sobie pierwsze zdanie na powitanie porucznika Barłogi, zaczynało być nudno, gdy bardzo ostro zadzwonił telefon nad głową dziewczyny. Dobrze że zadzwonił, bo lubię jak się nieustannie coś dzieje, a jak ma się przez pięć minut nie dziać, to już wlepiam oczy w jakikolwiek zapisany papier. W Ameryce podobno takich facetów leczą, ale to jest bardzo daleko i nie wiadomo, czy prawda. Zadzwonił telefon, ona podjęła słuchawkę i po kilku rytualnych „hallo", „co jest", „ojej, nie słyszę" — zaczęła się jeszcze jedna obyczajowa nowelka, jakie z taką pasją śledzę ciągle „w planie", czyli po prostu wokół siebie. W dzieciństwie zbierałem motyle, może to jest jakoś podobne?

— Halo! Mama? Dzień dobry, to ja mówię, Zosia. O, teraz dobrze słyszę, a mama? No więc ciebie też słyszę. Co robisz, Jacuniu? Bawisz się? A czym się bawisz? W dydulki się bawisz? No to baw się, a powiedz, Jacuś, chcesz żeby mamunia przyjechała? Dlaczego nie chcesz? Halo. No... Halo, słyszysz mnie? Jacuś, a ja ci chciałąm przywieźć zabawkę. Tak, naprawdę! Jaką to jeszcze nie wiem, a co byś chciał, żeby mamunia przywiozła? Nie wiesz? No — co byś chciał? Murzynka? Dobrze, kochanie, przywiozę ci murzynka. Dobrze, dużego, powiem tej pani w sklepie, że to dla Jacusia i że musi być taki — taki duży. A nóżka już cię nie boli? No widzisz, już się wszystko zgoiło i nóżka jest ładna — tak — obie nóżki są ładne, i rączki też i pewnie teraz chcesz, żeby mamuśka przyjechała, prawda? Z murzynkiem, naturalnie. No widzisz, że chcesz. Dobrze, prędziutko przyjadę, a teraz całuję cię, koteczku, i daj jeszcze babcię. Ja też cię całuję. A ja tysiąc razy, pa, Jacuniu. Mama?

— Mamo, więc ja chcę przyjechać do was na sobotę i niedzielę. Nie, tym pekaesem w sobotę po południu. Dlatego że nie mogę. Nie mogę wcześniejszym, nie zdążyłabym się tu podpisać. To ja teraz mamie nie będę tłumaczyć, taki jest przepis, że jak ktoś pracuje, to ma się podpisać i już. Gdzie dawno, w kwietniu. W kwietniu byłam. Cóż to dwa miesiące, a zresztą dzwoniłam, pytałam. Też już miesiąc, no to co, czas leci, a ja tutaj to co mama myśli, ja pracuję, muszę kupić to, tamto, ugotować coś, przeprać, nie? Do kina też, pewnie. No dobrze już. A ojciec zdrowy? Jest? Co wy tak wiecznie w domu, ani w robocie, ani na powietrzu, co ojciec — nie pracuje dzisiaj? To może ja z nim jeszcze parę słów, mama zawoła. Aa! No tak. Pewno podpił, co? A co mu mama żałuje, co tam. No pewnie, bo wszyscy piją, mama zna takich co nie piją? Może ksiądz albo stary Dzierlatowski, co? Nic do niego specjalnie nie mam, tylko już raz prosiłam i teraz bym przypomniała tych cztery tysiące... Ale ja bym oddała. No dobrze, już, jak przyjadę to porozmawiamy. Tylko mamo... Ja... Ja przyjadę nie sama... Nie, nie z tym samym, z innym. Nno... Tu, z naszego pułku. Jak z pułku, to ile może mieć, pewnie że młody. Ale dlaczego? Mamo, ja już mu mówiłam i teraz co... Ojej, co mają gadać, a zresztą niech sobie gadają. Może i młodszy, nie wiem, od tamtego z kwietnia to młodszy, pewnie. Ojej... Ojej, mamusia to zaraz... No dobrze, to mam nie przyjeżdżać? Jak to Jackowi, a co macie gówniarzowi mówić, nic nie mówić. A co tam smarka obchodzi! Oj, zaraz, chwileczkę.

Pani Zosia — teraz już wiedziałem, że Zosia, tyle że nie było jeszcze jasne czy panna czy pani, ale teraz tych terminów już się i tak nie przestrzega, i słusznie, czysta formalność i co mówi o człowieku? Nic nie mówi — otóż obywatelka Zosia odjęła słuchawkę od ucha i zasłoniła szczelnie dłonią mikrofon, bo do hallu wpadł z rozpędem chłopak w mundurze, z dwoma paskami na ramieniu. Dziewczyna z recepcji miała uszy czerwone od długiego mówienia i mocno zaczerwienione policzki, ale uśmiechała się swobodnie i była sympatyczna.

W takich mocno opiętych na siedzeniu, wąskich a czyściutkich i odprasowanych spodniach, ściągniętych dołem tuż nad pęciną, każdy uczyniony krok wydaje się sprężystym siedmiomilowym skokiem. Chłopakowi, który wpadł z ulicy że ledwie za nim błysnęła plama intensywnej słoneczności, wystarczyły dwa, a najwyżej trzy takie kroki i już stał przy ladzie. Trzymał dziewczynę za rękę, a może to ona jego trzymała, te ręce zostały jakoś tak w powietrzu w pozycji całkiem nienaturalnej, wątpię, czy któreś z nich miało z tego jakąś przyjemność, ale pewnie byli przekonani, że to należy do rytuału, że tak powinno być. Trzymali się tak i coś szybko ze sobą mówili, potem ona nagle zamilkła; patrzyła mu przez chwilę w oczy nadawszy swej twarzy taki wymowny wyraz, że bez trudu podjąłbym się podłożyć odpowiednią artykułowaną interpretację, myślę jednak cynicznie, że to był wyraz nadany, a nie spontaniczny. Może się mylę. Po odpatrzeniu przepisowej miary czasu Zosia recepcjonistka — a może tylko przejściowo zastępująca tu kogoś innego, może po prostu pokojowa z góry — powiedziała jeszcze parę słów szeptem do kaprala, ręce się rozłączyły, trzy sprężynujące kroki, błysk słońca z ulicy.

Malutki moment ciszy potrzebny był niewątpliwie do tego, żeby Zosia zwołała rozpierzchłe jakby myśli i przypomniała sobie o trzymanej w ręce, ale głuchej, słuchawce. Potem już sobie przypomniała, już odjęła dłoń z mikrofonu, ale potrzebny okazał się jeszcze jeden moment: co teraz powiedzieć matce? Tym razem namysł był na pewno prawdziwy, nie nadany, dziewczyna zastanawiała się krótko lecz intensywnie.

— Mamo? No tak, trochę to trwało bo właśnie on tu był i nie chciałam żeby słyszał, po co. Przedłuża się, właśnie. A co tam, ja i tak nie będę płacić. Wpisze się jako rozmowa służbowa i koniec. Wszyscy tak robią. Więc mamo, więc ja nie przyjadę do was w sobotę. Wyślę pocztą. Jeżeli dostanę, bo on chce murzynka, a wcale nie wiem, czy akurat murzynki są w sklepach. Teraz może mama się zgadzać, ale już się zmieniło i nie przyjadę, nie mogę. Nic, zmieniło się i już. Nic mu nie mówcie, smarkacz i tak zapomni, tylko niech mama mu nie da niedojrzałych owoców. I trzeba dobrze myć. Jacka myć, ale i owoce myć. No to już. W tej chwili nie mam pojęcia kiedy, ale zadzwonię i powiem. Dobrze, już. Ucałujcie tam Jacusia, pozdrów ojca, do widzenia. Uważam na siebie, uważam. Do widzenia.

Już prawie piąta miałbym ochotę coś przegryźć, żeby ten Barłoga nie okazał się jakimś sprytnym numerem za sto złotych.

— Już prawie piąta! — mówię. — Czy można do porucznika Barłogi zadzwonić?

— Nie wiem, gdzie on jest. Jak się z panem umówił, to chyba przyjdzie. Niech pan czeka — odpowiada pani Zosia, matka Jacusia z chorą czy też skaleczoną nóżką, Jacusia chowanego daleko u babci i nierzącego matkę przywożonymi z rzadka murzynkami, szukająca niespokojnie szans, przeżyć, stylu, miejsca na ziemi.

— Pani Zosiu... — zacząłem sobie z nudów snuć wewnętrzny monolog. Ale ze schodków cichutko spłynął tęgi, łysiejący pan w szarym, cywilnym ubraniu, stanął przede mną jakbyśmy się znali od lat, aż dziwne że uważał za potrzebne oznajmić radośnie: Barłoga jestem! — po czym idąc za moim wzrokiem w stronę dziewczyny przy telefonie powiedział: — Fajna babka, nie?

I zaczęła się nowa obyczajowa krótkometrażówka.

GOSPODARKA

TERAZ WSZYSTKO WIDZĘ W RÓŻOWYM KOLORZE

Dalszy ciąg ze str. 1

mieszkania, gdzie w kącikach, między wapnem i cegłami tli się normalne codzienne życie. Tylko skala jest inna. Nieporównywalna.

Później usiedliśmy w malutkim pokoiku, gdzie stały dwa biurka i był jeden telefon. Co chwila wpadał ktoś do telefonu, bo było to jedyne połączenie z miastem, albo żeby, o coś zapytać, wziąć dyspozycje, uzgodnić. Tu, w tym hałasie i rozgardiaszu, wysłuchałam opowieści Wojciecha Grabowskiego. W gruncie rzeczy był to monolog, przerywany tylko moimi pytaniami. Monolog o nowym „Feniksie".

1.

— Teraz widzę wszystko w różowym kolorze — powiedział Wojciech Grabowski. — Przyszedłem tu jako jeden z pierwszych. Nic tu nie było. Aż strach dziś pomyśleć. Gołe mury. Dach. Nie było oświetlenia, nie było energii do maszyn. Nie było wody. Wodę musieliśmy nosić wiadrami ze zbiornika dla betoniarek. Nie było ciepła. Trzeba było wszystko dopiero zrobić, zorganizować.

Myśmy się przygotowywali do przeniesienia do nowej fabryki od 1973 roku. Od chwili, kiedy tu, w szczerym polu ruszyła budowa. To były przymiarki, rozważania, układanie harmonogramów. Ale życie nie zawsze zgadza się na plany. Ono sobie samo wybiera drogę. Nam też nie wszystko ułożyło się tak, jak zaplanowaliśmy. Przede wszystkim trochę nawalili budowlani.

2.

— Z budowlanymi trzeba żyć w zgodzie. Nie powiem, żeby nie zdarzały się nam kłótnie. Pokrzyczymy czasem na siebie. Ale przecież pracujemy tutaj razem. Nie było innej rady. Budowlanych trzeba rozumieć. Jeśli nawet nawalają, to przecież nie ze złej woli. Też im coś nawala. A to kruszywa zabraknie, a to ludzi mało. Oni by też chcieli dobrze, chcieliby robić bez zakłóceń, rytmicznie, bez szarpaniny.

Czy zawsze jestem taki wyrozumiały? Nie. To nie o wyrozumiałość chodzi. Chodzi o cel. Skoro podjęliśmy się uruchomienia nowej fabryki, to cel ten trzeba osiągnąć. Trzeba pokonać przeszkody, bo ta nowa fabryka wliczona już jest do planu. Nowe maszyny mają dać produkcję, która poszukiwana jest na rynku. Więc, czy lepiej się kłócić i gniewać na siebie, a cel będzie się odsuwał w przyszłość, czy też szukać porozumienia, aby szybciej osiągnąć to, co zaplanowaliśmy? Myśmy wybrali tę drugą drogę. Szukamy porozumienia i mimo opóźnień ruszyliśmy już z produkcją. Maszyny nie stoją bezczynnie.

3.

— W tej chwili pracują tu na dziewiarni 583 osoby. W większości kobiety. Jest to jeden wydział. Mistrzami są u nas mężczyźni. Praca mistrza nie jest łatwa. Kobieta temu nie poradzi. Mamy dobrych mistrzów. Gdzieś w 70 procentach są to absolwenci technikum. Ale mamy i takich, którzy pokończyli szkoły mistrzów, mają ogromne doświadczenie.

To wszystko jeszcze nie jest tak, jak być powinno. Przede wszystkim nie działa jeszcze klimatyzatornia. A to dla produkcji bardzo ważne. Aby otrzymywać dobre wyroby, potrzebna jest temperatura w granicach 20—24 stopni Celsjusza oraz około 65 procent wilgoci w powietrzu. Takie warunki ma tu stwarzać właśnie klimatyzatornia. A skoro nie pracuje, to temperaturę mamy dość wysoką, ale wilgotność gdzieś w granicach 17 procent. O wiele za mało. Powietrze jest za suche i odbija się to na produkcji. Po prostu zbyt wysoki jest stopień odpadów.

4.

— Ale nim do tego doszliśmy trzeba było nową halę produkcyjną wysprzątać. A to nie taka łatwa sprawa. W Łodzi łatwiej znaleźć kierownika niż sprzątaczkę. Kierownikiem chciałby być każdy, sprzątanie nie należy do przyjemnych prac. Jeszcze na dodatek sprzątanie po budowlanych. Szukaliśmy pomocy. Zwróciliśmy się do „Puchatka". Przysłali kilkanaście dziewcząt. Ale studentki jak zobaczyły, co to za praca, to się szybko wycofały. Dużo przyjemniej i łatwiej posprzątać komuś mieszkanie. Trzeba było więc samemu wziąć się za sprzątania.

Zrobiliśmy to sami. Sprzątała nasza załoga. Zaczęliśmy zagospodarowywać nową fabrykę już w sierpniu. Od tego czasu nasza załoga nie ma wolnych sobót. Pracujemy tu na okrągło. Dzięki temu, kiedy zaczęły nadchodzić nowe maszyny można było je ustawiać już w nowej hali. Wtedy jeszcze nie było tu ani pary, ani energii. Maszyny windowaliśmy na piętra roboczym, budowlanym dźwigiem. Woziliśmy je na wózkach. I stanęły. Automat pończoszniczy to jest bardzo precyzyjne urządzenie. Składa się z około 10 tys. części.

W październiku można było już uruchomić maszyny. Jeszcze na biegu jałowym, ale już zaczęło się kręcić. Można było je posprawdzać. Mieliśmy satysfakcję, że się operacja udała.

5.

— Ze starych oddziałów bierzemy tylko część maszyn. Te najnowsze. Resztę kupiliśmy. Najnowocześniejsze i takie, aby w miarę zmiany mody, można je było szybko przestawić. Kupiliśmy włoskie automaty do produkcji rajtuz „mono". Pełna automatyzacja. Robią kompletne rajtuzy, nawet gumkę wszywają i gotowy wyrób transportują pneumatycznie do barwienia. Tylko wybarwić i do sklepu. Prawie cała operacja odbywa się bez dotykania rajtuz przez pracownika.

Dlaczego to podkreślam? Bo to jest bardzo ważne. Damskie pończochy są dziś tak delikatnym wyrobem, że mogą pracować przy nich kobiety tylko o delikatnych rękach. Stąd mamy u nas gabinet manicurzystki, aby można było usuwać ze skóry rąk wszelkie zaczepy, nierówności itp. Ale i tak wszystkiego się nie usunie. A automatyczny transport eliminuje zetknięcie wyrobu z ręką. To podnosi jakość. I o to chodzi.

Zaczynaliśmy naszą produkcję na maszynach ręcznych, które przerabialiśmy i udoskonaliliśmy. A dziś dysponujemy już najnowszymi automatami. Co prawda, jako że życie nie jest takie proste, z tymi nowymi automatami jest pewien kłopot. Są one po prostu wyższe od tych, jakie mieliśmy do tej pory. I okazuje się, że nie wszystkie kobiety mogą przy nich pracować. Nie wszystkim wzrost pomaga. Ale jakoś sobie z tym radzimy.

6.

— Czy można było inaczej? Sami też zdawaliśmy sobie to pytanie. Najlepiej byłoby, aby budowlani oddali fabrykę, jak to się mówi, pod klucz. Gdybyśmy mieli już zmodernizowany park maszynowy, to sprawa byłaby inna. Ale przecież część maszyn przychodziła w trakcie budowania nowej fabryki. Więc co, miały stać bezczynnie? I druga sprawa. Gdzie miały stać? Nie dysponowaliśmy takimi magazynami. A nawet gdybyśmy mieli takie magazyny, to przecież chodziło o coś innego.

„Feniks" robi produkcję rynkową. Produkcja rynkowa jest obecnie bardzo potrzebna. Mieliśmy zatem do rozwiązania problem, który polegał nie na tym, co zrobić z maszynami, ale jak je najszybciej wykorzystać. Dlatego ustawiliśmy je kiedy jeszcze nie było ani dźwigów, ani energii, ani klimatyzacji. Co przez to zyskaliśmy? A to, że maszyny stały już pod dachem i na właściwym miejscu, że były gotowe do uruchomienia, kiedy tylko doprowadzi się do nich energię elektryczną. Dzięki temu mogły ruszyć w takim terminie, jaki był dla nich przewidziany, chociaż wkoło jeszcze trwała budowa.

Przenosiny fabryki nie są przecież tylko prostą operacją podobną do przenosin do nowego mieszkania. Chociaż jest w tym coś podobnego. Kiedy otrzymuje się nowe mieszkanie, to też rezygnuje się z części mebli i kupuje się nowe. Myśmy chcieli nie tylko mieć całą fabrykę w jednym miejscu, nie tylko zrobić ogromny skok w poprawie warunków pracy. A jest to skok naprawdę ogromny. Ale chcieliśmy też unowocześnić fabrykę.

W 1976 roku na przykład daliśmy produkcję wartości 1 700 mln zł, a w niedalekiej już przyszłości będziemy dawali produkcję wartości przeszło 3 miliardów zł. Prawie podwojenie. W sztukach wygląda to trochę inaczej. Jeśli w ubiegłym roku daliśmy około 40 milionów sztuk i par wyrobów, to celem jest 60 milionów, a więc wzrost niemal o połowę. Założyliśmy, że pełną moc produkcyjną fabryki osiągniemy po 9 miesiącach od chwili ukończenia budowy i oddania wszystkiego, ale termin ten chyba skrócimy.

A więc, czy można było inaczej?

7.

— Ja tu jestem od początku prawie. Nie od początku budowy, ale od początku zagospodarowywania tego budynku. Teraz to już patrzę na wszystko w różowym kolorze, bo mam świadomość przebytej drogi, wykonanej pracy. Ale zastanawiam się często, czy wszyscy ludzie, którzy biorą udział w tym niełatwym tworzeniu nowego są zadowoleni?

Cel oczywiście jest jasny. Kiedy wszystko już będzie gotowe, kiedy będzie i szatnia, i stołówka z prawdziwego zdarzenia, portiernia, sanitaria, natryski, to wtedy odetchniemy z ulgą. I wtedy wszyscy będą zadowoleni. Wtedy będą mówili: — jak teraz dobrze pracuje się w „Feniksie". Ludzie będą chcieli tu pracować. Będą się o to starali. Ale, żeby tak było, potrzeba nie tylko czasu, także i wysiłku.

Teraz jest błoto. Daleko od przystanku. Jak przemarznie, to jeszcze pół biedy. Komunikacja pod psem. Dopiero ma być lepsza od połowy stycznia. Najpierw to dowoziliśmy tu ludzi naszymi samochodami. Nawet wynajęliśmy autokar, aby ułatwić dojazd ludzi z odległych dzielnic. A sporo naszych ludzi mieszka na przykład na Teofilowie.

Myślę, że niektórzy chcieliby przyjść już do gotowego. A to gotowe, to ktoś musi zrobić. Kto? Być może są więc i niezadowoleni, być może narzekają. Kto zresztą nie lubi u nas ponarzekać, jak mu to nie wychodzi, tamto się rwie, z tym jest kłopot. A tu tak jest. Wszyscy po trosze narzekamy na błoto, komunikację, brak przyzwoitego telefonicznego połączenia z miastem. Tylko, że to narzekanie nie może nam przysłonić celu — nowoczesnej, wielkiej fabryki. I chyba nie przesłania. Mnie w każdym razie nie. Ja już teraz patrzę na to wszystko w różowym kolorze, bo mogę porównać z tym, co już jest za nami. Ale do zrobienia jest jeszcze sporo.

8.

— Co jeszcze trzeba zrobić? Nie gotowa jest jeszcze kotłownia. Farbiarnia. Na razie wyroby gotowe woziny do barwienia do starej fabryki. A więc musi być wykończalnia. O klimatyzatorni już mówiłem. Musi być jeszcze magazyn, budynek administracyjny, szatnia, stołówka. A poza tym trzeba cały ten teren poryty teraz przez spychacze i koparki uporządkować, wyrównać i zasiać trawą. Nowy „Feniks" zajmuje ogromny obszar. Kosztuje 1 270 mln zł i w tej sumie mieści się również ośrodek wypoczynkowy w Polanicy, który też nie jest gotowy, bo na miejscu nie ma wykonawcy. Ale i z tym jakoś sobie poradzimy.

9.

— Tworzenie nowego nie jest łatwe. Może niektórym wydaje się, że nowa fabryka to tylko nowe mury, to tylko przeniesienie maszyn, przeprowadzenie ludzi, danie im nowych zadań w nowych warunkach. Ale dla mnie, który tu jestem od tak dawna, to zupełnie coś innego. I czasem myślę, że to dobrze, że tu tylu naszych ludzi uczestniczy przy powstawaniu nowego „Feniksa", bo mogą sobie wyobrazić jego przyszły kształt. Jak powstaje z bałaganu i rozgardiaszu.

Potrzeba trochę wyobraźni. W nowej fabryce będzie o 800 ludzi więcej pracowało niż w starej. Ale nowe miejsca pracy dla nich nie znajdują się przy maszynach. To będą ludzie, którzy zajmą się utrzymaniem i ruchem w nowych pomieszczeniach. Samych opraw świetlówek jest 13 tysięcy. Potrzeba konserwatorów, monterów, palaczy itd.

A z drugiej strony. Opowiadano mi, że na targach w Poznaniu zwiedzający pytają, gdzie można kupić nasze wyroby i dlaczego nie ma ich w sklepach w takich kolorach, jak na targach? Żebyśmy to wiedzieli. Ale to znaczy, że ludziom podoba się to, co robimy. A teraz będziemy robili lepiej. Już w pierwszym kwartale 1977 roku powinny ukazać się w sklepach rajstopy typu „mono", czyli całkowicie robione przez maszynę, bez żadnego szwu.

I wreszcie zupełna nowość. Do tej pory dawaliśmy na eksport niewielkie ilości naszej produkcji. A teraz otrzymaliśmy zamówienie z Francji. Odbiorca — jak wiadomo — jest bardzo wymagający. Francuzki — jak też wiadomo — potrafią się ładnie i modnie ubierać. Tam dyktuje się modę. Musimy więc dobrze wypaść na tym wymagającym rynku. Musimy trafić produkcją, a jednocześnie nie stracić popularności na krajowym rynku. Otrzymaliśmy nowe, lepsze możliwości, więc sobie i z tym poradzimy. A to przecież dopiero początek.

II

Wracałam tą samą drogą. Koparki rozwalały przymarzniętą ziemię. Pokrzykiwali budowlani. W mijanym budynku przez niewprawione okna leciały snopy iskier. Dochodziłam już do Brzezińskiej, kiedy obejrzałam się, aby całą budowę objąć okiem, aby zatrzymać jej obraz w pamięci. Przypomniały mi się ostatnie słowa Wojciecha Grabowskiego utrwalone na magnetofonowej taśmie:

— A to przecież dopiero początek.

Chciałam też spojrzeć na to wszystko w różowym kolorze. Nie wyszło. Może dlatego, że dzień był pochmurny. Szedł niż. Zbliżała się odwilż. Na przystanku nie było autobusu. Patrzyłam na szare ściany nowej fabryki i wyobraziłam sobie, jak to będzie wyglądało wiosną, kiedy już zazieleni się trawa, kiedy będzie porządek i ład. Może przed wejściem staną jakieś rzeźby. Zobaczyłam to wszystko na zielono, wiosennie. To właśnie jest to — pomyślałam, wsiadając do autobusu.

BOGDA MADEJ

NIE TYLKO HISTORIA

PRASA POLSKA 1864 - 1918

Przed kilkoma tygodniami zdałem sprawę z pierwszego tomu tego wydawnictwa, dzisiaj piszę o drugim, poświęconym dziejom polskiej prasy w okresie od Powstania Styczniowego do odzyskania niepodległości po I Wojnie Światowej. Podkreślałem już doniosłość przedsięwzięcia, jak również pewne niedostatki jego realizacji. Spośród nich najbardziej dotkliwym wydaje mi się pominięcie w opracowaniu szerszego tła powszechnodziejowego, co wpłynęło niekorzystnie na ujęcie przedmiotu. Przecież prasa polska nie rozwijała się w jakiejś całkowitej niezależności od prasy innych krajów, w okresie zaborów zaś w poważnej swej części była związana z ośrodkami prasowymi państw zaborczych. Wystarczy przeglądnąć jakikolwiek numer krakowskiego „Czasu" z okresu po powstaniu styczniowym by się przekonać, jak wiele miejsca zajmowały w nim wiadomości urzędowe z Wiednia i innych stron cesarstwa Habsburgów; podobnie było z wieloma organami prasowymi w innych zaborach. Wiele z ważnych polskich czasopism XIX stulecia miało powiązania międzynarodowe, które w ówczesnych warunkach nie musiały być koniecznie międzypaństwowymi, niektóre zaś z pism oficjalnych wydawanych po polsku czyniły wrażenie polskich mutacji takich samych oficjalnych organów prasowych niemieckich czy rosyjskich.

Drugi tom dzieła, zatytułowany: „Prasa polska w latach 1864—1918", ogłoszony przez Pracownię Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego IBL (PWN 1976) przynosi teksty siedmiu autorów, znanych już wcześniej jako wybitni specjaliści od opisywanych przez nich zagadnień. Są nimi w kolejności w jakiej występują w tekście: Zenon Kmiecik, Jerzy Myśliński, Witold Jakóbczyk, Tadeusz Cieślak, Andrzej Paczkowski i Aleksandra Garlicka; umieszczoną na końcu tomu bibliografię opracował Andrzej Notkowski. Redakcja (Jerzy Łojek) zdaje sobie sprawę — jak zaznaczono w słowie wstępnym — z niejednolitości prezentowanych tekstów, może czasem drażniącej czytelnika, ale jakże trudnej do uniknięcia w przypadku obszernego (35 arkuszy wydawniczych) dzieła zbiorowego, opracowanego przez autorów, z których większość jest naukowymi indywidualnościami. Nie czyniłbym z tego powodu poważniejszych zarzutów: nie ma przecież nic nudniejszego jak książki „ujednolicone" pod jeden strychulec. Byle tylko zachować zdrowy rozsądek! Podobnie jak w poprzednim tomie zastosowano tu podział terytorialny, dzieląc materiał „między cztery obszary: trzy zabory i emigrację" z pełną świadomością istnienia różnorodnych powiązań międzyterytorialnych.

Jakież są więc omówione w tym tomie grupy zagadnień? Tom rozpoczyna się od obszernego studium Zenona Kmiecika „Prasa Polska w Królestwie Polskim i Imperium Rosyjskim w latach 1865—1904", po którym następuje tegoż samego autora tekst o prasie w zaborze rosyjskim w latach 1905—1915. Następnie Jerzy Myśliński omawia „Prasę polską w Galicji w dobie autonomicznej (1867—1918), zaś Witold Jakóbczyk pisze o „prasie w Wielkopolsce (1859—1918)". Tadeusz Cieślak zamieszcza studium „Prasa w zaborze pruskim (Śląsk, Pomorze, Warmia, Mazury) w latach 1871—1918" Andrzej Paczkowski pisze o „Prasie polskiej na obczyźnie (1870—1918)", po czym Aleksandra Garlicka publikuje rzecz o „Prasie w Królestwie Polskim pod okupacją niemiecką i austriacką (1915—1918)". Układ jest więc stosunkowo przejrzysty, chronologia uzasadniona.

Znaczną wartość naukową przedstawia wreszcie zamieszczona na końcu tomu bibliografia, uwzględniająca stan piśmiennictwa (niestety!) tylko do listopada 1974 r. Całość zamykają indeksy nazwisk i tytułów prasowych. Sądzę, że czytelnikowi przydałby się jeszcze jeden: mianowicie partii i organizacji politycznych. Jeżeli bowiem np. ktoś chciałby się szybko zapoznać na podstawie tego tomu z dziejami polskiej prasy socjalistycznej — a została ona tam omówiona — dysponując odpowiednim indeksem nie musiałby wertować całego tomu. Hasło „prasa socjalistyczna" pojawia się w nim wprawdzie w podtytułach aż trzykrotnie, ale mylilibyśmy się, gdybyśmy sądzili, że jest o niej mowa tylko w tych miejscach.

Nie żądajmy jednak zbyt wiele: to co otrzymaliśmy stanowi dzieło wartościowe, bogate pod względem informacyjnym, niezbędne dla każdego historyka czy historyka literatury — a to już niemało. Wydawca (PWN) zadbał o piękną formę książki, która ukazała się na ładnym papierze, ze starannie dobranymi i wykonanymi ilustracjami (szkoda, że w mym egzemplarzu niektóre są sromotnie pognieciona), w przyjemnej oprawie płóciennej. Dobre za to słowo należy się Łódzkim Zakładom Graficznym.

LEKTOR

WRACAMY DO TEMATU

JACEK INDELAK

REPORTER STRZELA, A KTO KULE NOSI!

Napisałem reportaż interwencyjny. Sądziłem, że jego publikacja załatwi wszystko: komu trzeba oczy otworzy, a komu innemu gębę raz na zawsze zamknie. Sądziłem, że sprawiedliwości stanie się wreszcie zadość. Miałem prawo tak sądzić. Mawia się często o krzyczącej niesprawiedliwości, a jeśli jest to powiedzenie słuszne, to z mojego reportażu — z całej tej sprawy — niesprawiedliwość darła się wniebogłosy, jak zarzynane prosie. Reportaż nosił tytuł: „Testament Józefa Kosiorka", a opublikowany został 2. 09. 1976 roku w nrze 36 „Odgłosów".

I.

Tytułowy testament spisywano u łoża śmierci Józefa Kosiorka **w grudniu 1956** roku we wsi Popów pod Łowiczem, w której to wsi gospodarował Kosiorek na trzech hektarach z kawałkiem. Gospodarstwo swe zapisał najmłodszej córce — **Stefanii Siewierskiej**, która — w przeciwieństwie do swych pięciu sióstr — pozostała na ojcowiźnie, harując na niej od dziecka.

„Tylko ziemi nie dzielić" — taka była ostatnia wola umierającego, który zapisał też morgę ziemi swej żonie, 65-letniej wówczas Katarzynie, ale — w dożywocie. Po śmierci ojca Stefania zajęła się gospodarstwem, uprawiając je w całości, Katarzyna zaś opiekowała się trójką jej dzieci. W miarę jednak upływu lat starość coraz bardziej dawała się we znaki Katarzynie. Dożywotnia morga jęła najpierw „wędrować" po całym gospodarstwie — w poszukiwaniu lepiej udanych upraw — aby w końcu „rozrosnąć" się do rozmiarów niemal połowy ojcowskiej schedy. Dla świętego spokoju nie reagowała Stefania nawet wtedy, gdy **Katarzyna Kosiorek** „wpuściła" na gospodarstwo swego wnuka — **Stanisława Siejkę**, który całkiem bezprawnie zaczął ciągnąć zyski z cudzej ziemi. Stefania nie sprzeciwiała się, sądząc, że po śmierci matki wszystko wróci do normy. Myliła się jednak okrutnie.

Przed śmiercią staruszki zaczęła bowiem działać w **Popowie** Powiatowa Komisja do spraw Uwłaszczeń w Łowiczu, wcielająca w życie postanowienia Ustawy z 26 października 1971 roku o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych. Komisja postanowienia ustawy „wcieliła" w gospodarstwo po Józefie Kosiorku w sposób szczególny. Podzieliła je bowiem na dwie części, a właściwie poszatkowała na wiele kawałków, które — nieprzemiennie — przydzieliła dwóm „właścicielom".

Akty własności wystawiono z datą **28 listopada 1974 roku**, a więc o dwa miesiące późniejszą od daty śmierci **Katarzyny Kosiorek**, która została — po swej śmierci — właścicielką części gospodarstwa, resztę zaś otrzymała — żyjąca — **Stefania Siewierska.**

Katarzyna umarła, nie ma więc sprawy. Niestety, 84-letnia staruszka na dwa miesiące przed śmiercią zabrana została przez córkę, **Anielę Siejkę**, matkę wspomnianego Stanisława, pod jego dach, gdzie też spisany został testament, czyniąc spadkobierczynią po Katarzynie jej córkę — Anielę.

Decyzja podstawowej komisji obróciła się więc tym sposobem przeciwko **Stefanii Siewierskiej**, która do całej ziemi ma pełne i wyłączne prawo. Stefania — rzecz jasna — złożyła odwołanie od tej decyzji, bez rezultatu jednak: decyzja utrzymana została w mocy. Również i pięć kolejnych odwołań spełzło na niczym. Nie znalazł się nikt, kto dostrzegłby oczywisty absurd i jawną niesprawiedliwość decyzji. Sprawa została rozstrzygnięta ostatecznie **5 lipca 1976 roku przez Wojewódzką Komisję do spraw Uwłaszczenia przy Wojewodzie Skierniewickim.**

Żadne z wysokich ciał nie raczyło wziąć pod uwagę wielu ważnych okoliczności. Między innymi tej, że o schedę po Józefie Kosiorku **ubiega się nie Aniela Siejka, która zresztą od dawna nie jest rolniczką, lecz jej syn — Stanisław, „rencista z zawodu"**, któremu nie dość gospodarstwa matki, jakie uprawia od lat, nie dość kilku dzierżawionych we wsi hektarów, lecz jeszcze sięga po cudzą ziemię, należąca się bezsprzecznie S. Siewierskiej i jej dzieciom.

II.

3 listopada 1976 roku odbyła się przed **Sądem Rejonowym w Łowiczu** rozprawa sądowa z wniosku **Anieli Siejki** o ustalenie praw do spadku po **Katarzynie Kosiorek**

Aniela Siejka przedłożyła sądowi — na jego żądanie — zaświadczenie podpisane przez sołtysa wsi Popów i naczelnika gminy Łowicz, stwierdzające że na przestrzeni ostatnich lat mieszkała we wsi Popów i uprawiała ziemię, tak własną, jak i należącą rzekomo do Katarzyny Kosiorek.

Mecenas **M. Frankowski**, reprezentujący S. Siewierską, obalił ten dowód, udowadniając z kolei, że **A. Siejka** — wbrew zapewnieniom sołtysa i naczelnika — przez pewien okres czasu zameldowana była na pobyt stały w Ursusie pod Warszawą! Trzej zeznający na rozprawie **świadkowie stwierdzili, że A. Siejka od dawna już nie uprawia nie tylko własnej, ale — w ogóle — żadnej ziemi**, zamieszkuje zaś w Łowiczu, gdzie opiekuje się dzieckiem swej córki, pracując również okresowo w szkole jako sprzątaczka. Przebieg rozprawy był więc oczywisty. Także i dla rodziny Siejków, których nie ukrywany gniew dowodził, iż oni również sądzili, że sprawę przegrali.

Wyrok został ogłoszony w dwa tygodnie później. **Sąd orzekł prawo A. Siejki do spadku po swej matce K. Kosiorek!**

III

W tym mniej więcej czasie do „Odgłosów" wpłynęło pismo (znak: ON-4510/128/76) z **Wojewódzkiej Komisji do spraw Uwłaszczenia przy Wojewodzie Skierniewickim**, podpisane przez jej przewodniczącego inż. — **Kazimierza Sokołowskiego.** W piśmie tym dokonano obszernej i wielce formalistycznej prezentacji „faktów", które zresztą nie odbiegają od tych, jakie przedstawiłem w swoim reportażu. Zacytujmy więc tylko obszerne końcowe konkluzje i argumenty z tego pisma:

„Decyzje te (mowa o nadaniu aktów własności — przyp. J.I.) **zostały utrzymane w mocy (...) jako wydane zgodnie z przepisami ustawy z dnia 26.10.1971 r. (...) i prawidłowo ustalonym przez organ I instancji stanem faktycznym.**

Nieruchomość będąca przedmiotem postępowania w sprawie była wspólną własnością Józefa Kosiorka i jego żony Katarzyny Kosiorek, ponieważ osoby te zamierzające zawrzeć związek małżeński, aktem notarialnym nr 1271 z 1911 r zawarły małżeńską umowę majątkową, mocą której ustanowiły między sobą bezwarunkową wspólność majątkową (...)

Józef Kosiorek w dniu 9.12.1956 roku sporządził dokument, który nazwał testamentem, ważność którego mógłby stwierdzić jedynie Sąd w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku, niemniej jednak, gdyby przyjąć, że jest to testament, to sprawą oczywistą jest, że mógłby być on skuteczny jedynie w odniesieniu do tego majątku, który w chwili śmierci Józefa Kosiorka stanowił jego wyłączną własność, bo dysponować można tym, co się samemu posiada (...).

Tymczasem stan faktyczny na gruncie wyglądał tak, że nastąpił fizyczny podział nieruchomości w ten sposób, że Stefania Siewierska objęła w wyłączne posiadanie działki o ogólnej powierzchni 1,99 ha, Katarzyna Kosiorek działki o pow. 1,60 ha, zaś działkę zagrodową o ogólnej pow. 0,8 ha obydwie strony współposiadały, posiadając również wspólnie znajdujące się tam zabudowania. Podział taki nastąpił w 1962 r. (...).

Taki stan zastała właśnie ustawa (...).

Katarzyna Kosiorek nigdy nie była dożywotnią użytkowniczką — czyli posiadaczka zależną, ponieważ jako współwłaścicielka połowy całej tej nieruchomości władała nią jako posiadaczka samoistna tak do momentu podziału jak i już po podziale nieruchomości (...)

Katarzyna Kosiorek i Stefania Siewierska od momentu objęcia w posiadanie wydzielonych fizycznie części nieruchomości prowadziły na nich oddzielne zupełnie gospodarstwa rolne.

(...) W związku z (...) prawowym uwarunkowaniem każdy samoistny posiadacz nieruchomości bez względu na jego wiek, stan zdrowia i wreszcie możliwości prowadzenia gospodarstwa rolnego, staje się z mocy prawa właścicielem nieruchomości posiadanej w dniu 4.11.1971 r. jeśli tylko spełnia warunek, że objął ją w posiadanie w drodze jednej z nieformalnych umów o przeniesienie własności i jest posiadaczem samoistnym.

Ponieważ nabycie to następuje z mocy prawa a decyzja ma jedynie charakter deklaratoryjny, czyli jest tylko potwierdzeniem tego nabycia (...) przeto fakt późniejszej śmierci posiadacza nie stoi na przeszkodzie wydaniu takiej decyzji (...).

Tyle o stanie faktycznym i prawnym sprawy, załatwienie której uważam za bardzo prawidłowe".

Moim zdaniem zawarcia przez Katarzynę de domo Czubak i Józefa Kosiorka intercyzy przedmałżeńskiej sprawy nie rozstrzyga. Upór, z jakim rzecznicy interesów rodziny Siejków podnoszą znaczenie tego dokumentu sprzed półwiecza jest aż nadto zrozumiały. Jest to bowiem jedyny punkt zaczepienia, na którym opiera się cała ta arcywątpliwa argumentacja.

Istotnie przyszli małżonkowie Kosiorkowie intercyzę zawarli. Zawarli ją zgodnie z postanowieniami... Kodeksu Napoleońskiego, a więc zbioru praw, który ostatecznie przestał obowiązywać w naszym kraju 1 stycznia 1947 roku. To jednak początek, a nie koniec. Istotnie kodeks ten mówi o intercyzach, ale mówi trochę więcej: że **intercyza przedmałżeńska mocy prawnej nabiera tylko i wyłącznie wówczas, gdy zostanie wpisana do aktu zawarcia związku małżeńskiego.** Jednakże żadna ze znakomitych komisji nie przedstawiła żadnego dowodu na to, że intercyza została do aktu ślubu wpisana. Nietrudno zgadnąć, dlaczego?

A zatem **Katarzyna Kosiorek nigdy nie była posiadaczką gospodarstwa.** I na tym można by sprawę zamknąć. Są jednak jeszcze inne „argumenty", którym warto przyjrzeć się z bliska, choć już w niczym sprawy nie zmieniają.

Józef Kosiorek miał więc pełne prawo, żeby dysponować całym gospodarstwem. Decyzję jego na domiar w pełni popierała 65-letnia wówczas żona, która również złożyła podpis pod testamentem. Dokument ten z różnych przyczyn nie nabrał mocy prawnej, tym niemniej jego spisanie było czynnością prawną — pisemnym poleceniem dla dzieci. Sam zaś dokument jest przecież wspólnym oświadczeniem małżonków Kosiorków w przedmiocie przyszłości gospodarstwa rolnego. **Katarzyna Kosiorek nigdy zresztą treści tego oświadczenia nie kwestionowała** i niemal do samej śmierci **nie uważała się za samodzielną posiadaczkę części gospodarstwa.**

Wyjątkiem jest, oczywiście, fakt w postaci „testamentu" tejże Katarzyny spisanego w domu **Stanisława Siejki** na krótki czas przed śmiercią. Charakterystyczne, że dokument ów bezkrytycznie potraktowany został tak przez Urząd Gminy, jak przez Sąd Rejonowy w Łowiczu. A przecież jest to ostatnia „wola", nie własną zresztą ręką spisana, 84-letniej, dogorywającej staruszki, która — ze względów chociażby czysto biologicznych — daleka była od pełni władz fizycznych i umysłowych. Testament zresztą ten — co już zostało powiedziane — jest bezskuteczny, jako że **nie istnieje masa spadkowa po Katarzynie Kosiorek.**

Kolejny argument inż. **Kazimierza Sokołowskiego**, głosi, że w 1962 roku nastąpił podział nieruchomości i K. Kosiorek objęła jego część w wyłączne posiadanie.

Co znaczy objęła w „wyłączne posiadanie"? Jakie są dowody na to, że była samoistną posiadaczką części nieruchomości? Istnieją natomiast dowody na to, że Katarzyna Kosiorek nie była nigdy samoistną posiadaczką ziemi. Jeden z nich wynika z Ustawy o Podatku Gruntowym, która jasno powiada, że obowiązek płacenia podatku spoczywa na **„właścicielu gospodarstwa, jego spadkobiercach oraz wszelkiego rodzaju użytkowników". Katarzyna Kosiorek nigdy nie zapłaciła podatku gruntowego.** Jej imię nigdy nie zostało ujawnione w ewidencji podatkowej. W świetle prawa K. Kosiorek była n i k i m w stosunku do tego gospodarstwa.

Jakie więc podstawy miały komisje, aby zastosować wobec K. Kosiorek art. 1, ust. 1 Ustawy Uwłaszczeniowej na który się powołują? Ustęp ten mówi, że nieruchomości wchodzące w skład gospodarstw rolnych stają się z mocy prawa własnością tych rolników, w których samoistnym posiadaniu znajdowały się w dniu wejścia w życie ustawy. **Nikt nigdy, żadna komisja, żaden sołtys i naczelnik nie udowodnili, że K. Kosiorek była samoistną posiadaczką!**

A poza tym nieprawdziwy jest również „argument", że akt własności nadaje się **„niezależnie od wieku, stanu zdrowia i możliwości prowadzenia gospodarstwa rolnego"**, co ponoć ma wynikać z ustawy, a co jest sprzeczne z jej duchem! Stoi zresztą w niezgodzie z obowiązującym w naszym kraju prawem. Oto bowiem rozporządzenie **Rady Ministrów** do Kodeksu Cywilnego z 18.09.1970 r. (Dz. U. nr 24, poz. 199) nowelizowane w 1972 roku głosi w §12:

„Współwłaściciell nieruchomości rolnej uważa się za trwale niezdolnych do pracy, jeżeli: 1) Osiągnęli wiek — kobiety 60 lat, a mężczyźni — 65 lat, i nie wykonują stałej pracy, która stanowiłaby dla nich główne źródło utrzymania..."

A więc **w świetle prawa Katarzyna Kosiorek była niezdolna do pracy nie tylko w dniu wejścia w życie ustawy uwłaszczeniowej, ale już w dniu śmierci swego męża, kiedy to miała przecież 65 lat.**

Ustawa Uwłaszczeniowa z 26.10.1971 r. miała za zadanie zlikwidować ujemne skutki nieformalnego obrotu nieruchomościami rolnymi, a więc kupna, darowizny, dożywocia, działu spadku. Jej zadaniem było doprowadzenie do nadania tytułu własności wszystkim tym, którzy na podstawie powyższych czynności uzyskali prawo samoistnego posiadania i osobistego użytkowania ziemi. Powtarzam: **osobistego użytkowania!**

Inż. **Kazimierz Sokolowski** powołuje się w piśmie na Instrukcję nr 3 Ministra Rolnictwa, dotyczącą wcielenia w życie ustawy, która mówi wyraźnie **o osobistym użytkowaniu ziemi** przez jej posiadacza w dniu wejścia w życie ustawy tj. **4 listopada 1974 roku.** A przecież **w tym dniu Katarzyna Kosiorek nie użytkowała ziemi,** którą jej pośmiertnie przyznano. O tym, że ziemi nie użytkowała wiedziały komisje, co zresztą wyraźnie stwierdziła jedna z nich na piśmie:

„Wojewódzka Komisja d/s Uwłaszczenia przy Wojewodzie Skierniewickim. ON/4510/128/76 (...) Uzasadnienie (...) Z ustaleń dokonanych w sprawie niniejszej wynika, że w dniu 4 XI.1971 r. w siedlisku w przedmiotowym gospodarstwie zamieszkiwała Stefania Siewierska i Katarzyna Kosiorek współposiadając je oraz wspólnie korzystając z budynków Natomiast część orną, którą otrzymała Katarzyna Kosiorek w wyniku działu spadku (była więc właścicielka czy spadkobierczynią?! — przyp. J.I.) dzierżawił jej wnuk — Stanisław Siejka".

Inż. **Kazimierz Sokołowski** nie widzi nic w tym zdrożnego, że komisja przyznała ziemię Katarzynie Kosiorek — niczym order — pośmiertnie, jako że — jego zdaniem — decyzja ta ma charakter deklaratoryjny. To, niestety, niczego nie wyjaśnia. Inż. **Kazimierz Sokołowski** kończy swoje pismo wzniosłym peanem na cześć **„wysokiego poziomu zawodowego, moralnego, etycznego"** komisji, które zajmowały się tą sprawą.

„Tymczasem — pisze on — **publikacja artykułu questionis, w oczach laików wywołała odczucie, że w załatwianiu spraw organy te nie kierują się prawem, a wpływ na decyzje mają jakieś zakulisowe zabiegi".**

„...przecież informacje zawarte w artykule nie są prawdziwe, niemniej jednak strona postępowania zachęcona treścią artykułu aktualnie nie przyjmuje rzeczowych argumentów a tylko powołuje się na ten artykuł, wnosi dalsze odwołania".

Pismo kończy się ostatnim zarzutem:

„Na marginesie podkreślam, że autor artykułu nie zapoznał się z aktami spraw ani I ani II instancji, skąd wniosek, że oparł się jedynie na jednostronnych wyjaśnieniach Ob. Stefanii Siewierskiej."

W reportażu nie tylko obficie cytowałem dokumenty, przytoczyłem nie tylko wypowiedzi **Stefanii Siewierskiej** i jej siostry — **Franciszki Wojdy**, lecz również fragment rozmowy ze **Stanisławem Siejką** i jego żoną. Nadto cały tekst zamknąłem krótkim cytatem z długiej rozmowy z naczelnikiem gminy Łowicz — **Janem Jackowskim**, który odsłonił mi (przy świadku nb.) dość szczegółowo kulisy pewnych „zakulisowych zabiegów". Są to fakty, które można sprawdzić w 36 numerze „Odgłosów" z 1976 roku.

IV

W połowie listopada 1976 r. wysłałem notę do wojewody skierniewickiego z prośbą o spotkanie w sprawie mojego reportażu. Spotkanie to odbyło się **29 listopada 1976 r.** i — jak mi się wydawało — udało mi się przekonać rozmówców, że sprawiedliwość jest po stronie **Stefanii Siewierskiej.** Zaproponowałem, aby urząd skorzystał z art. 127 Kodeksu Postępowania Administracyjnego i wznowił postępowanie, zobowiązując obie strony do przedstawienia od nowa wszystkich — starych i nowych argumentów. Otrzymałem w końcu przyrzeczenie, że sprawa zostanie rozpatrzona ponownie, o czym zostanie we właściwym czasie poinformowane Ministerstwo Rolnictwa, które zainteresowało się nią na skutek skargi pokrzywdzonej. Przekazanie sprawy w obecnym jej stadium groziłoby bowiem utrzymaniem przez Ministerstwo krzywdzącej decyzji. Obiecano mi nadto, że w piątek, 3 grudnia 1976 r. a najpóźniej w poniedziałek — 6 grudnia 1976 r. poinformowany zostanę o dalszym trybie załatwiania sprawy.

— Z początkiem stycznia 1977 r. otrzymałem odpis następującego pisma:

„Ministerstwo Rolnictwa. Departament Gospodarki Ziemią (...) Nasz znak: RLS. org. 028/61/76. W załączeniu przesyłam akta sprawy dotyczącej (...) z prośbą o rozpoznanie skargi ob. Stefanii Siewierskiej (...) W związku z tą sprawą ukazał się w tygodniku „Odgłosy" artykuł krytykujący postępowanie i decyzję Wojewódzkiej Komisji ds. Uwłaszczenia. Obywatelka Stefania Siewiarska twierdzi, że decyzja Komisji jest niesłuszna i w przekonaniu tym utwierdza ją jeszcze artykuł redaktora Jacka Idelaka (...) a zadaniem Przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji (...) decyzja jest słuszna i nie powinna ulec zmianie.

W związku z tym proszę uprzejmie o ostateczne rozstrzygnięcie sprawy przez Ministerstwo Rolnictwa.

Podpisano: inż. **Władysław Gala**
wicewojewoda."

Czy ktoś coś z tego rozumie? Bo ja już nie.

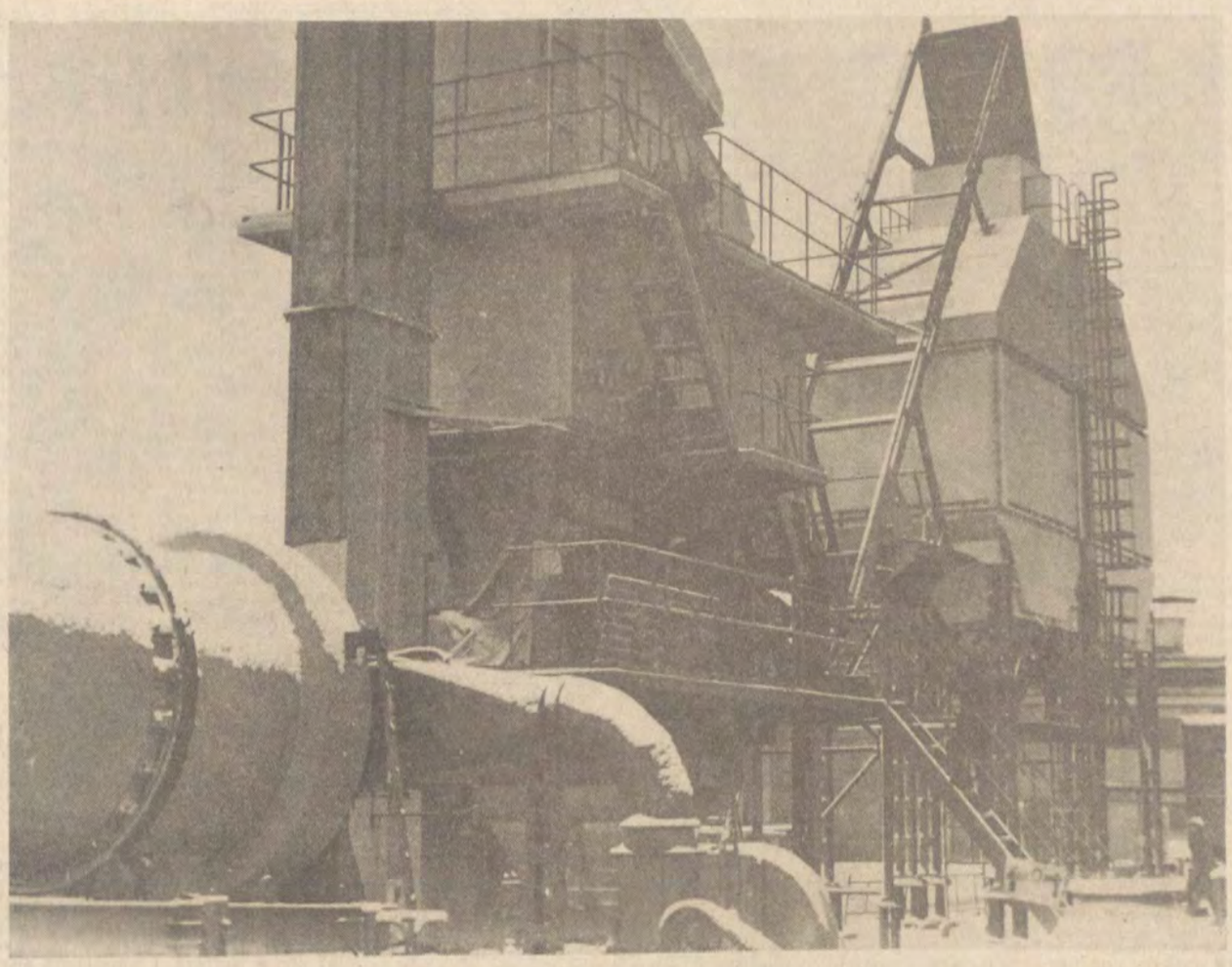

Foto: Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

Smok podniósł łeb

Nad placem fabrycznym srebrzy się w słońcu smukły łeb smoka. Sąsiedzi i przejezdni zatrzymują się, patrzą, snują kombinacje.

— Nową fabrykę budują?
— Jasne, tajemnica produkcji, wojskowa....
— Panie, to jest wyrzutnia rakietowa!

Pierwszy głos najbliższy prawdy: ten smok to fabryka, którą można przenosić z miejsca na miejsce.

— Sama wytwórnia — dyrektor naczelny „Madro", Ryszard Niedźwiecki, pochyla się nad barwnymi prospektami — **waży dwieście ton i można ją zmontować na powierzchni tysiąca metrów kwadratowych. Ale dojdzie jeszcze pięćdziesiąt siedem ton instalacji odpylających. Musimy dbać o ochronę naturalnego środowiska...**

Przez chwilę rozmawiam z Niedźwieckim, ponieważ dyrektor techniczny, **Konrad Waprzko,** ubija interes ze Szwedem, któremu chce sprzedać jakieś maszyny.

Kiedy w marcu ubiegłego roku w dyrektorze Waprzko odkryłem kumpla ze szkolnej ławy i w numerze dwunastym „Odgłosów" starałem się utrwalić reporterskim piórem trudne narodziny smoka, oznaczonego tajemniczym kryptonimem **WMB-100,** czyli pierwszej w kraju wytwórni mas bitumicznych, która daje na godzinę sto ton masy, a dziennie kilometr asfaltu, sytuacja nie była wesolutka: nerwy, zgrzyty i zapał, lenistwo kooperantów.

A oni chcieli zrobić ten prototyp przed terminem. Żeby Mariniemu z Italii nie bulić tysięcy dolarów.

Oni, to przede wszystkim starszy mistrz **Eligiusz Janiszewski** i przynajmniej piętnastka ludzi, a wśród nich m. in. **Wincenty Śpionek, Mirosław Słowiński, Misiak** czy **Mieczysław Górecki,** o którym szefowie mówią, że jest to rzemiecha precyzyjny, ślusarz, którego robotę zawsze można opatrzyć znakiem „Q".

Smok podniósł łeb.

Żeby mnie, faceta z wyobraźnią techniczną — mówiąc skromnie — przeciętną, dobić i zmiażdżyć, Waprzko rzuca nowymi danymi:

— WMB-100 sterowana jest z kabiny wielkości komfortowego domku kampingowego na kółkach. Kabinę z maszyną łączy ponad dwa kilometry przewodów elektrycznych wielożyłowych. Instalacja jest założona. Napęd mieszalnika posiada silnik o mocy 60 kilowatów. Wyciąg spalin z maszyny ma zainstalowany wentylator o wydajności sześćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych powietrza na godzinę. Wentylator jest poruszany silnikiem o mocy stu kilowatów...

Obejrzałem sobie to z bliska, ale mimo zachęty na czubek wytwórni nie wlazłem; na wysokości siedemnastu metrów ostro duje i huśta, maszyna w okresie wstępnych prób nie jest zabetonowana.

Foto: Archiwum

Reporterka z **„Życia Pabianic"** napisała:

„Taki moment ma zawsze w sobie coś wzniosłego dla wszystkich wykonawców dzieła — jest to przecież ostateczny efekt długotrwałej, w tym wypadku prawie dwuletniej pracy".

I fajnie, ten wzniosły moment — te ostatnie minuty montażu — ale w tym wzniosłym momencie można nieraz dostać sraczki, albo tak się wkurwić, że nie pomoże sztab najlepszych psychologów. Zwłaszcza, gdy komisja tupie za drzwiami, a tu...

Ale od początku.

Właściwy montaż rozpoczęto w lipcu. Wiedziałem, że były sęki z dostawcami. Udałem się więc do pani **Bożeny Skoczylas,** szefowej działu zaopatrzenia. U pani Bożeny można się rozgrzać, uśmiech ma taki promienny, ale nie dla wszystkich, bo na gnuśnych kooperantów umie tupnąć i wrzasnąć.

— Z „Eltą" — mówi — jesteśmy już w dobrych stosunkach, oporniki będą. „Ema Apator" w Toruniu do dziś bimba i gwiżdże. Ostatnie pismo, chyba dziesięte z kolei, z prośbą o dostarczenie nietypowych zespołów rozdzielczych „ZD" wystosowaliśmy dwunastego października. Odpowiedź przyszła ósmego listopada: zamówienie wykonają do trzydziestego września 1977 roku...

Na lipiec potrzebny był dozownik materiałów sypkich. **Białostockie Zakłady Ceramiki Budowlanej** we wrześniu napisały, że przesuwają terminy dostawy na październik. Ostatecznie **„Madro"** otrzymało ten dozownik dwudziestego piątego listopada rano. Ale nie było w nim bebechów, niekompletny, bez osprzętu elektrycznego.

Ta ostatnia data jest bardzo ważna. Inne dostawy udało się jakoś zrealizować. Ale nie obyło się bez ceregieli, wybiegów i kombinacji...

— Zmuszeni byliśmy kupić trzy zbiorniki do cementu: dwa po sto dwadzieścia ton, jeden dwudziestopięciotonowy. Najpierw zdobyliśmy mały zbiornik. Żeby kupić dwa duże, musieliśmy go oddać, a następnie wystarać się o nowy w Krakowie...

Ogromne znaczenie miały: waga elementów i wysokość montażu. Zabrakło wysięgnika (czyli ramienia) na polskim dźwigu sześciotonowym. Po miesiącu okazało się, że brakuje wysięgnika na radzieckim Krazie, który może dźwigać szesnaście ton na wysokość piętnastu metrów. A potem przyszła chwila, kiedy mniej wytrzymali nerwowo prysnęli pod ściany, innych zaś usztywniło i zmroziło; patrzyli jak urzeczeni na koła Kraza: uniosły się do góry, jakby dźwig miał ochotę się przewrócić...

— Ale od tego momentu — mówi z powagą Waprzko — **zyskaliśmy sojusznika. Z pomocą przyszło Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych: otrzymaliśmy dźwig „Hydros" o udźwigu trzydziestu ton i możliwości podnoszenia ciężarów na wysokość dwudziestu pięciu metrów...**

Zakłady Budowy i Naprawy Maszyn Drogowych „Madro" zobowiązały się wykonać prototyp **WMB-100** do lipca 1977 roku. Później skrócono termin do końca 1976 roku, aby ostatecznie zdać maszynę dwudziestego piątego listopada. I słowa dotrzymali.

Dwudziestego piątego listopada sortownik o wadze pięciu ton leżał na przyczepie, komisja czekała na odbiór, montażyści zaś na dźwig, który mimo ustalonego terminu nie zjawiał się. Nerwy, napięcie, zgrzytanie zębami: ludzie wybuchali i opieprzali się nawzajem. Rozgoryczenie, bo to przecież dwa lata roboty. **Eligiusz Janiszewski** załamał się, chciał wnieść ten cholerny sortownik na rękach, ale dźwig przyjechał.

Na górze stali: **Sędzio, Misiak i Szkudlarek.** Pięciotonowy sortownik wjechał na wysokość siedemnastu metrów, zawisł i osiadł miękko, bez przeszkód; wszystko pasowało.

Zawieszono wiechę, wódki nie było, bo w zakładzie nie wolno. Był uśmiech dyrektorów, trochę później premie, bo szybkością wykonania zaskoczyli rachubę. Telewizja łódzka także zaspała, tę operację warto było pokazać widzom w kraju...

Eligiusza Janiszewskiego tak wyczerpały: napięcie, gra nerwów, obciążenie psychiczne (żona też miała pretensje), że słowa trudno od niego wyciągnąć.

— Dosyć tego pięknego — mówi. — Wiatr, deszcz, mróz, śnieg — wszystko było. Na górze huśtawka, ludzie w gumiakach, fufajkach, uszatkach, ale skostniali, nawet papierosa nie zapali. Komorę kierującą musieliśmy montować bez barierek ochronnych, ponieważ zawadzały. Najodważniejszy wlazł do połowy schodków i zrobił odwrót, bo przy tej komorze przejście szerokości osiemdziesięciu centymetrów, a dalej czternastometrowa przepaść. No, ale ta maszyna budzi u kibiców szacunek.

Sprzedali ją za dwanaście i pół miliona, na jednego montażystę w ciągu roku przypadło siedemset tysięcy. Później koszty produkcji zmaleją.

Od dwudziestego listopada 76 roku do piętnastego stycznia 77 roku trwają na placu fabrycznym próby. Na biegu jałowym, bez obciążenia maszyny. Następnie rozłoży się to wszystko, przewiezie pod Tarnów, gdzieś w pobliże kopalni kruszywa złoży i podda próbie eksploatacyjnej. Smok zacznie warczeć, dymić, pluć ogniem...

Narodziny smoka przyniosły również skutki uboczne. W **„Madro"** zaczęto czytać „Odgłosy", m. in. pani sekretarka, i nawet sobie chwalą. Natomiast dyrektor **Konrad Waprzko,** któremu nieopatrznie wytknąłem zdezelowanego „Moskwicza", za co groził mi sądem ujął się honorem, zabrał żonę i córkę, żeby samemu nie zginąć w drodze, i udał się na wschód kraju, gdzie w jednym z miast, po wielogodzinnych tarapatach nabył „Ziguli" w upragnionym kolorze zielonym. Jak dobrze pójdzie, to ruszę z nim pod Tarnów obejrzeć dymiącego smoka...

LUDZIE I INCYDENTY

Był czas, kiedy **Edwarda Mikołajczyka** atakowano zmasowaną kanonadą felietonową na łamach wszystkich niemal gazet. Trudno powiedzieć, że niesłusznie — początkowo istotnie fascynacja kamerą i szerokim zasięgiem odbioru sprawiły, że dziennikarz ten demonstrował bezczelność i brak wychowania. Ale Mikołajczyk jest człowiekiem inteligentnym. Zmasowany atak i demonstrowana niechęć do stylu prowadzenia programów dały mu widać do zrozumienia, że coś istotnie jest nie tak. I dziś **Edward Mikołajczyk,** zachowując swą indywidualność, odrzucił dawne gesty i pozy gwiazdora. Świadczy to, że jest on naprawdę „telewizyjną osobowością" i dziś głosowałbym na Mikołajczyka bez wahania. Po prostu **Edwarda Mikołajczyka** po metamorfozie nie można już traktować jak swawolnego Dyzia.

Nadal natomiast taką sympatyczną maskotką, którą nie sposób traktować poważnie jest Bożena Walter. Pani Walter ma jedną poważną zaletę — dla prezentera telewizyjnego podstawową. Otóż nie peszy się, „nie obsuwa" jak mawia młodzież, zachowuje się tak swobodnie, jest na bezustannym „luzie", że nie sposób się na nią gniewać, gdy w tej swobodzie paple byle co i byle jak.

Przez miesiąc pani Walter przygotowuje się do występu w Studio 2, ale kiedy już jest na wizji, to zapowiada film z serii „Bolek i Lolek" w ten sposób: **„Film ten uzyskał główną nagrodę na festiwalu filmów w Argentynie".** Bzdura zupełna — to tytuł filmu brzmiał **„Wielka nagroda Argentyny"** i opowiadał, jak Bolek i Lolek wygrali wyścig samochodowy w Argentynie. A potem p. Walter z rozbrajającym uśmiechem przeprasza nas za to, że nie wie co mówi — i wszystkim jest przyjemnie. Mniej przyjemnie było małej Ani Pomian, kiedy p. Walter, wiedząc, że dziewczynka nie ma ząbków, zawołała: **„A teraz Aniu, pokaż ząbki",** na co dziecko przestraszone zasłoniło buzię. Na koniec wszystkiego p. Walter wylała na siebie szklankę coca-coli i chociaż **Edward Mikołajczyk** ratował sytuację jakimś żartem, p. Walter zawołała głosem słodkiej maskotki: „O rety, to moja sukienka..."

A teraz przejdźmy od incydentów do wydarzeń telewizyjnych. Bez wątpienia był takim wydarzeniem program z cyklu **„Twarze teatru",** poświęcony **Wojciechowi Pszoniakowi.** Program ten zapowiadano już bodaj dwukrotnie, ale z przyczyn technicznych nie dochodził on do skutku. Ostatnio zresztą też trudności techniczne sprawiły, że audycję o Pszoniaku przeniesiono w ostatniej chwili na sam koniec programu, około północy.

Oglądając **„Twarze teatru"** zrozumiałem wszystkie techniczne kłopoty z tym programem. Według moich obliczeń został on zrealizowany jakieś... dwa lata temu, w każdym razie wówczas żył jeszcze Konrad Swinarski, który mówi w tym programie o Pszoniaku i o którym Pszoniak mówi jeszcze jak o żyjącym. A przecież Swinarski nie żyje od ponad roku. Poza tym w **„Twarzach teatru"** występuje cała masa różnych ludzi — aktorów, krytyków, reżyserów... Myślę więc, że takie programy trzeba nadawać od razu, bo potem zawsze coś może przeszkodzić. Jak w tej opowieści chłopa z książki Artioma Wiesiołego — chciał wstąpić do wojska, ale zawsze mu w tym coś przeszkadzało; a to były żniwa, a to wykopki, a to do bandy przystał...

Poza tym to straszliwa nieoszczędność i zamrożenie pieniędzy, gdy jakiś program czeka latami na emisję. W międzyczasie uczestnicy mogą zmienić poglądy i emisja programu traci wszelki sens.

Ale telewizja oszczędza — a jakże! Ostatnio widzieliśmy program **Magdy Umer i Macieja Zembatego.** Piosenki i pioseneczki z „warsztaciku" — jak skromnie (i słusznie) powiada Zembaty — raczej rzemieślnika niż poety. Ale posłuchać można. Program istotnie niezbyt kosztowny, jednego z muzyków Magda Umer wygoniła ze studia w połowie programu... Widać był na pół etatu. A całość odbywała się w dekoracji sztuki Osborne'a „Nie do obrony". Dlaczego? Chyba dla oszczędności, bo innego uzasadnienia brak. A zresztą... Może chodziło o to, że słabiutki popis Zembatego też był raczej... nie do obrony?

TELEMAN

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Redakcja Wydawnictwa Łódzkiego — listopad 1957. Od lewej Barbara Poulain, Irena Wiesenberg (sekretarka redakcji), Leon Gomolicki, Juliusz Saloni, Stanisław Czernik (redaktor naczelny)

Dalszy ciąg ze str. 1

tyment, chociaż tu właśnie wydałem pierwszą swoją książkę i z inspiracji wydawcy zamierzyłem się na następne. Swój kulturotwórczy charakter podkreśliło Wydawnictwo Łódzkie już w pierwszych latach istnienia organizując ogólnopolski konkurs na powieść. Był rok 1958. Pośród laureatów konkursu spotkamy nazwiska wybitnych pisarzy. Tu uzyskała pierwszą nagrodę powieść Wilhelma Macha „Życie duże i małe", która weszła dziś do kanonu lektur szkolnych. Tu nagrodzeni zostali: Aleksander Minkowski, Wanda Karczewska, Eugeniusz Kabatc, Józefa Radzymińska. Leon Gomolicki, znany wcześniej przede wszystkim w sferach naukowych, przeżył swoje nasowanie na powieściopisarza, a dziś nie bez racji zaliczany jest do najwybitniejszych pisarzy współczesnych. Tak, Wydawnictwo Łódzkie to niebagatelny wycinek polskiej kultury, wypróbowany i zasłużony mecenas pisarzy z całego kraju. Instytucja, która zainicjowała niejedną ważną inicjatywę, wywołała niejeden talent, o czym świadczy choćby liczba ogłoszonych w tej oficynie debiutów.

Znów staje mi przed oczami Stanisław Czernik ze swoją naznaczoną brzemieniem czasu, szlachetną twarzą, taki sam jakim był już śmiertelnie chory, przezwyciężający cierpienie. Czernik to hasło wywoławcze Biblioteki Poetów. Kto nigdy nie zetknął się z tym wspaniałym człowiekiem może nie pojąć mych słów. Czernik to instytucja, to dobroć i wcielony w wątle ciało instynkt przewidywania, znawca poezji i, co może nawet najważniejsze, znawca człowieka. Z jego to inicjatywy Wydawnictwo Łódzkie zaczęło publikować „szkatułki" poetów w nadzwyczajnych, jak na owe czasy, nakładach. Kilka lat działalności i ileż doskonałych książek. To nie przypadek, że Łódź stała się miejscem obrad ogólnopolskich festiwali poezji. Tu debiutowali przecież: Jarosław Marek Rymkiewicz, Marek Wawrzkiewicz, Józef Henryk Wiśniewski, Zbigniew Kosiński, Bernard Sztajnert, Jerzy Wilmański, a potem młodsi: Andrzej Biskupski, Jerzy Jarmołowski, Mieczysław Kucner, Ziemowit Skibiński. Dwadzieścia lat to już nie tylko historia pewnej instytucji, dwadzieścia lat Wydawnictwa Łódzkiego to już naprawdę kawał historii polskiej literatury.

A przecież służąc ogólnie pojętej kulturze polskiej oficyna ta pamiętała zawsze o mieście, od którego wzięła swoją nazwę. Patrzę na listę lodzianów wydanych w pierwszych już dniach istnienia wydawnictwa i myślę sobie, że bibliografia książek o Łodzi byłaby naprawdę uboga, gdyby nie obecność animatora wielu poczynań, któremu nic, co łódzkie, nie jest obce. Wejrzyjmy zresztą w szczegóły, zwłaszcza że jest się czym pochwalić. Oto wydana w roku 1966 monumentalna monografia „Włókniarze łódzcy", dzieło stanowiące rezultat kompleksowych badań naukowców naszego miasta w środowisku produkcyjnym. Może się dziś dyrektor Zaorski cieszyć z podjęcia wyróżnionej edytorsko serii lodzianów, ale przecież nie wolno nam jednocześnie zapominać o tak ważkich pozycjach wydanych poza serią jak monograficzne studium Adama Ginsberta pt. „Łódź", jak zbiorowa praca pt. „Łódź w latach 1945—1960", a więc obrazująca dorobek pierwszego piętnastolecia Polski Ludowej, jak wielotomowa seria naukowa „Studia i materiały do dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego".

Złośliwcy twierdzili, że skrót WŁ, którym Wydawnictwo Łódzkie sygnuje swoje książki ,oznacza w rzeczywistości Wydać Łatwiej (niż gdzie indziej). Proszę zatem spróbować. Nawet znaczące literacko nazwisko nie stanowi automatycznie tytułu do ogłaszania swych dzieł. Łódzka oficyna, już w pierwszych latach swego istnienia, przyjęła politykę odrzucania knotów, co poświadczają coraz ambitniej budowane plany wydawnicze. Stawianie wymagań, surowa selekcja tekstów nie przeszkodziły jednak w tworzeniu kreacji autorskich, patronowaniu poczynaniom debiutantów, którzy spotykali się tutaj z życzliwą uwagą. Ta polityka przyniosła zresztą korzystne rezultaty, pozwoliła bowiem wydawcy pozyskać dla siebie grono wypróbowanych przyjaciół — pisarzy. Obok poetów prozaicy. Przypomnijmy choćby debiuty prozatorskie Ryszarda Binkowskiego, Bernarda Sztajnerta, Jana Czarnego, Andrzeja Makowieckiego, Władysława Orłowskiego, Romana Łobody i bez przesady dziesiątków innych, choć świadomie sięgam po nazwiska pisarzy łódzkich. Nic zresztą dziwnego. Na ponad 1000 pozycji ogłoszonych w ciągu tych minionych dwudziestu lat przez Wydawnictwo Łódzkie blisko 700 stanowią książki napisane przez literatów łódzkich. Statystyka nie stanowi może najlepszej miary poczynań kulturotwórczych, ale pozwala przecież choćby w przybliżeniu uchwycić związek pomiędzy istnieniem i funkcjonowaniem oficyny wydawniczej, a rozwojem i aktywnością twórczą związanych z nią pisarzy. Przykłady takich związków można zresztą mnożyć, poświadczają one bowiem zarazem rozwój samego wydawcy. Oto aż do końca lat sześćdziesiątych niewiele było wiadomo o możliwościach łódzkiego środowiska literackiego w dziedzinie twórczości translatorskiej. Ci, którzy działali na tym polu już wcześniej, jak Stanisław Brucz czy Igor Sikirycki skakani byli na doryweze kontakty w wydawnictwach centralnych. I oto w roku 1971 ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego zredagowana przez Jana Huszczę pionierska antologia poezji białoruskiej obejmująca swym zasięgiem wiersze klasyków aż po dzień dzisiejszy. Wśród trzydziestu tłumaczy „Wierszy białoruskich" blisko połowę stanowią autorzy łódzcy. Obszar penetracji translatorskiej rozszerza się zresztą na literaturę innych narodów Związku Radzieckiego, poszerza się zarazem lista tłumaczy z łódzkiego środowiska.

Z analogiczną sytuacją spotykamy się w dziedzinie literatury dla dzieci i młodzieży. Dopóki Wydawnictwo Łódzkie nie posiadało w swoich planach pozycji przeznaczonych dla najmłodszych nikt nawet nie podejrzewał, że wyrosną tu tęgie talenty, które podbiją swoim piórem młodego czytelnika. I znów wystarczy przywołać nazwiska Zofii Lorentz czy Edwarda Kopczyńskiego aby udokumentować, dziś już oczywistość, tego stwierdzenia.

Ale snując te rozważania pomieszane ze wspomnieniami, do czego upoważnia jubileusz łódzkiej oficyny, nie mogę się uwolnić od refleksji, że tym, co to wydawnictwo określa naprawdę, nadaje mu wyrazisty kształt, jest jego zwrot w stronę współczesności, baczna obserwacja wszystkich przejawów naszego życia, które znalazły już swoją literacką egzemplifikację. W tych kategoriach mieści się nie tylko, wciąż jeszcze zbyt mało obecny w planach wydawniczych, reportaż, ale przede wszystkim powieść i nowelistyka. Otwarte na współczesne konflikty, przynoszące szeroką panoramę postaw wobec rzeczywistości, mówiące o dniu dzisiejszym Polaków. Znów trzebaby otwierać długą listę nazwisk i tytułów książek, wyliczać arkusze wydawnicze i nakłady, innymi słowy czynić to, co zazwyczaj przynoszą katalogi. Zróbmy wszakże pewien wyjątek do nazwisk tych autorów, których utwory nagradzano wawrzynem zastrzegając się zarazem, że nie będzie to, zapewne lista pełna. Powiedzmy więc wprost, że pośród laureatów różnych nagród literackich, w tym państwowych znaleźli się między innymi: Tadeusz Chróścielewski, Stanisław Czernik, Leon Gomolicki, Jan Huszcza, Wiesław Jażdżyński, Jan Koprowski, Władysław Rymkiewicz, Igor Sikirycki, Jerzy Wawrzak.

Są to pisarze także związani z łódzkim środowiskiem literackim, nie należy jednak wyciągać z tego faktu pochopnego wniosku, że oficyna wydawnicza z łódką w herbie zacieśniła krąg swych współpracowników do pisarzy najbliższego regionu. Można bez najmniejszej przesady powiedzieć, że kultura polska zostałaby poważnie zubożona, gdyby pozbawić ją tego wkładu, który we współczesne życie literackie naszego kraju wniosła obchodząca właśnie swój jubileusz placówka wydawnicza. Utrzymując ożywione kontakty z pisarzami najbliższego regionu Wydawnictwo Łódzkie nawiązało równocześnie owocną współpracę z autorami z innych ośrodków twórczych jakby dla podkreślenia integralności naszej kultury. Ta słuszna zasada sprawiła, że Wydawnictwo Łódzkie mimo stosunkowo skromnej bazy materialnej liczy się w ruchu edytorskim współczesnej Polski i z powodzeniem realizuje zasady polityki kulturalnej ludowego państwa. Dzieje Wydawnictwa Łódzkiego, jeśli godzi się użyć tego słowa w odniesieniu do bądź co bądź krótkiego odcinka czasu, jakim jest dwadzieścia lat, to zarazem dzieje pewnych książek i biografie ich autorów, bo za każdym tytułem stoi przecież konkretny pisarz i jego wrażliwość, treści, które chce donieść do czytelnika, refleksje, które chce wzbudzić w odbiorcy. A wszystko to razem składa się na świadectwo naszej epoki, gdzie mimo konkurencji telewizji czy filmu ,słowo pisarza ma przecież swój ciężar gatunkowy.

Cóż, jest prawem jubileuszy, że krocząc przed siebie, trzeba także oglądać się wstecz, aby dostrzec odcinek już przebytej drogi. Dwadzieścia lat to wiek dla człowieka zaledwie młodzieńczy, dla książek wiek próby. Ale przeglądając katalog Wydawnictwa Łódzkiego utwierdzam się coraz bardziej, że większość pozycji przetrwała surową próbę czasu i że książki łódzkiej oficyny znalazły sobie trwałe miejsce nie tylko na półkach bibliotecznych, ale w sercach i umysłach anonimowych czytelników, że są także obecne w pejzażu polskiej kultury.

Musi nas więc cieszyć, że okrzepnąwszy w ciągu dwudziestu lat, Wydawnictwo Łódzkie nie stoi w miejscu, że rozszerza swe inicjatywy. Świadczą o tym ogólnopolskie serie wydawnicze takie choćby, jak Biblioteka Poetycka czy inicjatywa ostatnia, Biblioteka Jugosłowiańska poświadczająca penetrację nowych obszarów i problemów. Chciałoby się, aby jubilat zdobył takie techniczne i materialne środki działania, ażeby książki z łódką w herbie mogły się znaleźć w każdym polskim domu. Jeśli jeszcze nie dziś, to przy najbliższym, kolejnym jubileuszu.

KONRAD FREJDLICH

CO NAS CZEKA?

z dyr. red. naczelnym Jackiem Zaorskim rozmawia Konrad Frejdlich

KONRAD FREJDLICH: Wydawnictwo Łódzkie obchodzi właśnie jubileusz dwudziestolecia swego powstania. To prowokuje do snucia wspomnień, choć możliwa jest także inna formuła rozmowy. I może dlatego zapytam: czym jest Wydawnictwo Łódzkie dzisiaj, w roku 1977?

JACEK ZAORSKI: Przeszłości nie da się zupełnie uniknąć w naszej rozmowie choćby dlatego, że kontynuujemy pewne inicjatywy podjęte jeszcze w roku 1957 przez Stanisława Czernika. Mam na myśli Bibliotekę Poetów, która owocuje nam jeszcze dziś pod nazwą Biblioteka Poetycka jako oficjalna seria wydawnicza w charakterystycznej szacie graficznej. Uważamy za bardzo szczęśliwe posunięcie, że zdecydowaliśmy się reaktywować tę serię w roku ubiegłym i będziemy ją rozwijać. Nie ma powodu ukrywać, że uważamy poezję za ważny kierunek naszej działalności, co wynika już choćby z faktu, że Łódź ma bogate tradycje wierszopisarskie i jedno z najaktywniejszych w Polsce środowisk poetyckich. W bieżącym roku wydamy 6 kolejnych tomików tej serii, a wśród nich ciekawy debiut Mirosława Boruszewskiego, laureata ostatniego Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, ukażą się także nowe książki Jerzego Jarmołowskiego, Feliksa Rajczaka i paru innych autorów. Poza serią wydamy obszerny, retrospektywny tom poezji Igora Sikiryckiego, laureata nagrody m. Łodzi i szeregu innych, także zagranicznych wyróżnień.

K.F.: Powrócimy do sprawy kierunków działania oficyny, którą Pan reprezentuje tymczasem pytanie nieco ogólniejszej natury. Panie Dyrektorze, na ile Wydawnictwo Łódzkie znaczy w ogólnopolskim ruchu wydawniczym?

J.Z.: Powiem nieco okrężnie. Jeśli np. zasłużona oficyna wydaje rocznie 270 tytułów i wśród nich jest 27 książek znakomitych, wzbudzających ogólnopolskie zainteresowanie, to my, przy 50 tytułach rocznie, także mamy 10 proc. książek ponadprzeciętnych, znaczących dla literatury polskiej. Proporcje zostają więc zachowane, chociaż dla czytelnika tych 5 tytułów naszej oficyny jest trudniejsze do zauważenia niż owe 27 tytułów. Nie wstydzę się ani jednej książki naszego wydawnictwa ogłoszonej w ostatnich sezonach, bo nie są to książki gorsze od przeciętnej produkcji innych wydawnictw.

K.F.: Proszę zatem określić jaka jest rola i miejsce wydawnictw prowincjonalnych w ogólnopolskim ruchu wydawniczym?

J.Z.:Nie wiem, co znaczy słowo prowincja...

K.F.: Poprawiam się zatem. Mam na myśli wydawnictwa pozawarszawskie.

J.Z.: To już lepsze określenie, choć także nie oddaje istoty sprawy. Nie ma bowiem wydawnictw regionalnych, a tym bardziej prowincjonalnych, są u nas w kraju wydawnictwa ogólnopolskie umiejscowione czy zlokalizowane w różnych miastach Polski. I te wydawnictwa grupują wokół siebie różnych autorów, niezależnie od ich miejsca zamieszkania. W naszej oficynie ogłasza na przykład swoje książki Danuta Bieńkowska z Warszawy, Bolesław Fac z Gdańska itd. Przykłady te można mnożyć, bo wydają się u nas autorzy z Poznania, Wrocławia itd. Mogę bez przesady powiedzieć, że drukujemy autorów z całej Polski. Nasze wydawnictwo, podobnie jak inne oficyny, uczestniczące we wspólnym froncie ideologicznym spełnia istotną kulturotwórczą rolę w kształtowaniu świadomości rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Wracając więc do pańskiego pytania trzeba stwierdzić, że nie ma wydawnictw regionalnych ponieważ nie istnieje literatura regionalna, jest tylko jedna literatura polska. My nie widzimy nic złego w tym, jeśli pisarz mieszkający w Łodzi wyda swoją znakomitą książkę we Wrocławiu, Krakowie czy Poznaniu, jakkolwiek chcielibyśmy, aby ogłosił ją u nas. I wydaje mi się, że większość dobrych książek pisarzy łódzkich tu się ukazuje. Sam pan więc widzi, że za pańskim pytaniem o nasze znaczenie w ruchu wydawniczym kryła się, może nawet zamierzona, przewrotność.

K.F.: A więc kujmy żelazo, póki gorące. Co zapisuje Pan jako sukcesy Wydawnictwa Łódzkiego?

J.Z.: Zebrałaby się spora lista, nie wiem więc, czy czegoś nie pominę. A więc po kolei. Tu debiutował Eugeniusz Kabatc, a Wilhelm Mach ogłosił wspaniałą książkę „Życie duże i małe", nagrodzoną na ogłoszonym przez nas przed laty konkursie. Tu wydaje swoje powieści Wanda Karczewska czy Wiesław Jażdżyński. Z tym wydawnictwem związany jest rozwój pisarski Leona Gomolickiego. W związku z jubileuszem tego wybitnego autora wydajemy właśnie trzytomowy zbiór jego prozy. Ale czy już nie dość będzie tego „chwalstwa"? Więc przykład ostatni. Myślę, że „Barbara Radziwiłłówna" Zbigniewa Kuchowicza była w pełnym tego słowa znaczeniu bestsellerem...

K.F.: Cenne było to, że wydawnictwo nawiązało do tej pięknej tradycji XIX wieku, kiedy to jeszcze nawet profesorowie potrafili pisać po polsku.

J.Z.: Nie tylko profesor Kuchowicz potrafi pisać piękną polszczyzną, mamy wielu, współpracujących z nami naukowców, doskonale władających piórem. Choćby przykład sprzed paru dni: prof. Bohdan Baranowski. I cieszy nas, że prof. Baranowski nazwał niedawno opublikowaną książkę o przeszłości Łodzi swoją najładniej wydaną książką.

K.F.: Co będzie więc z bestsellerami?

J.Z.: Będą dalsze. Na razie mamy ich za mało, nie 5 rocznie, lecz 2, może 3. Ale już w przyszłym roku obiecujemy sobie wydawać bestseller co kwartał a nie wątpi pan chyba, że nasi autorzy, wśród nich i pan pozwolą nam kiedyś przejść na cykl miesięczny.

K.F.: W jakim kierunku będzie się Wydawnictwo rozwijać?

J.Z.: Takim podstawowym kierunkiem działania będzie poezja, o której już mówiłem. Tomy nowych wierszy, a raczej sporadycznie wybory. W przyszłym roku podniesiemy nakłady ogólnopolskiej serii poetyckiej, które są zaniżone na skutek zbyt ostrożnej polityki zamówień księgarstwa. W zeszłym roku na przykład najbardziej poczytnym poetą łódzkim okazał się Jerzy Wilmański. Księgarze złożyli zamówienia na 600 egzemplarzy tomiku, my wydrukowaliśmy 1000, a książka zniknęła w ciągu paru dni. Dwukrotnie większe nakłady bardziej realnie więc odpowiadałyby potrzebom czytelniczym.

Drugi kierunek działania to Biblioteka Jugosłowiańska, oficjalna seria wydawnicza, którą zainaugurowaliśmy czterema tytułami. Ukazały się tu książki Ivo Andrića, Branko Belana, Dušana Kalića oraz Vesny Parun. W bieżącym roku w ramach tej serii wydamy między innymi książki Bulatovića i Andrića. A trzeba dodać, że Biblioteka Jugosłowiańska ma od samego początku ustaloną opinię u czytelników a także krytyków, co poświadczają nakłady dochodzące do 40000 egzemplarzy.

K.F.: A więc Wydawnictwo Łódzkie rozszerzyło swój profil o literaturę narodów Jugosławii. A co z literaturą radziecką, która zapoczątkowała ambicje waszej oficyny w dziedzinie przekładu?

J.Z.: W dalszym ciągu interesuje nas przede wszystkim literatura radziecka z różnych obszarów językowych. Wydawnictwo prowadzi już od lat poważny dział przekładów, który legitymuje się sporym dorobkiem. Jak dotąd najwięcej zrobiliśmy dla ukazania literatury białoruskiej. Większość wydanych w Polsce książek białoruskich pisarzy ukazała się w naszej oficynie. Dokładnie 17 tytułów. Niemniej interesuje nas cała literatura radziecka, a trudno ją sobie wyobrazić bez literatury rosyjskiej. Dlatego też musimy ogarniać całokształt tego, co dzieje się w Związku Radzieckim w dziedzinie literatury współczesnej. A przecież jest to literatura tak bogata, że jej penetrowanie wymaga ogromnych starań z naszej strony. Stwarza to konieczność pewnego uprofilowania naszych działań. My chcemy się specjalizować w antologiach przynoszących przekrój literatury radzieckiej. Nawiązujemy tu do pewnej tradycji tej oficyny, dlatego też postawiliśmy przede wszystkim na antologie poetyckie. Dość wspomnieć „Wiersze białoruskie" w wyborze Jana Huszczy, „Złote kamienie" czyli antologię poezji Azerbejdżanu. Do tych doświadczeń nawiązuje nasza kolejna antologia zatytułowana „Jak unieść wierszem Twoją chwałę"; obszerny bo liczący ponad 600 stron tom z utworami prawie 100 autorów. Jest to wartościowy dokument poetycki co o Polsce i Polakach napisali radzieccy twórcy. Przygotowujemy także antologię poezji gruzińskiej w wyborze Igora Sikiryckiego, armeńskiej w wyborze Piotra Kuncewicza i Andrzeja Szymańskiego. W międzyczasie wielki przyjaciel Polski, Wiktor Borysow, opracowuje dla nas antologię współczesnej noweli rosyjskiej.

K.F.: Czyli wiele inicjatyw. Czy jednak na tym tylko skończy się wasza ekspansja w dziedzinie przekładu?

J.Z.: W przyszłości pomyślimy może także o literaturze bałkańskiej. Proszę jednak nie zapominać, że głównym kierunkiem naszego działania jest polska literatura współczesna. Nie tylko poezja, ale także proza: powieści i opowiadania. W planie wydawniczym obejmującym łącznie 47 pozycji, 14 z nich to nowe propozycje prozatorskie. Na 300 nowych tytułów, jakie w bieżącym roku mają się ukazać na półkach księgarskich, 31 książek to pozycje Wydawnictwa Łódzkiego.

K.F.: To jest przecież więcej niż Wasz procentowy udział w ruchu wydawniczym?

J.Z.: Właśnie. Dlatego mówimy o sobie, że jesteśmy przede wszystkim współczesnym wydawnictwem literackim. Współczesna proza to kolejny kierunek naszego działania. Współczesna, a więc pisana nie tylko przez współcześnie żyjących pisarzy, ale także proza o czasach i kraju, w którym żyjemy, przynosząca współczesną tematykę. Mogę tu zarekomendować najnowszą powieść Wiesława Jażdżyńskiego „Drugi brzeg", kolejną książkę Andrzeja Makowieckiego, debiut prozatorski Ryszarda Dominiaka. Mamy interesujące propozycje wydawnicze Wandy Karczewskiej, Leona Gomolickiego, oraz złożoną już powieść Jerzego Wawrzaka „Archipelag Polonezja".

K.F.: Jako pisarz silnie związany z Waszą oficyną widzę, że łodzianie stanowią w dalszym ciągu spory odsetek Waszych autorów.

J.Z.: Pisarze z Łodzi stanowią podstawowy krąg naszych penetracji. Nie zapominamy także o autorach związanych z naszym miastem w przeszłości. Myślę, że bardzo interesujący dla czytelnika będzie doskonały zbiór dramatów „szekspirowskich" Bohdana Drozdowskiego.

K.F.: A co z krytyką?

J.Z.: Z eseistyką. W tej dziedzinie bazujemy na środowisku historyków i polonistów, i mamy dobre rezultaty. Choć nie ukrywam, że interesuje nas przede wszystkim literatura piękna stanowiąca znakomitą większość naszych propozycji. Ale, jak powiedziałem, nie stronimy od eseistyki. Zdecydowaliśmy się na cykl wydawniczy poświęconych Łodzi i regionowi łódzkiemu. Ten cykl sygnalizowany będzie podobną szatą graficzną i formatem lodzianów obejmujących tematycznie przeszłość, teraźniejszość a także przyszłość Łodzi. Godzi się tu wspomnieć o powstającej z naszej inspiracji monumentalnej pracy pod nazwą „Ruch robotniczy w Łodzi". Redaguje to dzieło doc. Czesław Kozłowski. Książka będzie syntezą historii ruchu robotniczego w naszym mieście od początków Łodzi przemysłowej aż po dzień dzisiejszy.

K.F.: Mówiąc o współczesnej prozie pominął Pan reportaż...

J.Z.: Chciałem po prostu mówić o nim osobno, ponieważ w bieżącym roku wydamy cały cykl reportaży, przede wszystkim związanych z Łodzią. Rozpoczniemy ten cykl książką Ryszarda Wójcika „I ja tam byłem". Mówi ona o ludziach z wielkich budów Polski Ludowej. Apoloniusz Zawilski przedstawi inwestycję bełchatowską w książce „Bełchtów — sprawy i ludzie". Wydamy także książki Konrada Turowskiego i Karola Badziaka.

K.F.: A więc także łódzcy reporterzy?

J.Z.: Przede wszystkim łódzcy reporterzy. W łódzkim środowisku dziennikarskim jest wielu bardzo dobrych reporterów, którym dotychczas nie stworzyło się dostatecznych szans napisania książki. Postanowiliśmy zmienić tę sytuację.

K.F.: A jak Pan ocenia współpracę z łódzkim środowiskiem pisarskim?

J.Z.: To bardzo dobre i ambitne środowisko. Gdybyśmy mogli podwoić naszą produkcję jeszcze pełniej znaczyłoby znaczyć w życiu literackim naszego kraju. Czynimy też starania, żeby każdy pisarz łódzki mógł zrealizować swoje plany twórcze w naszej oficynie. Mamy uzasadnioną nadzieję, że nasza globalna produkcja wyniesie w ciągu najbliższych dwu lat 2 mln egzemplarzy książek. To będzie poważny wzrost pozycji i uważmy, że pisarze łódzcy pomogą nam swymi utworami w realizacji tych planów.

K.F.: Może pytanie bardziej osobiste. O czym marzy najbardziej dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego?

J.Z.: Marzy mi się wydanie znakomitej książki o Polsce współczesnej.

K.F.: Życzę więc Panu rychłego spełnienia tych marzeń. Proszę także przyjąć w imieniu Czytelników „Odgłosów" serdeczne gratulacje z okazji pięknego jubileuszu Wydawnictwa Łódzkiego.
Dziękuję za interesującą rozmowę.

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

KARTKA Z KALENDARZA

Spośród wielu refleksji, jakie mi nasunęła kilkuletnia praca w Wydawnictwie Łódzkim, dwie wydają mi się szczególnie ważne, choć ani rewelacyjne ani odkrywcze. Dzieje edytorów są ściśle związane z ich autorami, ponieważ książka, dobra pożyteczna i szeroko czytana, sprawdza najlepiej wartość wysiłku obu stron.

Poszukiwanie ciekawych autorów, skupianie ich ambicji wokół oficyny, troska o edytorkę i nakłady odpowiadające rzeczywistym potrzebom czytelników — to był jeden z głównych celów naszej pracy. Cel znany każdemu wydawcy. Chciałbym powiedzieć kilka słów o szczęściu, które nam w tych zabiegach towarzyszyło. Obok znanych już i wcześniej pozyskanych, pojawiło się wielu nowych, często młodych, startujących dopiero prozaików, poetów, krytyków literackich, autorów poszukiwanych książek dla młodzieży. Na przełomie lat sześćdziesiątych doszlusowali także naukowcy piszący ładnym ogólnie zrozumiałym językiem, pamiętnikarze sięgający w głąb rewolucyjnej historii Łodzi, jej obyczajów, zdolni reportażyści głównie z dziennikarskiego środowiska. Oni to właśnie raz jeszcze potwierdzili głęboki sens działalności Wydawnictwa Łódzkiego niekiedy kwestionowany przez zawodowych likwidatorów, umożliwili także powolne krystalizowanie programu, czy też może lepiej będzie powiedzieć — profilu Wydawnictwa.

I tu już czas na refleksję drugą, także odkrytą znacznie wcześniej. Dzieje wydawcy to także dzieje jego inicjatyw. Edytor nie może prezentować czytelnikowi przygodnie zebranych i wydanych książek choćby nawet dobrych. Obowiązuje go realizowanie celów polityki kulturalnej państwa, z tego też powodu troszcząc się o ukazanie rzetelnego dorobku wszystkich środowisk twórczych, z którymi jest związany, musi się opierać na wyraźnie zarysowanym programie uwzględniającym fakt działalności innych wydawców. Może jednak swój program doskonalić i wzbogacać własnymi inicjatywami mając — rzecz prosta na uwadze całość ruchu wydawniczego.

Nie mógłbym powiedzieć z perspektywy czasu, że wszystkie nasze inicjatywy miały ręce i nogi. Byliśmy, jak sądzę, niecierpliwi, chcieliśmy uruchomić zbyt wiele działów, obok podstawowej dla Wydawnictwa literatury współczesnej wydawać młodzieżową i dziecięcą, pamiętnikarską, reportażową, popularno-naukową, polityczną, albumy fotograficzne, grafikę a także interśrodowiskowy kwartalnik „Osnowa". No i przekłady z literatury narodów Związku Radzieckiego. Myśleliśmy w perspektywie o dużym, nowoczesnym wydawnictwie, wyposażonym w odpowiednie pracownie, targowaliśmy się z powodzeniem w Ministerstwie Kultury i Sztuki o miliony.

Życie potwierdziło tylko część tych inicjatyw. Zapewne brakowało nam doświadczenia, stąd też oczywiste pomyłki, plany nie do zrealizowania, zwłaszcza, że rosły trudności z którymi borykał się i jeszcze boryka nasz ruch wydawniczy. A i to jeszcze powiedzieć trzeba, że łódzką oficynę wydawniczą nie zawsze otaczała troska ze strony jej władz centralnych, beztroska również w pewnych okresach.

Myślę, że dwudziestoletniej historii Wydawnictwa Łódzkiego nie da się podzielić na jakieś odrębne i niespójne okresy. Stanowi ona całość. Trzeba więc, tak myślę, cenić zawsze dotychczasowy dorobek, kontynuować to, co dobrze służy czytelnikom i autorom i życzyć powodzenia zespołowi, który dzisiaj realizuje te same przecież cele polityki kulturalnej ludowego państwa.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JAK POWSTAŁO WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

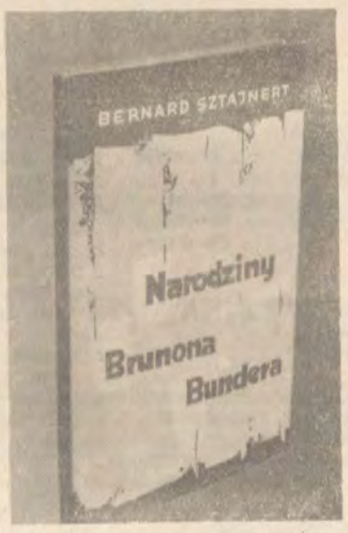

Trzy niezmienne tematy zebrań walnych, wyraz pragnień członków Oddziału Łódzkiego ZLP: literatura na łamach miejscowych dzienników, miesięcznik literacki i wydawnictwo. Lata mijały, tematy pozostawały aktualne, pragnienia nie zaspokojone. W 1956, po burzliwych poprzednich kadencjach zarządu, dochodzi do władzy zarząd powierzony kierownictwu Stanisława Czernika, powierzony w nadziei (która wkrótce się sprawdziła) na uzdrowienie stosunków. Tak powstał zespół spokojny, pracowity, nazwany przez kolegów „zarządem starszych panów", w którym również znalazłem się i ja. I właśnie zarządowi Czernika przypadła zaszczytna rola założenia w Łodzi wydawnictwa. Zresztą wtedy ta rola była może mniej zaszczytna, a bardziej robocza i niespokojna, zaszczytności zaś nabrała dopiero z czasem, kiedy Łódź przekonała się do wygody i korzyści posiadania własnej oficyny edytorskiej. W pierwszych latach trochę gardzono prowincjonalnością tej oficyny i nie bardzo ufano w jej długowieczność.

Ponieważ brałem aktywny udział w staraniach o powstanie wydawnictwa, mogę opowiedzieć jak to było — o istotnych okolicznościach jego założenia. Na samym początku, jak wiadomo, było słowo. Stworzono długi memoriał do władz miejskich i żeby uzasadnić konieczność powstania wydawnictwa niezależnego, nie żadnej filii kierowanej ze stolicy, rozpisano ankietę wśród łódzkich kolegów z prośbą podania tytułów gotowych do druku dzieł. Każdy zgłosił po trzy, a niektórzy nawet po pięć pozycji, a spis ich urósł w wielki inwentarz literatury łódzkiej oczekującej na książkowe wcielenia. Mogliśmy jak iluzjonista wytrząsnąć z pustego cylindra obfitą zawartość pięćdziesięciu szuflad pisarskich. Gościnę redakcji merytorycznej udzielił Związek Literatów w swoim lokalu. Bazę finansowa ofiarował „Poziom", spółdzielnia która wydawała kalendarze i prowadziła zakłady introligatorskie. Gorzej, że nikt nie miał jasnego rozeznania od jakich wyższych czynników zależała decyzja uprawniająca do założenia wydawnictwa. Aby to dobrze wysondować zarząd Oddziału wydelegował kol. Edwarda Szustera i mnie do Warszawy. A tam w resorcie prasy wytłumaczono nam że to nie ich sprawa. Ponieważ istniała druga wersja, że zależy to od resortu handlu wewnętrznego, znaleźliśmy się w wielkiej, pustej sali, pośrodku której stało biurko, a za nim siedział znajomy urzędnik. Był tak zażenowany naszą nieświadomością, że udał, że nas nie poznaje i szeroko rozłożył ręce. I na tym nasza misja się skończyła.

Wreszcie natrafiliśmy na właściwy trop: CUW czyli Centralny Urząd Wydawnictw. Tyle że instytucja ta znajdowała się właśnie w stadium likwidacji. Funkcje jej przejął Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki. Co tydzień jeździłem do Warszawy, wysiadywałem w poczekalni przed gabinetem pani naczelnik Departamentu, która wcale nie była przychylna do naszej prośby („nonsens! za blisko stolicy"). Ale zniewolona moją stałością upewniwszy się, że na czele redakcji stanie Stanisław Czernik, wyraziła zgodę. Było to w połowie grudnia 1956, na pierwszego stycznia przyszło oficjalne pismo z koncesją.

I wtedy właśnie wynikły niespodziewane komplikacje. Wydawnictwo oficjalnie istniało, ale musiało zgłosić plan, którego nie było. Z całej obfitości zgłoszeń dostaliśmy od kolegów zaledwie dwa tomiki wierszy, w tym jeden adresowany do dzieci. Reszta zapowiedzianych dzieł albo istniała dopiero w projektach ich autorów, albo koledzy wahali się oddać swe cenne utwory w ręce prowincjalnego kopciuszka. I znów zaczęły się wyjazdy do Warszawy, teraz z organizatorem administracji Wydawnictwa, Tadeuszem Jaskułą, wyjazdy po żmudne wyszukiwania pozycji do wznowienia z międzywojennych remanentów, wzgardzonych przez wydawnictwa inne. Tłumaczy się tym poczytny cykl powieści Aleksandra Dumasa-ojca — skromny start Wydawnictwa. Dopiero szczęśliwy pomysł ogłoszenia ogólnopolskiego konkursu na powieść sytuację uratował.

Tu kilka słów o znaczeniu tego konkursu, od którego wyników spodziewano się czegoś nie tylko w Łodzi. Przyszedł w okresie przełomowym dla literatury powojennej i nie zawiódł oczekiwań. Jury pod przewodnictwem Jarosława Iwaszkiewicza w składzie kilku czołowych krytyków literackich obradowało w Warszawie. Selekcja nie była łatwa — napłynęło przeszło 200 maszynopisów z różnych miast Polski. Potem długo eksploatowane przez nas źródło współczesnej, odnowionej powieści lat 60-tych.

Zachowało się zdjęcie pierwszej redakcji Wydawnictwa: Stanisław Czernik, Juliusz Saloni, ja, Barbara Poulain, Irena Wiesenberg, która sekretarzowanie w Oddziale Związku łączyła z prowadzeniem sekretariatu Wydawnictwa. Szczupłe grono, któremu przypadła właśnie ta zaszczytna rola* niełatwego startu. A dziś! Cóż, wszystko z czasem staje się historia. I tam, wśród jej kart ukryta niemała cząstka naszego życia.

LEON GOMOLICKI

Powołanie do życia wydawnictwa literackiego w Łodzi nie było tylko jednym z pobożnych życzeń oratorskich, zwierzanych ścianom lokalu związkowego przy okazji profesjonalnych zebrań, potrzebna była odnośna oficjalna decyzja najwyższej władzy miasta, czyli Rady Narodowej — decyzja wyrażona przez Uchwałę. Warunek sine qua non. I taka właśnie zapadła 17 lipca 1956 r. na sesji Rady Narodowej poświęconej „ma" i „winien" życia kulturalnego Łodzi — sesji przygotowanej organizacyjnie i merytorycznie przez Wydział Kultury. Jego ówczesne kierownictwo: Ryszard Stefańczyk, doc. Henryk Anders i piszący te słowa — w ścisłym porozumieniu, rzecz jasna, z prezesem Oddziału Łódzkiego ZLP, Stanisławem Czernikiem, opracowało — zamieniony następnie przez Radę w decyzję — dokument wyrażający wolę miasta powołania do życia oficyny wydawniczej i ustalający już ogólne ramy jej zainteresowań edytorskich: literatura piękna, popularno-naukowa, z nachyleniem nad tradycjami regionu, oraz wydawnictwa albumowe. Tu miejsce, by jeszcze raz wskazać na wyjątkowe predyspozycje ówczesnego prezesa na działacza w dużym stylu, w tym organizatora faktycznego, do końca i bez pudła. Były nimi m. in. trzeźwość w ocenie sytuacji i możliwości, osobista skromność, brak nagminego w środowisku besserwisserowstwa i docenianie w administracyjnym gospodarzu życia kulturalnego miasta równie jak Związek oddanego sprawie partnera, przy tym biegłego „z urzędu", znawcy skomplikowanego trybu załatwiania łatwych i trudnych spraw w relacji: województwo — władze centralne.

Pamiętam niezmiernie burzliwą dyskusję z niechętnym całej tej sprawie ówczesnym kierownictwem Departamentu Wydawnictw — anielsko-spokojną argumentację Czernika i gwałtowny, jak się okazało, rozstrzygający o jej konkluzji wybuch Stefańczyka, który przyparł wpływową oponentkę do muru, stwierdzając, że przeciwstawia się ona uchwale Rady, która to Rada Narodowa (i dalej nastąpił cytat z Konstytucji).

Na pomysł oparcia wydawnictwa, które prowadziłoby pod względem merytorycznym ZLP, o finanse i moce kadrowe oraz wszelkie inne, istniejącej Łódzkiej Spółdzielni Wydawniczej „Poziom" (do tamtego czasu usługi introligatorskie i druki drobne) bodaj wpadli profesorowie Anders i Saloni. Piszę „bodaj", bo czasy są już prawie równie odległe co obrona Głogowa. Podchwyciliśmy go skwapliwie. Okazał się medalem, który na wstępnym etapie nie miał rewersu, a tylko awers, zaś niezwykle cenną jego zaletą był fakt, że wariant ten nie kosztował na razie ministerstwa ani grosza. Jak wiadomo, nie należało ono do najzasobniejszych i trudno mu było w okresie bardzo ścisłego planowania wygospodarować z dnia na dzień sumy na rozruch finansowy nowego przedsiębiorstwa.

Przed tamtym pamiętnym spotkaniem w Departamencie Wydawnictw — poprzedzonym ministerialnymi wizytacjami „Poziomu" oraz zleceniem mu na próbę majstersztiku (pozostało odgórną tajemnicą, dlaczego był to akurat „Znachor" Dołęgi-Mostowicza!) — Czernik rozesłał kolegom ze Związku pismo-ankietę apelujące o ujawnienie tajemnicy pisarskich biurek (co kto ma gotowego, półgotowego, pomyślanego itp.). Chodziło o przygotowanie na tamtą konferencję jako tako realnego już planu arkuszowo-tytułowego. W tym samym celu zwróciłem się z kolei z Andersenem do wypróbowanego przyjaciela pisarzy, bibliofila i antykwarzysty, Henryka Maszewskiego, by opracował dla „dobra sprawy" listę książek z klasyki tzw. niehonorarjynej, szczególnie dawno nie wznawianych, a mocno poszukiwanych przez masowego czytelnika. Chodziło o utwory, które by zarabiały swymi masowymi nakładami na współczesność literacką, notabene w mieście czytelniczo dość trudnym. Listę otrzymaliśmy nazajutrz i od tej to pory właśnie mecenasami naszych piór stali się obaj Dumasowie („Balsamo", „Naszyjnik królowej", „Dama kameliowa"), a przelotnie też Gąsiorowski, Burnett, Rodziewiczówna.

Początkowemu (prawie dwa lata) okresowi działalności WŁ świadkowałem z wysokości zabytkowego fotela w Wydziale Kultury, przypominającego rzeźbione „trony" osiemnastowiecznych burmistrzów gdańskich. Ale nie tylko świadkowałem biernie. Bywałem w nim też gościem, sporadycznym rozjemcą w drobnych sporach między władzami spółdzielni a autonomicznym, jak wynikało z umowy między Związkiem a spółdzielnią. Bywałem też jako pisarz i filolog (wtedy naturalnie częściej niż w późniejszych czasach pracy w WŁ) stroną, czyli autorem (adaptacja słabego, dziewiętnastowiecznego przekładu jednego z tomów „Balsamo", przekład „Upiora" A. K. Tołstoja, tomik „Itaka", redakcja zbioru prozy łódzkiego pisarza samorodnego Pawlaka). Stąd wiele materiałów do całkiem miłych wspomnień i pamięć niepowtarzalnej atmosfery „lat początku"... Salka konferencyjna ZLP oddana redakcji do dziennego użytkowania. Przy rozległym stole, na górnym miejscu, siwy redaktor naczelny, Czernik, redaguje „Rzecz Poetycką" oraz Bibliotekę Poetów. Nad nim niby gołębica na obrazach treści pobożnej unosi się nasz „nadetatowy redaktor"... oswojony wróbelek. Gomolicki przejawia niesłychaną ruchliwość, wszędzie go pełno, wykonuje po kilka czynności na raz, rozstrzyga, montuje słynny niebawem konkurs na powieść współczesną, opracowuje jako plastyk projekt do dziś aktualnego znaczka firmowego WŁ. Saloni po drugiej stronie stołu spieszy się powoli, a przy tym ujawnia talenty urokliwego gawędziarza. W salonie przyległym wisza obrazy pędzla zaprzyjaźnionych z WŁ malarzy z grupy powstałej w wyniku wyraźnego ożywienia się życia artystycznego Łodzi pod wpływem naszej oficyny. Grupa skupiała awangardę malarską i poetycką, a nosiła przekorną nazwę „Piąte Koło". W salce tej odbywają się spotkania typu konfesjonalnego: autor — redaktor oraz rozmowy i spontaniczne dyskusje de artibus rebus et quibusdam aliis. W sekretariacie szum jak „na" tkalni: to panie Wiessenbergowa i Huszczowa łączą z koniecznością w jednym czasie, funkcje sekretarek ZLP i maszynistek WŁ. W gabinecie lekarskim urzędują w porach niemedycznych adiustatorski (z biegiem lat redaktorki): miła Basia Rowińska (secundo voto Poulain), kombatantka powstania warszawskiego oraz dystyngowana Ida Tarkowska... O kilkanaście domów od nas w szopie — ruderze na zapleczu Piotrkowskiej gnieździ się w ogólnopoziomowym tjoku w koło „mopsożelaznego pieczyka", zwanego „kozą" — trzyosobowa ledwie administracja i nie liczniejsza bodaj redakcja techniczna. Co ciekawsze, wszystko tam, w tym i obrót dokumentów gra, idzie sprawnie.

Rewelacyjne wyniki konkursu na powieść współczesna (pierwsza po tzw. minionym okresie ogólnopolska mobilizacja — nagrody „Poziom" przydzielił sute — pisanych już w nowych warunkach) przyspieszają upaństwowienie oficyny. Niestety, atmosfera, jaką niektórzy zawistni o temperamentach herostratesowych stwarzają wokół osoby Czernika, sprawia, że ten przepiękny w sensie moralnym człowiek i niezwykle zasłużony dla środowiska działacz i twórca, ma już zdecydowanie dosyć, ustępuje z funkcji prezesa i redaktora naczelnego WŁ i poświęca się wyłącznie pracy literackiej. Szczęście, że jego następca, redaktor i dyrektor w jednej osobie, też dziś nieżyjący, Aleksander Postołow, przy wszystkich swych zaletach i niedostatkach w dziedzinie programowania, okazał się człowiekiem równie oddanym sprawom wydawnictwa i również należał do tych, o których bez retorycznej przesady można mówić, że są ludźmi wielkiego serca. Na styku obu tych kadencji rzuciłem ostatecznie mój rzeźbiony w chimery fotel w WRN i zamieniłem go na niskie krzesełko w Wydawnictwie.

Blisko osiemnastoletnia już praca w WŁ na tym niskim, w miarę upływu lat coraz bardziej obniżającym się, krzesełku przyniosła mi wiele pięknych satysfakcji inspiratorsko-redaktorskich, a także wiele, bardzo wiele przykrości. Ale o tych się nie mówi przy święcie.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

SZCZYPTA PREHISTORII

DWADZIEŚCIA LAT

1957—1977. Dwudziestolecie Wydawnictwa Łódzkiego i dwadzieścia lat pracy w tej oficynie, założonej dzięki staraniom kilku osób, zwłaszcza Stanisława Czernika, ówczesnego prezesa łódzkiego Oddziału ZLP. Dwadzieścia lat to spora część życia, przeciętnie licząc — jedna trzecia. A nie wiadomo, kiedy ten czas minął.

W 1954 przeniosłam się do Łodzi. Tu praca w Domu Książki, później w Technikum Księgarskim i nie dająca spokoju myśl o powrocie do zawodu edytorskiego, który poznałam po ukończeniu studiów, pracując w krakowskim „Czytelniku". Spełnienie tych zamierzeń nastąpiło w 1957, kiedy rozpoczęłam pracę w Wydawnictwie (wówczas noszącym nazwę Łódzkiej Spółdzielni Wydawniczej) jako „starszy asystent redaktora".

Dyrekcja, sekretariat i redakcja merytoryczna mieściły się w lokalu ZLP przy ul. Mickiewicza 8, zaś cała reszta: dział techniczny, księgowość, administracja — przy ul. Piotrkowskiej 117. Dyrektor Wydawnictwa, znany pisarz i niezapomniany człowiek Stanisław Czernik oraz dwaj jego najbliżsi współpracownicy Juliusz Saloni i Leon Gomolicki zajmowali w lokalu Związku przestronny pokój-bibliotekę. Obok, w sekretariacie siedziały panie Irena Wiesenbergowa i Teresa Zalewska — życzliwe, pogodne i serdeczne, a w ambulatorium — białym zacisznym pokoju, w którym po południu przyjmował lekarz — my dwie, Barbara Poulain i ja.

Pracy jest bardzo dużo: adiustacja maszynopisów, sczytywanie, korekty. Zaczynają się ukazywać zainicjowane przez Stanisława Czernika serie: Biblioteka Poetów, Rzecz Poetycka, pierwszy, tom „Ksiąg humoru polskiego". Wydajemy kilkanaście powieści autorów polskich i obcych, książki dla młodzieży, Heleny Dunin „Gawędy o dawnej Łodzi". Z pracą nad maszynopisem „Gawęd" związane jest wspomnienie wizyty w mieszkaniu pisarki i niezwykle interesującej, przyjemnej z Nią rozmowy.

Jesienią 1958 spada na wydawnictwo lawina maszynopisów — plon ogólnopolskiego konkursu na powieść o tematyce współczesnej, ogłoszonego rok wcześniej. Jury, któremu przewodniczący Jarosław Iwaszkiewicz, przyznaje cztery nagrody i kilka wyróżnień. Otrzymują je: Wilhelm Mach („Życie duże i małe"), Leon Gomolicki („Ucieczka") Aleksander Minkowski („Nigdy na świecie"), Eugeniusz Kabatc („Za dużo słońca"), Wanda Karczewska („Odejście"), Józefa Radzymińska („Spojrzenie na brzeg"), Małgorzata Hołyńska („Kosmaty bożek Babalù"), Danuta Kaczyńska („Z ziemi i deszczu"), Wojciech Kaider („Śmierć jest światłem"), Albin Siekierski („Urodzajne piachy").

Uroczyste ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród odbyło się w grudniu 1958, w lokalu ZLP. Zjazd był liczny, nastrój miły, swobodny. Jarosław Iwaszkiewicz zapoznał zebranych z werdyktem sądu konkursowego, po czym wygłosił krótkie przemówienie. Nastąpiło rozdanie nagród. Do późnego wieczora toczyły się przy lampce wina ożywione rozmowy. Któż z uczestników spotkania, patrząc na rozpromienioną twarz Wilhelma Macha, laureata pierwszej nagrody, mógłby przypuszczać, że za parę lat ten świetnie zapowiadający się pisarz nie będzie żył...

Powieści nagrodzone i wyróżnione miały w Wydawnictwie „zielone światło" — trzeba je było wydać jak najprędzej. Rozpoczęła się praca nad maszynopisami. Dla „zaczerpnięcia oddechu" chodziło się do sekretariatu, aby chwilkę pogadać z p. Ireną i p. Tenią, podzielić się wrażniami z lektury.

W styczniu 1959 Wydawnictwo Łódzkie zostało upaństwowione, zyskując tym samym status samodzielności. Nastąpiła zmiana lokalu, połączenie wszystkich działów WŁ pod dachem Łódzkiego Domu Kultury, a w dwa lata później przeprowadzka do kamienicy przy ul. Piotrkowskiej, gdzie mieści się do dziś.

W miarę upływu lat przybywało nowych pracowników, autorów, książek. Zmieniał się profil wydawniczy, zwiększała odpowiedzialność za wykonywaną pracę. Oceniając ją z perspektywy minionych dwudziestu lat — „po autorach, po książkach, po recenzjach i listach" — stwierdzić trzeba, że choć nieraz towarzyszą jej poważne napięcia nerwowe, daje ogromnie dużo satysfakcji. Satysfakcji wyłącznie osobistej, bowiem trud włożony w opracowanie książki jest zawsze niewidoczny.

IDA TARKOWSKA

PIERWSZE LATA

Jubileusz instytucji jest zawsze okazją do dokonywania różnorodnych ocen i obliczeń, podsumowań dorobku i skrupulatnych rachunków, co też się osiągnęło, do jakich doszło rezultatów w okresie długich 20 lat działalności. Ten trud pozostawiam bardziej biegłym w przedmiocie, tym, którzy na mapie kulturalnej Łodzi wyznaczą należne miejsce placówce, której chcę słów kilka poświęcić.

Rozpoczęłam pracę w Wydawnictwie Łódzkim — ówczesnej Łódzkiej Spółdzielni Wydawniczej — w połowie października 1957 roku jako tak zwana adiustatorka(oficjalny tytuł brzmiał: starszy asystent redakcji). Prezesem łódzkiej oficyny wydawniczej był wówczas znany, niezwykle ceniony poeta i prozaik, człowiek wielkiej kultury i dobroci, Stanisław Czernik. Wraz z Juliuszem Salonim i Leonem Gomolickim stanowili oni trzon kierowniczy naszej placówki wydawniczej, mieszczącej się w domu Związku Literatów Polskich przy ulicy Mickiewicza 8 (administracja oraz dział techniczny zajmowały lokal przy ulicy Piotrkowskiej 117).

Sięgam pamięcią wstecz. Pierwsze zetknięcie z „szefami" — bicie serca i trema — i... pierwsze zetknięcie z książką. Była to powieść Aleksandra Dumas „Józef Balsamo", stanowiąca jeden z tomów obszernego cyklu „Pamiętniki lekarza". Po niej przyszły następne: „Naszyjnik królowej", „Anioł Pitou", „Hrabina de Charny". Ale tu już inna historia... Praca nad tą pozycją była o tyle ciekawa, że należało — jak zwykle się to czyni przy literaturze przekładowej — konfrontować polskie tłumaczenie z oryginałem francuskim, co powodowało konieczną mobilizację umysłową, przywołanie skromnej „wiedzy" i znajomości języka, którą przyswajałam sobie w szkole średniej, i ubocznie, w wyższej. Był to trud przynoszący dużo satysfakcji, gdy na przykład znajdowało się jakieś przeoczenie, potknięcie merytoryczne czy językowe tłumacza (był to dawny przekład Leona Rogalskiego, poprawiony i „unowocześniony").

Pierwsza praca, a więc i pierwsze trudności. Podporą, opiekunką i dobrym duchem była wówczas dla nas, szczupłego zespołu redakcyjnego, Pani Irena Wiesenbergowa, pełniąca obowiązki sekretarki Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, a równocześnie sekretarka naszego Wydawnictwa, zajmująca się również przepisywaniem maszynopisów, korespondencją z autorami, organizowaniem różnych uroczystości i spotkań i całym szeregiem czynności, których nie sposób wyliczyć. W chwilach zwątpienia we własne siły, wahań lub załamań — czy aby sobie z tą pracą poradzę — nie żałowała słów pociechy. Jej dowcip rozładowywał wewnętrzne napięcia i dodawał jakże potrzebnej otuchy.

Pierwszymi pisarzami, z którymi spatkałam się na terenie Łódzkiej Spółdzielni Wydawniczej, byli Tadeusz Chróścielewski i Henryk Anders. Oni to uwspółcześnili przekład „Józefa Balsamo", dokonany w końcu ubiegłego wieku. Współpraca z nimi ułożyła się bardzo sympatycznie, nie było żadnych nieporozumień ani zgrzytów, dużo zaś wzajemnego zrozumienia i tolerancji.

W tego rodzaju wspomnieniu słowo „pierwszy" powtarza się raz po raz. Niesie ono atmosferę dawnych, minionych lat, przywołuje uśmiech zadumy, ciepłego zamyślenia nad tym, co niepowrotne.

BARBARA POULAIN

PLASTYKA

WYSTAWY

Hannah Höch — fotomontaże, rysunki, obrazy z lat 1918—1971

Wystawa **Hanny Höch** w Muzeum Sztuki zorganizowana została we współpracy z Galerią Narodową w Berlinie Zachodnim. Artystka urodzona 1889 r. mieszka na peryferiach Berlina Zachodniego. Po okresie studiów, drogę twórczą rozpoczęła od udziału w berlińskim odgałęzieniu ruchu d a d a. Macierzystą siedzibą dadaizmu był Zurich, gdzie w 1916 r. międzynarodowe środowisko artystów i intelektualistów — wojennych emigrantów zakłada „Cabaret Voltaire" jako wyraz nihilistycznego buntu przeciwko okrucieństwu i bezsensowi światowej rzezi, o wiele ostrzej wyczuwanych na zachodzie niż na wschodzie Europy, gdzie koniec wojny niósł wielu krajom wyzwolenie narodowe i społeczne. W zwyciężonym Berlinie, w przededniu zlikwidowanej przez militarystyczną reakcję rewolucji listopadowej — klimat dadaistycznego buntu radykalnej młodzieży niemieckiej był szczególnie ostry, zaangażowany politycznie i społecznie. Dynamika i antyestetyzm były głównymi cechami dadaizmu.

Oto fragmenty „Manifestu dadaistycznego" wydanego w 1918 r. w Berlinie: **„...Najwyższą sztuką będzie ta, która w swej treści myślowej odzwierciedla tysięczne problemy epoki, sztuka, o której da się stwierdzić, że uległa wstrząsom ostatnich tygodni, ta która wciąż na nowo skupia swoje członki pod ciosami ostatniego dnia... Słowa DADA wyraża najbardziej prymitywny stosunek do otaczającej rzeczywistości... Życie przedstawia się jako równoczesna plątanina dźwięków, barw i rytmów duchowych, którą z dnia powszedniego i w całym brutalnym realizmie wiernie przejmuje sztuka dadaistyczna ze wszystkimi sensacyjnymi wybuchami oraz rozgorączkowaniem swej zuchwałej psyche... Dada jest klubem założonym w Berlinie, który wolno odwiedzać bez angażowania się. W klubie tym każdy może być przewodniczącym i każdy może zabierać głos na temat sztuki... W pewnych okolicznościach być dadaistą, znaczy to być... bardziej członkiem partii politycznej, niż artystą... być dadaistą znaczy to godzić się na to, żeby stać się igraszką rzeczy, przeciwstawiać się wszelkiej osiadłości; ...Afirmacja-negacja: gigantyczny hokus-pokus istnienia spala nerwy prawdziwego dadaisty. ...Być przeciwnym temu manifestowi — to właśnie być dadaistą!**

„Manifest podpisali m. in. **T. Tzara, G. Grosz, R. Huelsenbeck, R. Hausmann.** Berlińskie środowisko dadaistyczne było nadzwyczaj ruchliwe, wydawano wiele efemerycznych czasopism, organizowano skandalizujące wieczory poezji. Działalność dadaistów obejmowała poezję, malarstwo, rzeźbę, film, fotografię, filozofię i politykę. Wierzono, że z chaosu wyłoni się prawdziwa wolność.

Hannah Höch w tym czasie „wynalazła" swoją nową technikę — **fotomontaż.** Okazał się on szczególnie przydatny do wyrażenia spraw epoki. Wycięte z gazet i czasopism fragmenty artystka darzyła nowym życiem, łącząc, kojarząc oderwane z pozoru fotografie, napisy, cytaty w całość dysharmonijną, pomieszaną jak samo życie, ale pomieszaną w porządku jaki życie nasuwa — właściwym dla niej sarkazmem, drwiną, dynamizmem. Fotomontaże jej pełne są aktualnych aluzji. Wydawać by się mogło, że zrozumiałe mogą być tylko dla ludzi tej epoki. Informacja, że jeden z dwóch panów w kąpielówkach na fotomontażach „Panorama dadaistyczna" z 1919 r. i „Głowy państw" z 1918-20 r. jest pierwszym prezydentem republiki weimarskiej jest cenna. Lecz bez tej informacji wiadomo, że to dwóch mieszczuchów dominuje w symultanicznej kompozycji, a obok nich „Deutsche Frauen", poniżej szereg w pikielhaubach, demonstrujące tłumy, i obłoczek z rozrzuconym napisem DADA.

Sztandarowym utworem Hanny Höch jest fotomontaż **„Cięcie nożem kuchennym dada przez pierwszą weimarowską epokę niemieckiej kultury piwoszowego brzucha"** z 1920 r. — kompozycja w której odnajdujemy portrety polityków i artystów, żołnierzy, tłumy, tancerki, cyrkówki, domy, części maszyn, codzienne przedmioty, wszechobecne napisy dada — słowem powojenny Berlin, wszystko nawzajem unieważniające się. A był to przeciez czas tworzenia nacjonalistycznych, teutońskich symboli.

Hannah Höch przylepia „gombrowiczowską gębę" modzie na sport, na „tężyznę młodości", modzie na kobietę fatalną o twarzy dziewczynki (mizdrzącej się przed małpą), modzie na „erotyczny" fetyszyzm maszyny. Klimat ten został wskrzeszony w znanym filmie „Kabaret". Interesującą kompozycję posiada fotomontaż „Nowy Jork" z 1922 r. widziany jednocześnie z lotu ptaka i z dołu, co stwarza wrażenie dynamicznego ruchu, przenikania się budynków, pędzących pojazdów. Praca „Moje aforyzmy domowe" z napisami, notatkami, tapetami, koronkami, rysunkami o treści wiadomej tylko autorce pozwala wejść w jej osobisty świat, w którym sztuka integruje się z życiem. Hannah Höch tworzy fotomontaże do chwili obecnej, barwne, nasycone, gdy tamte dadaistyczne odwoływały się do sfery życia społecznego, te czerpią inspirację z przyrody, z licznych przemyśleń.

Obok fotomontaży Hannah Höch tworzyła „przedmioty" — dadaistyczne lalki, marionetki — nadające im „inne" znaczenia, ponadto rysunki i akwarele. Jej ilustracje do poematów Verlaine'a cechuje klasyczny umiar. Abstrakcyjne akwarele z 1919-20 r. malowane szerokimi, swobodnymi pociągnięciami pędzla, o „dzikich" zestawieniach barwnych — zdają się antycypować malarstwo gestu i podobnie jak fotomontaże są symbolem intelektualnej niezależności.

Nie można przecenić znaczenia obrazów olejnych Hanny Höch powstałych od połowy lat dwudziestych. Spotykamy się tutaj z przemieszaniem planów i perspektyw, proporcji, deformacją, splątaniem realności z formami symbolicznymi czy abstrakcyjnymi, niekiedy niemal fotograficznym realizmem, ironią, groteską. Czasem jak np. w obrazie „Rzym" z 1925 r. (Mussolini i słynna gwiazda Asta Nielsen) kompozycja przypomina sumultanicznie rzutowane filmowe kadry. Czasem jest to roślinność podobna do rosnącej u stóp postaci na gotyckich obrazach („Vita immortalis" 1924 r.), czasem są to monumentalne góry z 1941 r. Najczęściej jednak obrazy Hanny Höch, podobnie jak fotomontaże, czerpią swą pożywkę z życia. Problemy zawarte w jej obrazach odnalazły się w malarstwie pop-art w latach 60-tych.

Ostatnia przed wojną wystawa Hanny Höch n i e odbyła się w Dessau w 1932 r. Artystka nie opuściła Niemiec, nazizm przetrwała w izolacji, szczęśliwie ocaliła prace swoje i przyjaciół.

Ireneusz Pierzgalski — „Relacje"

Relacje — zależności między ludźmi ustanawia m. in. strój. Na wystawie w Muzeum Sztuki ściany obiega frez fotografii pt. „Czapeczki" — członków rodziny, krewnych, przyjaciół, znajomych bliskich i przygodnych Ireneusza Pierzgalskiego — ludzi różnego wieku, statusu społecznego, narodowości, rasy. Są oni sfotografowani en face, bez póz i upiększeń, odziani zawsze w jednakową kurtkę i czapkę należącą do autora. Między autorem i modelem zachodzi więc niejako wymiana zależności. Zewnętrzną unifikacją przełamuje drugi rząd fotografii odnoszących się do życia wewnętrznego, prywatnego portretowanych, do ich upodobań i spraw. Relacje mieszają się, sprawy własne fotografowanych wymykają się kreującemu artyście. Inny rodzaj zależności występuje między przedmiotem realnym, ruchomym kapeluszem i rzutowanymi na niego barwnymi przezroczami zmieniającymi jego kształt i znaczenie. Tu tworzywo jest posłuszne, a zależności na pozór jednoznaczne.

Ireneusz Pierzgalski aranżował kilkakrotnie w Muzeum Sztuki wnętrza kreowane światłem, zawsze pobudzające wyobraźnię i skłaniające do refleksji.

Antoni Starczewski — „Paralele"

Pokaz prac **Antoniego Starczewskiego** w Muzeum Sztuki to przegląd najważniejszych problemów jego twórczości. A są nimi, jak się wydaje, jedność w wielości, linearna budowa świata i jej wyraz w piśmie, tajemna „mowa" form przyrody, rytm. Paralele (równoległości) wyznaczają kompozycję wszystkich poczynań Antoniego Starczewskiego — czy będzie to ściana świetlna w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, czy ceglane mury na kąpielisku „Fala". W Muzeum Sztuki na stołach leżą ceramiczne, białe i kolorowe owoce, warzywa i codzienne przedmioty uszeregowane tak jak pismo i nie jest tak istotna ich morfologia, jak funkcja, jaką spełniają formując powierzchnię. Liczy się rytm, następcza kolejność, jedność w wielości.

Prace graficzne i rysunki ujawniają zainteresowanie pismem jako systemem informacji pojętej ogólnie — zatem tym co zmienne, zależne od dokładnych członów, od chwilowego nacisku ręki, linearne, zależne wreszcie od obranego systemu — czy będzie to pismo odręczne, czy drukowane, czy pismo Braille'a, czy szeregi jednej litery, czy rytmicznie powtarzane „wałeczki", czy listki, płaskie lub plastyczne. Prace Antoniego Starczewskiego po raz pierwszy eksponowane są w Muzeum Sztuki w tak bogatym wyborze.

JANINA ŁADNOWSKA

FINLANDIA

PRAWDZIWĄ SAUNĘ ZNAJĄ TYLKO FINOWIE

ALICJA SARNAT

Cały czas dręczyła mnie myśl, czy w Helsinkach ktoś wyjdzie po mnie do portu. Jeżeli nie, to co mam robić?

FIŃSKI OBIAD

Nareszcie port! Z niepokojem patrzę na nabrzeże. Są!! Machają do mnie, ja do nich i pędzę do wyjścia. Powitanie, uściski... Zapraszają mnie do restauracji. Nareszcie coś zjem! Urocza ludowa restauracyjka na nabrzeżu. Podają mi kartę. Nic z tego nie rozumiem. Proszę, aby wybrali coś dla mnie. Po chwili zjawia się przede mną ogromny talerz z mnóstwem zieleniny. Sałata, pomidory, ogórki pokrojone razem ze skórką, obok dwa olbrzymie plastry jakiegoś mięsa, sinobordowe to-to, aż obrzydliwość bierze. Okazuje się, że to szynka z renifera! Do tego dwa czarne placki z pieczonymi kartoflami w środku i szklanka surowego mleka! Mleko pije się tutaj do wszystkiego.

TULA — DZIEWCZYNA TOMA

Po obiedzie jedziemy do dziewczyny Toma. Ma na imię Tula. Jest studentką szkoły medycznej. Mieszka w akademiku dla studenckich rodzin. Ma małą córeczkę Annę. Jest szalenie sympatyczna, długie jasne włosy, ogromne niebieskie oczy, masa wdzięku. Zawsze jednakowo ubrana w spłowiałe dżinsy i kraciastą koszulę.

Anna ma dwa lata i takie same ogromne oczy jak jej matka. Tula mieszka z Anną w dwupokojowym mieszkaniu z łazienką. Podczas studiów bierze od państwa pożyczkę, którą potem będzie musiała spłacić. Ma telewizor, ale ogląda go rzadko. Mówi, że program jest bardzo komercjalny.

Tula jest komunistką z przekonań. Działa w radzie uczelni, do której wchodzą pracownicy naukowi i studenci. Doprawdy nie wiem, jak znajduje na to w s z y s t k o czas. Jest bardzo dobrą studentką, nigdy, jak się potem przekonałam, nie opuszcza zajęć. Kiedy idzie na nie, Anna zostaje z kuzynką Tuli. O miejsce w przedszkolu jest bardzo trudno.

W sobotę Tom obiecuje zabrać nas na prawdziwy fiński weekend do przyjaciół.

WEEKEND NAD JEZIOREM

Tom bardzo się starał, żebyśmy zrozumieli na czym polega prawdziwa **fińska sauna. Kiedy mu Marek napomknął,** że widział w pełni zautomatyzowane sauny w Szwecji, bardzo się oburzył. Powiedział, że Szwedzi nie mają o tym pojęcia, a w USA, gdzie był ostatnio, przez trzy miesiące, robią z sauny burdel. Twierdził, że tylko oni, Finowie, wiedzą na czym to polega.

Zawiózł nas specjalnie trzydzieści kilometrów od Helsinek, nad maleńkie jeziorko do swoich przyjaciół. Na wzgórzu stał weekendowy domek. Do jeziora schodziły kamienne schodki i tam właśnie stała sauna. Obłożona dookoła pociętymi brzozowymi brewionami. Od niej odchodził drewniany pomost już wprost do jeziora. Po przywitaniach i obejrzeniu wszystkiego, co było możliwe, podzieliliśmy się na dwie grupy. Kobiety z dziećmi zostały w domu, a mężczyźni poszli rozpalić ogień w saunie.

I kiedy płomienie wesoło harcowały już pod olbrzymim kotłem z wodą i piecykiem, który nagrzewał kamienie, zabrali kilka butelek piwa i wsiedli do stojącej na brzegu łodzi. Jezioro było niewielkie. Nad jego brzegami gęsto rozsiane stały sauny — była ich cała kolonia. Z niektórych kominów wydobywał się dym, wokół kręcili się ludzie, wiele osób kąpało się już w jeziorze.

SAUNA

Jechałam na ten weekend z lekkim strachem. Po drodze wstąpiliśmy po Tulę. Właśnie przed chwilą skończyła pranie i tak jak stała, w swoich nieodłącznych dżinsach i kraciastej koszuli, wrzuciła do olbrzymiej torby pieluchy, niezliczoną ilość ciuszków Anny i pojechaliśmy. W domku nad jeziorem mieszkali Hannu i jego żona Siri oraz dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka w wieku trzech, pięciu lat i pies wabiący się po fińsku Pija którego natychmiast z polska ochrzciłam Pijaczką.

Byłam potwornie głodna, bo nie jedliśmy obiadu i Siri zaproponowała mi kanapki. Chleb w Finlandii jest dla Polaka nie do jedzenia. Albo chrupki o smaku wysuszonej spodniej skórki naszego chleba, albo tak czarny i twardy, że nasz razowiec jest przy nim delicją, albo słodki i tak puszysty, że cały bochenek można zgnieść w obu dłoniach. Tym razem dostałam czarny z topionym serem wyciśniętym z tubki, papryką i kiełbasą. Fińska kiełbasa, obojętnie jakiego rodzaju, ma smak i konsystencję naszej serdelowej.

Siri nie ma w kuchni ani jednego noża. Do krojenia służy jej maszynka. Kroi nią wszystko, chleb, kiełbasę, paprykę, a do smarowania używa małych drewnianych łopatek. W Finlandii pije się zwykle mleko, soki lub czarną kawę. Ale tym razem Siri przynosi mi ogromną filiżankę zaparzonej dla mnie mocnej herbaty.

Sauna jest już gotowa. Tom, widząc moją niepewną minę, mruga do mnie porozumiewawczo. Dostaję ogromny ręcznik. Tula i Siri biorą dzieci, piwo, kiełbaski i idziemy. Przodem poszczekując biegnie Pija.

Sauna składa się z trzech pomieszczeń. W pierwszym zostawiamy ubrania, w drugim jest prysznic, miednice, wielki kocioł z gorącą wodą. Pod prysznicem zimna woda, prosto z jeziora. Myjemy się najpierw zimną, potem ciepłą wodą i wchodzimy do trzeciego pomieszczenia. Stoją tu trzy drewniane ławeczki na różnych poziomach.

Tula, Siri i dzieci siadają na najwyższej. Ja też, ale po kilku sekundach czuję, że łańcuszek, który mam na szyi, zaczyna mnie parzyć. Schodzę więc na najniższą ławkę. Rozgrzane powietrze parzy mnie w nozdrza! Obok gramoli się Pija. Przytula się do mnie i czuję, że jej sierść staje się w jednej chwili całkiem mokra.

Spoglądam na Tulę i Siri, śmieją się. Dzieci coś krzyczą i Siri polewa rozgrzane kamienie wodą. Bucha para. Siedzimy jeszcze kilka minut, po czym wszyscy biegną do jeziora. Widzę ich przez małe okienko, jak kąpią się w zimnej wodzie. Na dworze jest około szesnastu stopni ciepła. Pomału przyzwyczajam się do gorąca i robi mi się przyjemnie. Tula i Siri wracają. Po dziesięciu minutach znowu pędzą do jeziora. Brr! Stanowczo nie mam ochoty na zimną kąpiel! Operacja powtarza się kilkakrotnie, po czym zabierają się do kąpieli dzieci w drugim pomieszczeniu. Wreszcie ubieramy się i siadamy na ganeczku przed sauną. Jemy tłustą kiełbasę, upieczoną na rozgrzanych kamieniach w saunie, i popijamy zimnym piwem.

Wieczorem siadamy w saloniku, na kominku trzaska ogień, na podłodze baraszkują dzieci. Dopóki nie pójdą spać, nie sposób rozmawiać. Siedzimy jeszcze długo, śpiewając na przemian fińskie i polskie piosenki. Tom akompaniuje na gitarze.

Foto: Archiwum

FILM

„BLIZNA" TEMAT WSPÓŁCZESNY

Po ostatnim filmie Krzysztofa Kieślowskiego mamy okazję przekonania się w sposób dobitny, że jest on jedynym z naszych twórców filmowych, który poważnie traktuje temat współczesny. Już pierwsze filmy Kieślowskiego, zwłaszcza pamiętny „Życiorys" (nagrodzony na II Ogólnopolskim Przeglądzie Filmów Społeczno-Politycznych), trafiały w problematykę najistotniejszą, nie ukrywając zarazem swojej dyskusyjności za fasadą słusznych racji, które stanowią często glejt nietykalności publicystyki filmowej. Potem zrealizowany został „Personel" — film o hierarchiach społecznych w naszej rzeczywistości i metodach obezwładniania społecznych inicjatyw poprzez wprowadzenie ich we wcześniej sformalizowane rygory. Wreszcie w „Bliźnie" — swoim debiucie fabularnym (tak od dawna dyskutowany powszechnie Kieślowski jest po raz któryś debiutantem) — reżyser zajął się tematem, który w wyraźny sposób umieszcza się wśród zagadnień najbardziej istotnych dla sytuacji społecznej i politycznej państwa socjalistycznego.

Tematem tym jest problem wpływu jednostki na przekształcaną rzeczywistość, która poprzez rozwój gospodarczy zmienia swoje oblicze społeczne. Przeszłość przekształcona zostaje w teraźniejszość o wiele szybciej niż wynikałoby to z przebiegu czasu: w miejscu, gdzie zawsze była puszcza, wyrasta w ciągu paru lat potężny zakład przemysłowy; stare, uśpione miasteczko przemienia się w naszych oczach w nowe miasto, w którym jednakowe budownictwo doskonale przeczy niejednolitemu rodowodowi jego mieszkańców. Przemiany gospodarcze cywilizacyjne wcześniej owocują zakłóceniem funkcjonowania dawnej kultury niż produkcją. Racje przyszłości docierają później od racji dnia codziennego; prawda ogólna wcześniej niż ujawni swój sens, przeczy prawdom indywidualnym. Aby wybudować nowe osiedle dla robotników kombinatu, trzeba przedtem zburzyć stare domy. Oczywiście cały kombinat można było wybudować gdzie indziej, ale błędna decyzja już zapadła, a budowa musi się rozpocząć. Jak więc kierować biegiem wydarzeń, tak, aby równolegle z działaniem przeciw przeszłości, która dla innych jest jeszcze dniem dzisiejszym już dziś myśleć o adresatach tych działań? Podstawowa sprzeczność istnieje więc pomiędzy świadomością celów indywidualnych (które też wewnętrznie są zagmatwane: kombinat burzy dawne życie mieszkańców, ale zarazem oni go potrzebują), a celem nadrzędnym — obiektywnie jedynym słusznym. Problemy te kumulują się w filmie w błyskawicznym tempie: historia budowy obejmuje wiele lat, tu oglądamy ją w potężnym skrócie. Zarazem z perspektywy szczególnej. Z jednej strony obserwujemy działanie osoby najważniejszej: „mocnego człowieka" — dyrektora Bednarza. Z drugiej zaś wiemy i widzimy więcej od niego. Postać dyrektora jest — wbrew pozorom — nową w naszym filmie. Tytułowi bohaterowie serialu telewizyjnego „Dyrektorzy" pozostają tu chlubnym wyjątkiem chociaż innego typu konflikty stawały się ich udziałem. Nie ujawniła się w ich historii sprzeczność racji o takim poziomie uogólnienia; przechodzili poprzez sytuacje nie mniej istotne, ale w natłoku szczegółów obyczajowo-historycznych serialu, mniej wyeksponowany był ich sens nadrzędny, uniwersalny. Dyrektor Bednarz jako przewodnik po świecie przemian, prezentuje swoją historią pewne charakterystyczne konsekwencje i prawidłowości powstające na styku rzeczywistości i działań jej kreatora. Człowiek aktywny, myślący, daleki od stereotypowego wzorca technokraty, przekonany o słuszności celów, które realizuje a zarazem związany emocjonalnie z miastem — zastaje jak by wbrew sobie uwikłany w sytuacje, w których nie istnieją wybory jednoznaczne. Jest to sytuacja obiektywna. Działalność Bednarza nie jest dla niego samego czymś, co da się realizować z pełną świadomością możliwych następstw. Dramat istniejący na zewnątrz, staje się jednocześnie dramatem indywidualnym. Sprzeczność wyraża się stale w momentach podejmowania decyzji. W dodatku w chwilach przesileń Bednarz pozostaje zdany wyłącznie na siebie: codzienne fakty kłamliwie przeczą jego deklaracjom solidarności z tymi, których w ich pojęciu zawiódł. Utrata kontaktu zarządzającego z grupą objawia się być czymś w znacznym stopniu niezależnym od jego indywidualnych zamierzeń. Aby rozwijać plan przekształceń, zawsze trzeba wyprzedzać rzeczywistość. Problem polega na wypełnieniu tej pustej przestrzeni uzasadnieniem teoretycznym, dyskusją. A to właśnie jest najtrudniejsze. „Wielki" dyrektor Bednarz działając zgodnie z nadrzędną racją, sprawia wrażenie człowieka, który w rzeczywistości jest samotny, chociaż zrealizował swój plan. Tak też jest w istocie. Na dziś jest to właśnie jego indywidualny udział w bilansie ogólnych strat i zysków.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Scenariusz: **Michelangelo Antonioni i Tonino Guerra** (na motywach opowiadania Julio Cortazara „Babie lato")
Reżyseria: **Michelangelo Antonioni**
Zdjęcia: **Carlo di Palma**
Wykonawcy: **David Hemmings (Tomasz), Vanessa Redgrave** (nieznajoma), oraz **Peter Bowels, Sarah Miles, John Castle** i inni.
Produkcja: **Carlo Ponti, Bridge Film** (Anglia)
Premiera: **1967 r.**

POWIĘKSZENIE

Pierwsze filmy Michelangelo Antonioniego powstawały w kręgu neorealistycznych inspiracji. Jego krótkometrażowy debiut, dokumentalny obraz „Ludzie znad Padu" niektórzy historycy uznają za pierwszą jaskółkę neorealizmu. Zainteresowanie Antonioniego neorealizmem szybko wyczerpało się, a jego psychologiczno-obyczajowe filmy powstałe w latach 50-tych nie zwracały specjalnej uwagi.

Światowa kariera tego twórcy zaczyna się dopiero po 1960 roku, po prezentacji na festiwalu w Cannes filmu „Przygoda", który otworzył wielką trylogię Antonioniego analizującą egzystencję człowieka we współczesnym społeczeństwie. Trzy filmy, „Przygoda", „Noc" i „Zaćmienie" składały się na psychologiczny fresk, który ukazywał neurotyczny niepokój jednostki zagrożonej rozpadem międzyludzkich więzi w warunkach XX-wiecznej cywilizacji. Antonioni przedstawiał dramaty ludzi wypalonych wewnętrznie, niezdolnych do przeżywania miłości, ogarniętych apatią i dławiącym uczuciem duchowej próżni. Egzystencjalne diagnozy, które wynikały z filmów Antonioniego zbliżały tę twórczość do zainteresowań Bergmana z tą wszakże różnicą, że autora „Siódmej pieczęci" problemy te zajmowały w płaszczyźnie filozoficznej, Antonioni natomiast ukazywał je głównie w aspekcie psychologicznym.

Nowy wizerunek człowieka wyłaniający się z twórczości Antonioniego wymagał nowych formuł dramaturgicznych. Antonioni zdecydowanie odrzuca literacką anegdotę na rzecz analitycznej funkcji obrazu filmowego penetrującego wnętrze ludzkiej istoty drogą cierpliwej obserwacji jej zachowań. Psychicznej dezintegracji człowieka zobrazowanej w filmach Antonioniego towarzyszyło rozbicie tradycyjnych konwencji fabularnych opartych na jasno skrystalizowanym przebiegu akcji.

Po słynnej trylogii Antonioni realizuje „Czerwoną pustynię", film powtarzający w niezwykle intensywnej formie znane już poprzednio motywy. „Czerwona pustynia" otwiera jednakże nowy etap w artystycznej biografii reżysera. Jest to etap eksperymentu z filmową barwą i wykorzystaniem jej dramaturgicznych możliwości. Do tego etapu należy również „Powiększenie".

Liczne pozory wskazywały na to, że „Powiększenie" jest filmem djametralnie różnym od poprzednich dokonań Antonioniego. Był to pierwszy film reżysera zrealizowany poza granicami Włoch, w Londynie. Tym samym Antonioni porzucił tak bardzo charakterystyczny dla jego filmów pejzaż społeczny, to jest włoską elitę burżuazyjną. Odmienna była również konstrukcja dramaturgiczna „Powiększenia", zamknięta i celowa, zewnętrznie nawiązująca do poetyki dramatu kryminalnego. Antonioni zmienił również główną postać swoich filmów słynną aktorkę włoską Monikę Vitti, która doskonale odtwarzała główne bohaterki jego filmów zastąpił mało znany aktor angielski David Hemmings. Wreszcie sama problematyka tego filmu pozornie również odbiegała od doskonale już znanego „świata Antonioniego". Jednakże bliższe przyjrzenie się „Powiększeniu" odsłania ogromną konsekwencję jego autora w rozwijaniu tych samych problemów, które w nowym filmie zostały przeniesione na wyższe piętro intelektualne.

Tomasz, londyński fotograf mody, fotografuje w parku przypadkiem napotkaną parę. Zauważony przez fotografowaną kobietę, mimo jej nalegań odmawia zwrotu kliszy. Nieznajoma z parku odnajduje go w atelier i ponawia żądanie. Tomasz daje jej inną rolkę, a gdy zostaje sam, wywołuje i powiększa zdjęcia z parku. Na jednym z nich wykrywa ślad zbrodni. Wieczorem udaje się do parku, gdzie znajduje zwłoki fotografowanego mężczyzny. Wraca do atelier stwierdza, że negatyw i odbitki zniknęły. Zostało tylko jedno powiększenie — tak duże jednak, że prawie nieczytelne. Rano raz jeszcze jedzie do parku, ale nie znajduje już zwłok w tamtym miejscu. Tomasz zaczyna wątpić w to, czy widział je naprawdę.

Antonioni nieprzypadkowo wybrał Londyn jako scenerię „Powiększenia". Londyn lat 60-tych jest stolicą świata, głównym centrum kultury masowej i artystycznej awangardy, pop-artu i pop-music, królestwem obyczajowo wyzwolonej młodzieży, miastem, w którym ogniskują się jak w soczewce najbardziej znamienne zjawiska współczesnej mentalności i obyczajowości. W sztuce zdecydowanie zwycięża pop-art, czyli sztuka przedmiotu. Świadomie zacierająca granice między użytkowym konkretem a funkcją estetyczną dzieła, między życiem a artystyczną fikcją. Pop-art jest wytworem o charakterze konsumpcyjnym, który dewaluując trwałe wartości sztuki zabija wrażliwość i kontemplacyjny stosunek do przedmiotu artystycznego. Podobnie działa muzyka popularna, muzyka big-beatowa pełniąca funkcje narkotyku. Taki kontekst kulturowy tworzy rzeczywistość sztuczną, iluzoryczną i migotliwą, która nie stawia człowiekowi oporu, lecz prowadzi do utraty poczucia obiektywnej realności. W tej rzeczywistości Antonioni umieszcza swego bohatera.

Tomasz jest fotografem mody, jest zatem nie tylko obserwatorem otaczającej człowieka ikonosfery kultury masowej, ale również jej współtwórcą. Chociaż tworzy wartości komercjalne żywi również ambicje artystyczne, ponieważ przygotowuje album o Londynie slumsów. W jego życiowej aktywności pragnienie prawdy splata się z życiem fikcją, którą produkuje.

Życie Tomasza, mimo zewnętrznej barwności i swobody jest puste i jałowe, brak w nim przeżyć wartościowych. Jego zachowania są przypadkowe, a uczucia nietrwałe. Wzbiera w nim poczucie narastającego chaosu psychicznego i chaosu otaczającego świata. Rzeczywistość przeżywa powierzchownie jako płynną i nietrwałą magmę. Sprawa zbrodni, na którą przypadkowo trafia konkretyzuje jego zachowania i wywołuje w nim pewien imperatyw moralny. Jednakże jego wysiłki są daremne. Iluzoryczna rzeczywistość wchłania go na powrót w swój magiczny krąg, a najcenniejsza wartość, jaką jest życie ludzkie rozpływa się w hipnotycznym transie pozorów i ułudy. Rzeczywistość traci dla Tomasza swoją ostrość, a wszelki wysiłek intelektualny rozpływa się w miazdze coraz to nowych wrażeń, których rozproszona psychika nie jest w stanie ogarnąć i opanować. I w tym miejscu pojawia się najistotniejszy, bo epistemologiczny problem „Powiększenia".

Profesja Tomasza pełni funkcje symboliczne. To metafora zawodu reżysera filmowego, który jest również podglądaczem rzeczywistości, a film to przecież ruchoma fotografia. „Powiększenie" odsłania swoją najgłębiej ukrytą warstwę — autotematyzm. Z filmu wyłania się refleksja nad świadomością współczesnego filmowca, „człowieka z kamerą". Antonioni ukazuje jego psychikę w procesie fotografowania, wywoływania i powiększania zdjęć, na których bohater filmu przypadkiem utrwalił zbrodnię. Lecz zbrodnia ta w kolejnych powiększeniach fotogramów rozpływa się i traci swój realny wymiar dla Tomasza, który tak silnie zawierzył rejestracyjnej i poznawczej doskonałości swego aparatu, staje się jeszcze jednym złudzeniem. A zatem „Powiększenie" wkracza w problematykę filmowego tworzywa. Jego poznawcze możliwości Antonioni-moralista ocenia w kontekście etycznych konsekwencji, które wypływają z procesu rejestrowania otaczającej rzeczywistości. Ocena ta jest głęboko pesymistyczna. A więc: jakie są poznawcze racje sztuki, która jest skazana na rejestrację zewnętrzności? Gdzie jest prawda filmu? Z tymi pytaniami pozostawia widza Antonioni, który „Powiększenie", film o pozorach sensacyjno-kryminalnych nieoczekiwanie przekształcił w traktat filozoficzny. „Powiększenie" jest wyrafinowanym arcydziełem o mistrzowskiej prostocie formy, arcydziełem, które za każdym elementem filmowej inscenizacji ukrywa bogactwo głębokich, wielo-znacznych treści.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKA

POZORNY KONIEC SEZONU

Zaczyna się ta książka jak klasyczna powieść o małżeńskim trójkącie. On — człowiek już dobrze po czterdziestce, z zawodu dziennikarz, naczelny redaktor jednej z prowincjonalnych gazet. Ona — jego żona z zawodu nauczycielka, która z kolejnych jego miłości lat młodzieńczych, pierwszego powojennego okresu, kiedy to jeździło się odbudowywać ze zniszczeń kraj, kiedy wspólna praca i przekonania wytyczały małżeńskie mniej lub bardziej udane związki. I wreszcie ta druga, młoda dziewczyna, co to pojawia się zwykle na horyzoncie, gdy małżeństwo przeżywa jakiś kryzys, kiedy w rytm codzienności wkrada się nuda, poczucie samotności, niemożności znalezienia wspólnego języka.

Ile już na ten temat pisano! Jakich nie szukano powieściowych rozwiązań, psychologicznych uzasadnień. Ile pociągało to za sobą klęsk i równie tyle samo zwycięstw. Bo w powieściowych trójkątach niczym w przysłowiowo rozdawanej talii kart, za każdym razem wychodzi inny układ wewnętrzny, innego rodzaju następują w konsekwencji rozegrania, chociaż wciąż są ci sami grający i te same karty. I tylko od talentu pisarza zależy, czy dana powieściową relację zapamiętujemy na długo, czy też szybko o niej zapominamy. A może zależy to również i od osobistej sytuacji?

Zaczyna się więc powieść Wiesława Jażdżyńskiego „Koniec sezonu" relacją o zawiązywaniu się trójkąta. Tylko że na dobrą sprawę na tym się też i kończy. Obie kobiety gdzieś znikają, a jeśli się pojawiają to jako postacie moralnie absolutnie negatywne. Jako przysłowiowe erynie niszczące nie tylko wewnętrzny spokój bohatera, ale co ważniejsze w sposób świadomy zmierzające do zniszczenia jego osobowości.

I od tego miejsca zaczyna się prawdziwa fabuła powieści. Od miejsca, gdzie bohater uwikłany w rozgrywki spoza trójkąta, staje przed dylematem nie wyboru między żoną i nową miłością, ale między wiarą w słuszność całego swojego dotychczasowego postępowania i zawodowo-politycznego działania a przyznaniem racji tym wszystkim, którzy nagle postanowili udowodnić mu, że wszystko co dotychczas dokonał było jedną wielką zdradą idei w które wierzył i wyznawał publicznie.

Na pewno racje są po obu stronach. Tylko że tam gdzie są przeciwstawne racje rozpoczyna się walka i to nieraz na życie i śmierć. Nasz bohater zostaje zmuszony do podjęcia tej walki wbrew sobie. I nie ma innej alternatywy. Bo rezygnacja z walki równa się przegranej, równa się całkowitemu zniszczeniu jego osobowości, zniszczeniu wiary w drugiego człowieka, w sens dotychczas wykonywanej pracy.

Oczywiście uważny czytelnik od razu odkryje, że akcja powieści rozgrywa się w Łodzi, że partie retrospektywne, sięgające w lata młodzieńcze bohatera umieszczone są na Kielecczyźnie. Lecz są to tylko szczegóły potrzebne pisarzowi do zadokumentowania, iż akcja powieści nie rozgrywa się w przysłowiowej próżni ale że mocno osadzona jest w realiach. I kto wie czy istotnie jego bohater powieściowy nie posiada swego alter ego w rzeczywistości. Nie oznacza to bynajmniej, iż jest to powieść z kluczem, iż należy pod bohaterów powieści podstawiać autentyczne osoby. Bo tak naprawdę, to osobiste wydarzenia bohatera posiadają jakże wiele z realiów ludzi żyjących i to nie z jednego akurat, przez pisarza wybranego środowiska. Wystarczy przecież przypomnieć sobie „Wielki układ" Zbigniewa Kubikowskiego.

U Jażdżyńskiego jest coś z klimatu tamtej powieści. Ale tylko z klimatu. Bo rozwiązanie jest absolutnie inne. Tam bohater po konfrontacji swej przeszłości z dniem dzisiejszym po konfrontacji postaw swoich dawnych kolegów, którzy starali się go zwyczajnie zniszczyć, wykończyć, jako zwycięzca wyznaczonych przez siebie racji, wraca z prowincji do metropolii. Tylko że ten powrót można traktować jako ponowną ucieczkę od przeszłości, swoistego rodzaju oznakę słabości, niechęć do podejmowania walki o swoje racje.

W „Końcu sezonu" bohater nie ucieka z pola walki. Podejmuje samotnie rzucone mu wyzwanie środowiska, które w sposób jakże perfidny stara się go wykończyć. Z walki tej wychodzi zwycięsko. Ani wspomniane erynie, ani środowisko nie są w stanie psychicznie go załamać, co jest pierwszym i koniecznym warunkiem wykończenia. Lecz wychodzi z tej walki równie samotny jak do niej przystępował. I będąc zwycięzcą wszystko musi zaczynać od początku. Owszem posiada jedno, zaufanie tych, którzy wierzyli w jego niewinność, którzy przez cały czas stali po jego stronie. Jest to na pewno bardzo dużo, ale równocześnie jakże mało, gdy się przekroczy pewien próg życia określany stabilizacją. A w jego wieku stabilizacja na równi psychiczna co i zawodowa jest już koniecznością.

I tak oto zwyczajna wydawać by się mogło powieść o jeszcze jednym trójkącie małżeńskim przekształcona została w wielką oskarżycielską relację o współczesnym środowiskowym wykańczaniu ludzi. Stąd też nie dziwmy się, gdy w końcowym rozdziale powieści, już po odniesionym zwycięstwie, bohater nasz pisząc swój kolejny życiorys, z ironią i gryczą konstatuje: „Tomasz duma nad obszernym blankietem, czyta raz jeszcze znane mu od lat pytania zawarte w ankiecie personalnej. To ma być prawdziwy obraz człowieka? Wypełnić czy też nie wypełniać? — oto jest pytanie! Jeżeli zdecyduje się odpowiedzieć na pytania, będzie musiał napisać własnoręcznie życiorys. Urodziłem się ojciec mój, pracował jako, ukończyłem, pierwszą pracę rozpocząłem w roku, drugą w roku, trzecią w roku, uzyskałem następujące nagrody i odznaczenia, jestem członkiem od roku... podpis, dokładny adres, numer telefonu. To ma być życiorys? Raczej jedna z propozycji, inni także piszą mój życiorys, nigdy nie wiadomo, który z nich zostanie uznany za prawdziwy czy też obowiązujący".

Istnieje jeszcze trzeci życiorys mieszczący się gdzieś między małżeńskim trójkątem a personalną rozróbą. Życiorys odnotowany przez pisarza. Tylko że ten życiorys wbrew pozorom tylko formalnie zamyka sezon. Jeden z licznych sezonów każdej żywej biografii. Bo powieściowy koniec sezonu w propozycji Jażdżyńskiego stanowi jedynie szczęśliwe zamknięcie pewnej całościowej karty wyrwanej z biografii bohatera. Karty nie najszczęśliwszej, ale jak się okazuje najważniejszej, bo podsumowującej przeszłość i otwierającej nowe i nieznane w dalszej jego biografii. I słusznie. Powieść bowiem mimo wszystko innymi rządzi się prawami niż życie.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Wiesław Jażdżyński: Koniec sezonu. Czytelnik. Warszawa 1976 r. s. 202, cena zł 19.—

SEZON TRWA

Bohaterem najnowszej powieści Wiesława Jażdżyńskiego jest dziennikarz, pisarz i działacz kultury w jednej osobie. Znalazł się właśnie u szczytu powodzenia. W tym momencie, w pełni sezonu, w którym chcąc nie chcąc (bardziej jednak chcąc) odgrywał rolę primabaleriny, przychodzi kryzys. Coś się w życiowym mechanizmie Tomasza popsuło. I — jak to często bywa — zacięło się od razu kilka trybów. Do kłopotów w pracy zawodowej dołączyły się problemy osobiste.

Analiza sukcesu i jego załamania ukazana została w konwencji przygodowej. Dla Tomasza bowiem całe życie, działalność, twórczość to wielka przygoda. Wiedzie życie niezwykle barwne, umie czerpać z niego pełnymi garściami. Po prostu kocha je, ale czy posiadł sztukę życia? Otóż niezupełnie. Nie uwzględnił bowiem istotnych elementów — spóźnionej miłości oraz towarzysko-zawodowej rozgrywki. Sprowadzenie wszystkich niepowodzeń Tomasza do tego tylko punktu byłoby uproszczeniem. Odgrywa on ważną rolę przede wszystkim w kształtowaniu akcji. Ukazując ową rozgrywkę (raz jako zwykłą igraszkę, innym znów razem jako siłę zdolną zniszczyć człowieka) posłużył się pisarz chwytem kompozycyjnym zagadki: Tomasz przy współudziale przyjaciela powoli odkrywa przeciwników.

Jażdżyński udowodnił niejednokrotnie, iż potrafi pisać książki sensacyjne. Zaangażowanie uczciwych ludzi w obronie niewinnego przedstawione zostało jako pasjonująca przygoda. Ma to jednak i pewne konsekwencje artystyczne: ustawienie bohaterów po dwu stronach barykady wymaga zdecydowanego podziału na charaktery białe i czarne. Tkwi w tym utworze wyraźny zamysł dydaktyczny, wiara i w człowieka, i w szczęśliwe zakończenie jego tarapatów.

Nie jest to jednak optymizm ułatwiony. Autor przedstawia niezwykle dokładnie człowieka uwikłanego i osaczonego. Analizuje jego osobowość z wielu różnych punktów widzenia: ukazuje dojrzewanie, porywy młodości, instalowanie się w życiu, osiągnięcia i chwile zmęczenia. Tomasz jest postacią niezwykle barwną, w stylu bycia uroczo niekonsekwentny przypomina niekiedy duże dziecko. Cechy te stwarzają doskonałą okazję do celnych i głębokich (acz dowcipnie podanych) refleksji ogólnych.

Wartość pisarstwa Wiesława Jażdżyńskiego sprawdza się między innymi właśnie w zręcznym połączeniu intrygującej fabuły, wartkiej narracji z warstwą refleksyjną. Kolejne zdarzenia zaciekawiają, ale w miarę lektury uwidacznia się ich służebna wobec refleksji rola. Refleksja zjawia się niemal niepostrzeżenie w tej sensualistycznej, nasyconej konkretem prozie.

Tytuł powieści jest nieco przewrotny i prowokacyjny. Tomasz nie załamał się przecież, nie poddał. Poznał w biedzie prawdziwych przyjaciół. Podejmuje nową, odpowiedzialną pracę. Nie okazał się więc primabaleriną jednego sezonu. Sezon trwa.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Jażdżyński, Koniec sezonu, Czytelnik, Warszawa 1976, nakład 20 290 egz., cena zł 19-.

OBYCZAJE

PORADNIK DLA POCHLEBCÓW

Każdy z nas mógłby wymienić przynajmniej kilka osób z grona swoich znajomych, kolegów z pracy czy szkoły, członków rodziny, które zyskały sobie opinię lizusów. Wiecznie przymilnie uśmiechniętych, zawsze gotowych rzucić okrągłe słówka — „ależ pani dzisiaj pięknie wygląda" albo „tylko człowiek o takiej inteligencji mógł się podjąć tego zadania". Każdy z nas zapewne niejednokrotnie odczuwał zażenowanie lub nawet irytacje wywołane z gruntu fałszywym komplementem, ale też pewnie równie często mimo owej oczywistej fałszywości przyjmował komplementy ze źle ukrywaną satysfakcją.

Cóż, każdy z nas powie, takie jest życie. Nie zawsze droga do awansu, podwyżki czy nawet ludzkiej wdzięczności wyznaczona jest milowymi kamieniami rzetelnej pracy, świadectwami sukcesów i osiągnięć. Bywa, że prowadzi bezpiecznym traktem, opatrzonym drogowskazem w rodzaju: „jak tam drogie zdrówko, panie naczelniku", „idę do sklepu, czy może coś kupić dla pana kierownika".

Życie społeczne, na które składają się niezliczone międzyludzkie relacje, układy, stosunki, to rodzaj gry. Ma ona swoje zasady. Podług nich wymieniamy się rzeczami, usługami, informacjami. Otrzymujemy to, do czego mamy prawo, oddajemy to, do czego jesteśmy zobowiązani. Mamy więc prawo do ludzkiej grzeczności i wdzięczności w zamian za taką samą grzeczność i wdzięczność. Ale łamie zasady społecznej gry wdzięczności i grzeczności zarówno ten, kto tytułowałby swojego zwierzchnika per „ty stary durniu" jak również ten kto co dzień pytałby o szanowne zdrowie pana naczelnika.

To, co potocznie nazywa się pochlebstwem, lizusostwem, psychologia określa jako zachowania ingracjacyjne. Będzie więc pochlebca ingracjatorem, zaś obiekt pochlebstw ingracjowanym. Po cóż więc ingracjujemy się nawzajem i kiedy? Po to, aby uzyskać korzyść, która nam się nie należy lub do której nie jesteśmy jedynymi uprawnionymi. Decyzja czy korzyść tę uzyskamy należy do ingracjowanego. Trzeba więc go podejść, ubiec innych, a służą temu liczne działania, które psychologom udało się zbadać i opisać.

Otóż po pierwsze — lizus może podnosić wartość ingracjowanego. To sposób najpowszechniejszy. Podkreśla się zasługi, wiedzę, inteligencję, urodę, ba nawet fakt posiadania wyjątkowo dobrze ułożonego psa. I robi się miło ingracjowanym, albo niestety serce im rośnie. Nie każdy ma żelazny charakter Robespierre'a zwanego nieprzekupnym.

Ci, którzy już beczkę ingracjacyjnej soli zjedli wiedzą że nie tędy droga. Trzeba się dowiedzieć w czym ingracjowany nie czuje się pewnie. Niechże na przykład dyrektor odda się z pasją wędkarstwu i niech mu nad rzeką czy jeziorem brak tylko przysłowiowego mydła. Skutecznym wówczas być może spytać o tego szczupaka, „co go pan dyrektor wczoraj po trzech godzinach emocjonującej walki na brzeg wyciągnął".

W drugim kręgu ingracjacyjnego wtajemniczenia spotkać można pochlebców, którzy nie idą na tanie komplementy. Krąg ten należy do potakiwaczy. Przychylność bliźniego zyskać można przecież, gdy deklaruje się zgodne z nim opinie, gdy demonstruje się swój komformizm.

Wytrwali znawcy rzemiosła pochlebstw dodają jeszcze autoprezentację, czyli malują siebie w jak najkorzystniejszych barwach. Zależnie od potrzeb i doraźnej sytuacji, albo odkurzają lśniące fałszywym blichtrem herbowe tablice — „ciocia miała spory majątek w... skiem, no, ale pan rozumie, co to właściwie dzisiaj znaczy", albo z innej beczki — „z trudem się człowiek przez życie przedzierał, do szkoły pod górkę chodził..." można także inaczej — „ludzie naszego pokroju, panie docencie..." albo wręcz przeciwnie — „gdybym miał pańską, panie docencie, inteligencję..."

Oczywiście nie zawsze posługiwanie się takimi metodami obłaskawianie bliźnich musi świadczyć o wyjątkowo paskudnym charakterze. Chwytanie się ich może wynikać z dużego stopnia zależności pomiędzy podlizującym się, a tym, któremu się podlizuje, lub może być wręcz narzucane przez tego ostatniego. Zdarzają się przecież szefowie bardziej rozliczający swych podwładnych z głębokości ukłonu niźli z rzeczywistej wartości ich pracy, zasług, wiedzy.

W większości jednak ingracjacja jest grą nieczystą, a podlizywacze winni budzić uczucie mdłości w okolicach żołądka, a nie miłe ciepełko pod sercem. Byłoby jednak niesprawiedliwością tak totalne potępienie lizusostwa. Istnieje w nim bowiem pewien niewielki element wychowawczy, a raczej samowychowawczy. W każdym prawie człowieku, który co innego mówi na pokaz dla osiągnięcia prywatnych korzyści, a co innego istotnie odczuwa, budzi się uczucie, którego potocznie nazywamy wyrzutami sumienia.

I może właśnie te ostatnie nakazują autorowi niniejszych wynurzeń przyznać się, że chciał również coś zasiać w ogródku swej autoprezentacji. Pochwalić się, że przeczytał książkę „Osobowość i społeczne zachowanie się ludzi", a dzięki tej lekturze wzbogacił swą wiedzę i napisał to, co powyżej.

TOMASZ JAWORSKI

ZDROWIE

JAK ŻYĆ, KIEDY WSZYSTKO NAM SZKODZI

Niewłaściwe odżywianie jest jedną z najczęstszych i najważniejszych przyczyn przeróżnych chorób, częstokroć bardzo groźnych. Oczywiście nie można mówić o szkodliwych lub nieszkodliwych właściwościach jakiegoś produktu, nie biorąc pod uwagę ilości tego spożytego produktu oraz swoistych cech fizycznych i potrzeb odżywiania konkretnego człowieka.

We współczesnym świecie przywiązuje się coraz większe znaczenie do kultury odżywiania, będącej bardzo istotnym czynnikiem aktywności fizycznej, sprawności umysłowej, dobrego samopoczucia, zachowania zdrowia, zdolności do pracy i przedłużenia życia.

Mówi o tym jeden z najwybitniejszych amerykańskich specjalistów w zakresie diabetologii, **dr E. MAYER,** w wywiadzie udzielonym waszyngtońskiemu tygodnikowi „US News And World Report".

PYTANIE: — Doktorze Mayer, panuje powszechne przekonanie, że szkodzi nam wiele produktów żywnościowych: albo nas zabijają, albo wywołują choroby. Czy jest tak rzeczywiście?

ODPOWIEDŹ: To duża przesada. Jeżeli ma pan choćby minimalne wyobrażenie o właściwym odżywianiu, to wyjdzie pan ze sklepu z doskonałym zestawem artykułów. Ale jeśli nie ma pan o tym pojęcia — to może pan wynieść stamtąd „komplet" bardzo szkodliwy dla zdrowia.

P.: Jak pan wyjaśni szeroko rozpowszechniony pogląd, że dziś w o wiele większym stopniu niż kiedykolwiek w przeszłości nasze pożywienie wywołuje choroby?

O.: Sądzę, że my, lekarze, więcej wiemy o związkach zachodzących między pożywieniem i zdrowiem. Należy jednak, i jest to bardzo ważne, wprowadzić rozgraniczenie między tym, o czym jesteśmy przekonani, a tym, co — w najlepszym wypadku — jest prawdopodobne, lecz nie udowodnione.

Pozwoli pan, że przytoczę przykład tego, o czym wiemy. Umiarkowana nadwyżka wagi nie jest niebezpieczna dla zdrowia, pod warunkiem, że człowiek nie cierpi, przypuśćmy, na takie choroby, jak cukrzyca czy nadciśnienie krwi. Natomiast nadmierna nadwaga jest na pewno szkodliwa nie tylko jako czynnik pogłębiający już istniejące choroby, lecz także jako czynnik zwiększający szansę na zostanie diabetykiem czy nadciśnieniowcem.

P.: A czy niedostateczna waga ciała jest szkodliwa dla zdrowia?

O.: Jest to problem bardziej złożony. Jeżeli ludzie odżywiają się źle z powodu braku żywności, jak np. w wielu krajach Afryki, to dzieci nie rosną, młodzież częściej zapada na gruźlicę, a kobiety rodzą przedwcześnie. Z drugiej strony nadmierna chudość, prawdopodobnie nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa dla ludzi zdrowych pod każdym względem. Z punktu widzenia przedłużenia życia szanse rosną, kiedy człowiek jest nadmiernie chudy, a maleją kiedy jest nadmiernie otyły.

P.: Czy istnieje związek między odżywianiem i jakimiś specyficznymi chorobami? Np., czy stwierdzono związek między tym co jemy a rakiem?

O.: Słowo „stwierdzono" wprowadza mnie w zakłopotanie. Przy zachorowaniach na niektóre rodzaje raka, związanych z czynnikiem otaczającego nas środowiska, podejrzewa się, że odżywianie jest jednym z takich „czynników ryzyka". Ale przekonywające dowody — to zupełnie inna sprawa. Np. jedna z bardzo popularnych teorii związanych z odżywianiem głosi, że raka grubego jelita wywołuje niedostatek włókien w naszym jedzeniu. W ciągu ostatnich paru lat wielu znanych popularyzatorów medycyny wydało sensacyjne książki poświęcone temu problemowi.

Istotnie, ustalono, że rak grubego jelita jest bardziej rozpowszechniony wśród ludzi mieszkających w przemysłowo rozwiniętych krajach, niż wśród mieszkańców krajów rozwijających się. Uczeni ustalili także, że jeżeli pożywienie zawiera dużo włókien — takich jak włókna roślinne, błonnik zbóż — to przegotowane pożywienie szybciej cyrkuluje po przewodzie jelitowym. Takie są fakty. Teraz przejdźmy do teorii.

Głosi ona, że jeżeli ekskrementy szybciej cyrkulują po jelitach, to nie ulegają „fermentacji" i nie sprzyjają zwiększaniu ilości substancji rakotwórczych. Ale tego na razie nie udowodniono. Sama teoria nie wygląda nieprawdopodobnie, istnieją jednak przeczące jej fakty. I tak np., zgodnie z nią, ludzie cierpiący na chroniczną obstrukcję powinni być szczególnie zagrożeni rakiem grubego jelita, jednak nie obserwuje się tego w praktyce.

To wcale nie znaczy, że teoria jest błędna, a po prostu może świadczyć o tym, iż nasza wiedza jest jeszcze zbyt ograniczona, żeby tę teorię udowodnić. Posiadane dowody nie są jeszcze tak przekonywające, jakby chcieli nas w tym upewnić niektórzy autorzy książek.

P.: Co może pan powiedzieć o raku żołądka?

O.: W tej dziedzinie mamy dobre wieści. 30 lat temu rak żołądka był chorobą bardzo rozpowszechnioną, zajmował drugie miejsce po raku płuc u mężczyzn i po raku piersi i narządów płciowych u kobiet. W ciągu ostatnich lat w Stanach Zjednoczonych obserwowano bardzo szybki spadek zachorowań na raka żołądka. Nie wiemy, co na to wpłynęło, ale bardzo być może, że istnieje tu ścisły związek z pożywieniem.

P.: Duży niepokój wśród wielu osób wzbudzają przyprawy żywnościowe. Czy uważa je pan za niebezpieczne?

O.: Przede wszystkim określenie „przyprawy" jest bardzo szerokie i obejmuje wszystko, co dodaje się do jedzenia. Można twierdzić, że, w pewnym sensie, najbardziej niebezpieczną przyprawą do jedzenia jest sól i że równie niebezpieczną przyprawą jest cukier. Można także powiedzieć, że witaminizowanie pokarmów jest także przyprawą do potraw. Jeśli pominąć czerwony barwnik dodawany do żywności w Stanach Zjednoczonych dla celów czysto „estetycznych", to odnoszę wrażenie, że ludzie wykazują lęk właśnie przed najbardziej pożytecznymi przyprawami i najbardziej korzystnymi dla zdrowia.

P.: Jakie to są przyprawy?

O.: Są to środki konserwujące i środki zapobiegające utlenianiu. Mówiliśmy już o środkach zapobiegających utlenianiu. Pomówmy o środkach konserwujących, które przeciwdziałają powstawaniu pleśni. Niektóre z najbardziej rozpowszechnionych grzybków pleśniowych wytwarzają szereg niebezpiecznych substancji rakotwórczych. Np. aflatoksin jest jednym z najsilniejszych i najniebezpieczniejszych czynników rakotwórczych, jakie znamy. Wytwarza go zwykła pleśń, rozwijająca się na arachidach, kukurydzy, mleku, chlebie i jeszcze na mnóstwie innych produktów. Po części bronimy się od tej pleśni inhibitorami — środkami konserwującymi, a także przy pomocy specjalnej, skomplikowanej obróbki produktów w przedsiębiorstwach przemysłu spożywczego.

Jak wielkie ma to znaczenie dla zdrowia świadczą fakty: w Afryce na przykład, gdzie wybrakowane arachidy spożywają często najbiedniejsze warstwy ludności, zachorowalność wśród nich na raka wątroby jest fantastycznie wysoka, podczas gdy na przykład w USA i innych krajach rozwiniętych choroba ta występuje niezwykle rzadko.

Fakt ten może służyć za przykład tego niewątpliwego pożytku środków konserwujących dla zdrowia. W stosowaniu ich należy oczywiście zachować ostrożność.

P.: Wspomniał pan wcześniej, że cukier i sól można zaliczyć do liczby najbardziej niebezpiecznych przyprawy żywnościowych. Czy zechciałby pan wyrazić opinię na ten temat?

O.: Każdy człowiek inaczej reaguje na sól, ale jeśli rozpatrywać poszczególne grupy ludności ogólnie, to staje się oczywiste, że im większe jest zapotrzebowanie na sól, tym większa jest zachorowalność na nadciśnienie krwi.

P.: Czy istnieją jakieś przykłady wpływu takich lub innych produktów żywnościowych na choroby serca?

O.: Największe niebezpieczeństwo dla serca — poza wysokim ciśnieniem krwi — stanowi wysoka zawartość cholesterolu we krwi, w ślad za czym idzie osłabienie aktywności fizycznej i nadmierna waga. Niektórzy ludzie dzięki „kaprysom" dziedziczności mogą jeść wszystko, czego dusza zapragnie i nie wpływa to na zawartość cholesterolu w ich krwi. Ale są to wybrańcy losu.

Większość ludzi nie jest tak szczęśliwa. Jeśli zwiększa się ilość cholesterolu we krwi, to rośnie także niebezpieczeństwo choroby naczyń wieńcowych. Dane, które posiadamy, świadczą, że jeśli rośnie zawartość cholesterolu, to należy zmienić dietę. Dotyczy to przede wszystkim mężczyzn. U większości kobiet podobne zjawisko obserwuje się tylko w pewnych okresach. Dobrze jest wiedzieć, iż niebezpieczeństwo które niesie z sobą wysoka zawartość cholesterolu we krwi rodzi się wcześniej niż nam się wydaje. Mamy dowody, że uszkodzenie arterii zaczyna się już w wieku 16 lub 18 lat, a nie w 45 czy 50-tym roku życia, kiedy ludzie zaczynają umierać na zawały serca.

P.: Czy powinni zmieniać rodzaj swojej diety ludzie z wysoką zawartością cholesterolu we krwi?

O.: Powinni wnieść pewne korekty do swego odżywiania. Przede wszystkim powinni zmniejszyć spożywanie tłuszczów zwierzęcych, co oznacza zastąpienie masła śmietankowego i słoniny nienasyconymi tłuszczami roślinnymi. Powinni także zmniejszyć spożywanie wołowiny, wieprzowiny i baraniny — mięs bogatych w tłuszcze nasycone, jak również spożywanie jajek, będących najbogatszym źródłem cholesterolu.

P.: Na co należy zamienić te produkty w diecie?

O.: Ludzie, którzy starają się zmniejszyć zawartość cholesterolu we krwi powinni spożywać więcej ryb, ptactwa domowego, chudego sera, owoców i jarzyn, a także więcej chleba grubo mielonego oraz produktów zawierających ziarno. Masło śmietankowe należy zastąpić nienasyconą margaryną, a mleko pić tylko zbierane.

Zazwyczaj nie ma powodów przechodzenia na tak surową dietę, która może się stać nie do zniesienia. Mamy do czynienia ze statystyką. Chcemy zwiększyć nasze szanse, ale największa nawet ostrożność w odżywianiu, koniec końców nie uchroni nas od śmierci. Dlatego należy przestrzegać diety, ale nie można żyć tylko dlatego, żeby ją przestrzegać.

P.: Doktorze Mayer, dlaczego w USA nadmierna waga ciała stanowi o wiele bardziej poważny problem niż w wielu innych krajach?

O.: Przyczyną jest nadmierne odżywianie. Zresztą chodzi tu nie o absolutne, lecz o stosunkowo nadmierne odżywianie. Wiemy, że Amerykanie jedzą teraz mniej niż w 1900 roku. Nasz główny problem polega na braku aktywności fizycznej, co spowodował fakt, iż w 1900 roku H. Ford rozpoczął masową produkcję samochodów, a po drugiej wojnie światowej ukazała się w USA ogromna ilość maszyn zastępujących pracę rąk zarówno w przemyśle, jak i w domu. Fizyczna aktywność mężczyzn, a następnie i kobiet, zaczęła się gwałtownie zmniejszać w porównaniu z rokiem 1900.

Istnieje minimalny poziom zapotrzebowania na pożywienie, które wystarcza człowiekowi i poniżej którego „dobrowolnie" nie zejdzie. Powiedzmy, że pańskie zapotrzebowanie na pożywienie jest uregulowane w taki sposób, iż odpowiada ono pańskiemu codziennemu spacerowi pieszo na odległość 3 km. Jeśli „przespaceruje" pan codziennie 15 kilometrów, to będzie pan jadł więcej. Ale jeśli nie będzie pan chodził w ogóle, to wszystko jedno będzie jadł pan tyle, ile by pan jadł, chodząc trzy kilometry dziennie. W konsekwencji będzie pan tył.

Nie wszyscy ludzie są tacy sami. Stwierdziliśmy, że „minimalny apetyt" ludzi o dużej masie mięśniowej i grubokościstych odpowiada dość znacznej aktywności fizycznej. Jeśli zmniejszają tę aktywność, zaczynają mieć problemy z wagą. W przeciwieństwie do nich, ludzie o cienkich kościach, długich i cienkich rękach i nogach, o wydłużonych palcach u rąk i nóg — mogą nieraz siedzieć nieruchomo całymi dniami i mimo to nie nabierają wagi. Mają oni znacznie mniejszy „minimalny apetyt" i przy malejącej ruchliwości mają po prostu mniejszy apetyt.

A zatem, jeśli osiągnął pan minimalny poziom aktywności, to wykluczenie każdego następnego „ruchu" staje się jeszcze jedną przyczyną zwiększenia wagi. Dla przykładu: jeśli zastąpi pan ręczną maszynę do pisania — elektryczną, to energia nie wyładowana w wyniku tej wymiany odpowiada nagromadzeniu około kilograma tłuszczu rocznie.

P.: Czy oznacza to, że z punktu widzenia nadwagi główną rolę odgrywa ruchliwość fizyczna, a nie to, co jemy i ile jemy?

O.: Dla większości ludzi niedostateczna aktywność fizyczna jest najważniejszym czynnikiem warunkującym stopniowe zwiększanie się ich wagi ciała na przestrzeni szeregu lat. Innymi słowy, większość ludzi, którzy teraz, w wieku 45 lat mają kłopoty z nadwagą, nie mieliby takich problemów np. w 1630 roku, kiedy trzeba było dużo chodzić pieszo, rąbać drzewo, orać, kopać, dźwigać ciężary itp., itd.

P.: Jaką ilość czynności fizycznych powinni wykonywać ludzie ze skłonnością do tycia?

O.: Trzeba do tego podchodzić rozsądnie. Ludzie nabierają wagi przez 20 lat, a później chcą ją zrzucić w ciągu 2 miesięcy. Ćwiczenia fizyczne należy traktować bardziej jako środek zachowania właściwej wagi, niż jako „awaryjny" sposób jej zrzucenia.

Pozwolę sobie wyjaśnić to w następujący sposób: pół kilograma tłuszczu odpowiada 3.500 kilokaloriom (kkl). A 100 kkl odpowiada 20-minutowemu spacerowi. A zatem codzienna 20-minutowa przechadzka pozwoli na zrzucenie 4,5 kg wagi w ciągu roku. Chodząc szybko można się pozbyć około 300 kkl w ciągu godziny. Grając energicznie w tenisa można zużyć 400 lub 500 kkl w ciągu godziny. Można osiągnąć poziom 1.000 kkl na godzinę, a nawet i więcej, uprawiając wioślarstwo. Pogląd, że należy rąbać drzewo 7 godzin w ciągu dnia, żeby stracić pół kilograma wagi jest absurdalny. Ale jeśli by pan rąbał drzewo po pół godziny dziennie — co nie jest ponad siły zdrowego człowieka — to w ciągu dwóch tygodni wyniesie to już 7 godzin, co równe jest 12 kilogramom tłuszczu w ciągu roku. To już całkiem nieźle.

P.: Czy istnieje jakaś „bezbolesna" dieta, która by pozwalała na szybkie zrzucenie nadwagi?

O.: Idealną dietą jest w ogóle zdrowa dieta, przy której zmniejsza się ilość spożywanego jedzenia i jednocześnie zwiększa się swoją fizyczną aktywność. Żeby osiągnąć sztuczne uczucie przesytu niektórzy ludzie przechodzą na ogromnie niezrównoważoną dietę, która, chociaż daje niekiedy pożądane wyniki, ma jednocześnie bardzo negatywne następstwa. Na przykład istnieje tzw. dieta z obniżoną ilością węglowodanów, figurująca pod przeróżnymi nazwami. Pomaga niektórym ludziom do zrzucenia wagi. Ale jednocześnie jest dietą z wysoką zawartością tłuszczów. I dlatego sprzyja zwiększeniu cholesterolu we krwi. W konsekwencji można coś zyskać z punktu widzenia estetyki, nabierając nieco lepszej figury, ale jednocześnie tracąc z punktu widzenia zdrowia.

Tłum. W. STOK.

U PRZYJACIÓŁ

Pisarz i dramaturg radziecki — Michaił Roszczin miał niezwykle udany sezon. Odbyły się premiery dwu jego nowych sztuk oraz publikacja zbioru opowiadań i nowel.

Sztuka „Mąż i żona poszukują mieszkania" obiegła teatry nie tylko w ZSRR, ale także w Bułgarii, Czechosłowacji, NRD. Można ją było obejrzeć także w Polsce.

Natomiast Moskiewski Teatr Satyry wystawił komedię Roszczina „Remont".

Michaił Roszczin debiutował jako prozaik. W 1951 roku opublikowano jego pierwsze opowiadanie. Od tego czasu ukazało się już kilka zbiorów opowiadań i nowel. Z każdym rokiem jednak coraz więcej miejsca w jego twórczości zajmuje dramaturgia. Także jako dramaturg zdobył sławę. Głośna stała się jego pierwsza sztuka „Walenty i Walentyna", grano ją w całym Związku Radzieckim, krajach demokracji ludowej, a także w RFN, Finlandii i Japonii. W bieżącym roku premiera tej sztuki ma się odbyć w San Francisco.

Obecnie Roszczin kończy nową sztukę pt. „Crossword", pisze ją na zamówienie MCHAT z myślą o dwu czołowych aktorach — Olegu Jefremowie i Eugenii Jewstingniejewej.

Roszczin ma także zamiar probować swoich sił w filmie. Pisze scenariusz dla studia „Mosfilm", ukazujący życie robotnicy w jednej z moskiewskich fabryk.

* * *

Kilka lat temu na ekranach kin w ZSRR cieszył się dużym powodzeniem film poświęcony Szostakowiczowi pt. „Sztych do portretu". Obecnie radzieccy dokumentaliści nakręcili drugi film dedykowany temu genialnemu twórcy. Film pt. „Wspomnienia o Szostakowiczu" pomyślany jest jako biografia twórcza wielkiego kompozytora, oparta na jego wypowiedziach, wspomnieniach przyjaciół, rodziny i współpracujących z nim muzyków. Włączone tu zostały wywiady z różnych lat, w których Szostakowicz mówił o swych planach, wyjaśniał zagadnienia procesu twórczego, wypowiadał się na temat roli sztuki w obecnych czasach. Film opowiada też o historii powstania wielu dzieł, m.in. symfonii, opery „Katarzyna Izmaiłowa", muzyki do filmowej wersji tragedii Szekspira „Hamlet".

Swoimi refleksjami na temat twórczości wielkiego kompozytora dzielą się dyrygenci: Eugeniusz Mrawiński i Gennadij Rożdziestwieński. Jako tło muzyczne filmu wybrano ostatnie utwory Szostakowicza — cykl romansów do poematów Michała Anioła i fragmenty sonaty na fortepian i altówkę. W filmie wykorzystano także fotografie rodzinne zmarłego kompozytora oraz fragmenty kronik filmowych robionych za życia Szostakowicza z okazji różnych uroczystości.

Przed kilku dniami zakończył się w Moskwie festiwal „Rosyjska zima".

* * *

Festiwal ten organizowany jest w Związku Radzieckim od 1963 roku. Obecny poświęcony jest w całości twórczości Sergiusza Prokofiewa i Dymitra Szostakowicza. W związku z tym utwory tych wielkich radzieckich kompozytorów zajęły czołowe miejsca w festiwalowym repretuarze Teatru Wielkiego, Muzycznego teatru im. Stanisławskiego i Niemrowicza-Danczenki. Uczestnikami Festiwalu było wiele orkiestr z całego Kraju Rad m. in. Symfoniczna Orkiestra Związku Radzieckiego, Orkiestra Moskiewskiej Państwowej Filharmonii, a także wielu wybitnych wokalistów i instrumentalistów.

W tym roku po raz pierwszy w festiwalu uczestniczyli wykonawcy zagraniczni.

* * *

Kilka radzieckich teatrów włączyło do swojego repertuaru nową sztukę Michaiła Maklarskiego i Kiryła Rapoporta pt. „Lód i płomień".

Sztuka ta poświęcona jest rewolucjoniście Feliksowi Dzierżyńskiemu i wystawienie jej zalicza się do kompleksowego programu teatrów radzieckich, który opracowany został z okazji 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Szczegółowo o tym programie pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów".

Utwór „Lód i płomień", autorzy określają jako udramatyzowaną kronikę opartą na historycznych faktach i materiałach dokumentalnych. Powstanie sztuki poprzedziły długie miesiące pracy i poszukiwań w archiwach i muzeach Moskwy i Wilna, Warszawy i Krakowa. Ponadto autorzy musieli zapoznać się z bogatą korespondencją Dzierżyńskiego, a także wspomnieniami o nim.

Materiał dokumentacyjny okazał się tak bogaty, że powstał projekt napisania drugiej sztuki o Dzierżyńskim, mówiącej o jego życiu po rewolucji.

AFRYKA

OSTATNI AZYL NAJEMNIKÓW

Niedawny proces białych najemników w Luandzie, którzy walczyli w Angoli po stronie rozłamowej organizacji Holdena Roberto — FNLA, rzucił wiele światła na cały łańcuch nowych faktów ujawnionych podczas procesu. W obecności ponad 100 dziennikarzy podano do wiadomości, iż mocarstwa zachodnie prowadzą szeroko zakrojoną działalność wywrotową przeciwko narodom i rządom azjatyckim, afrykańskim i południowoamerykańskim. W Angoli służby specjalne krajów zachodnich usiłowały rękami płatnych najemników zdławić walkę narodu Angoli o wolność i niepodległość, ale próby te skończyły się fiaskiem.

Proces wykazał ciągłość metody posługiwania się najemnikami, poczynając od inwazji na Kubę, a na interwencji w Angoli kończąc, sposobów werbunku, opłat za usługi, głównych ośrodków werbunkowych itp., itd. Ale ujawnił on także mnóstwo innych interesujących szczegółów, którym warto poświęcić nieco więcej miejsca.

Jak podaje korespondent tunezyjskiego tygodnika „Jeune Afrique", tylko zbiegiem okoliczności wśród najemników odpowiadających przed sądem w Luandzie nie było ani jednego Francuza. Dlatego też kontrwywiad francuski uniknął losu CIA i brytyjskiej Intelligence Service, które na procesie zostały okropnie skompromitowane. Równocześnie z procesem odbywającym się w Luandzie pracowała międzynarodowa komisja, rozpatrująca kompleksowo przestępstwa najemników. Swoje wnioski przedłożyła ona premierowi Ludowej Republiki Angoli, Lopo do Nascimento. Obejmują one trzy dokumenty, z których jeden może służyć za podstawę do definitywnego zakazu werbowania najemników.

Zawód najemnika jest stary jak świat. „Dzikie gęsi" — tak nazywali siebie w XVIII wieku irlandzcy najemnicy. Na świecie wiele się zmieniło od tamtych czasów. Wiele, lecz „sława" owych błędnych rycerzy i dziś także ekscytuje pewną kategorię ludzi, a przede wszystkim najemników dnia dzisiejszego, pozujących na „superludzi" świata zachodniego. Nie wszyscy spośród nich zdają sobie sprawę, że proces w Luandzie był dla nich śmiercią polityczną.

Współczesny najemnik pojawia się wtedy, kiedy niektóre państwa — pragnąc zrealizować swoje polityczne zamierzenia — zaczynają przejawiać zainteresowanie awanturnikami, jak np. Francja, Belgia i USA w Katandze, Francja i Anglia w Biafrze, Izrael w Południowym Sudanie, Anglia i USA w Angoli. Oderwanie Katangi w 1960 roku po ogłoszeniu niepodległości Konga, utorowało francuskim, belgijskim, południowoafrykańskim i innym najemnikom drogę do Afryki. Jakże wiernie służyli ci „rycerze" Czombemu, kiedy w 1964 roku został premierem i rzucił ich do walki z partyzantami Pierre'a Mulele w prowincji Kwilu i sojusznikami Gastona Sumialo na wschodzie kraju.

Kiedy w 1961 roku doszedł do władzy Mobutu, pozostawił najemników przy sobie. Ich wodzirej, Bob Denar, pomógł mu stłumić w 1966 roku bunt katangijskich żandarmów w Stanleyville (obecnie Kisangani) na południu kraju, a później... po prostu sprzedał go. Tymczasem belgijski „pułkownik", Jean Denar, pomocnik Boba Denara i były plantator ogłosił w mieście Bukawu, gdzie okopał się ze swymi 500 sojusznikami, w tej liczbie 100 najemnikami, tzw. „Niezależną republikę Kongo". Po trzech miesiącach rozbojów najemnicy wycofali się do Luandy, gdzie zostali internowani.

Pięć miesięcy później pozwolono im powrócić do domów, po uprzednim złożeniu solennego „zobowiązania, że nigdy nie powrócą do Afryki". Książka Rolfa Steinera pt. „Czerwony kwadrat", wydana niedawno w Paryżu, wskazuje, iż najemnicy nie dotrzymali słowa.

Wiele wspólnego mają ze sobą wszyscy najemnicy, niezależnie od pochodzenia. A najważniejsze, iż większość z nich jest w dodatku agentami służb specjalnych, które ich podkarmiają i utrzymują: CIA, Intelligence Service, kontrwywiadu francuskiego i innych. Najemnicy w Kongo, zwani powszechnie grabieżcami, przeszli doskonałą szkołę w Indochinach i we „francuskim Algierze". Więc i przesławny major Volk, którego nazwisko, otoczone najgorszą sławą, aż nadto dobrze znają Algierczycy, i „pułkownik" Bob Denar, pseudonim „Dentysta", były policjant z Casablanki i, jak ogólnie mówią, kreatura Foccara, byłego szefa francuskiego wywiadu w Algierze, handlarz ludźmi i bronią, sługus Czombego i Mobutu. Nawet Rolf Steiner nazywa Volka zabójcą i bandytą.

Z reguły werbowanie najemników odbywa się w znanych spelunkach Brukseli, Paryża, Lizbony, Johannesburga i Londynu, przy pomocy drobnych ogłoszeń lub hersztów band, utrzymujących stały kontakt ze służbami wywiadu różnych krajów. Opłata za usługi jest zróżnicowana. Za zdobycie Elizabethville, obecnie Lubumbaszi, Czombe wypłacił każdemu najemnikowi po 1.500 funtów szterlingów, w tym 700 gotówką. W Biafrze niektórzy najemnicy otrzymywali po 5.000 franków francuskich miesięcznie. W Angoli taryfa spadła do 1.200 franków miesięcznie.

W końcu 1976 roku w punktach werbunkowych w Londynie oferowano najemnikom do walki przeciwko MPLA w Angoli po 300 dolarów tygodniowo w ciągu 6 i pół miesiąca, plus 500 funtów szterlingów za każdy zniszczony czołg i 2.500 za jeńca... radzieckiego (!) Członkom klubu „dzikiej gęsi", a przede wszystkim byłym najemnikom z Republiki Południowej Afryki, którym szefował Michael Hor, stawki te wydały się zbyt mizerne. I odmówili. Cóż, nastały ciężkie dni. W czasach Katangi, jeśli zaistniała taka konieczność, można było podreperować budżet, spekulując bronią i diamentami. Teraz taka możliwość odpadła.

Kiedy kontrakt zawiera się w stolicy państwa europejskiego, nie wypłaca się od razu wszystkich pieniędzy. Najemnik, Claude R. powiedział, że kiedy zwerbowano go do walk w Biafrze, najemnikom płacono okrągłą sumkę 4.000 dolarów. Sumę tę dzielono na dwie części, jedną otrzymywał kandydat od razu, drugą wypłacano mu po przybyciu na miejsce przeznaczenia. Następnie, w jakimkolwiek biurze turystycznym najemnikom wręczano bilety do Iaunde, Libreville czy Abidjan i fałszywy paszport.

Oficjalnie najemników nazywa się instruktorami, ale ponieważ takiej funkcji powierzyć im nie można — nie mają o tym zielonego pojęcia — przeto kieruje się ich do walki. Ale i tutaj idzie im słabiutko. W Kongo na przykład niektórzy „pułkownicy" utworzyli wrogie sobie grupy i toczyli między sobą krwawe walki. Inni wzięli na siebie obowiązki dowódców miejscowych oddziałów wojskowych i przekształcili je w zbójeckie bandy. Ludzi tych łączy wspólna „filozofia". Jak zapewnia Steiner w swojej książce „nienawidzą oni polityki, ona bowiem — jak twierdzą — doprowadziła do klęski w Indochinach i Algierze".

Zmieniają się czasy. Afryka — jak widać — jest ostatnim miejscem, w którym kwalifikacje najemników znajdują jeszcze jakieś zastosowanie. W Ameryce Łacińskiej z pomocą proamerykańskim dyktatorom w krytycznych momentach ich władzy przychodzą „zielone berety" — specjalne formacje wojsk USA; w krajach arabskich tylko prawicowe ugrupowanie chrześcijańskie — Kataib — korzysta z usług najemników. Jak w październiku ub. roku poinformowała londyńska gazeta „Daily Express", werbownik L. Espinn i jego pomocnik J. Best, przyznali, iż grupa najemników, głównie Anglików, walczyła w Libanie po stronie Kataib. W związku z tym rząd brytyjski powołał nawet specjalną komisję do zbadania sprawy najemników; złożyła ona wniosek o zakaz działalności werbunkowej w Anglii.

Warto odnotować fakt, iż w Afryce nastąpił zmierzch usług najemników, kiedy stanęli oni twarzą w twarz ze zorganizowaną siłą. To, co było możliwe zaledwie kilka lat temu w Kongo, stało się dziś bardzo niebezpieczne. „W Kongo — powiedział korespondentowi „Newsweeka" kanadyjski najemnik, Jacques — wystarczyło kiedyś żeby się tylko pokazał biały najemnik, a żołnierze afrykańscy byli tak przestraszeni, że uciekali w cholernej panice. Teraz jest inaczej..."

Czyżby Angola położyła kres problemowi najemników? Jednoznaczna odpowiedź na to pytanie byłaby chyba przedwczesna. Rządy Rodezji i RPA nadal poszukują byłych wojskowych, chętnych do wojaczki za morzem. Jak podała niedawno „Sunday Times" ukazująca się w Johannesburgu, około 300 najemników z Anglii, USA, Australii, RFN, Nowej Zelandii i Kanady zwerbowano do armii rodezyjskiej w ciągu ostatnich trzech lat. Jednakże większość najemników, na których opiera się rodezyjski reżim rasistowski pochodzi z Republiki Południowej Afryki...

JERZY CZECH

★ Bliskie stosunki Polska – Indie
★ Nowe wiadomości z Pekinu
★ Pożegnanie w rządzie Forda

Zapowiedziana podróż Edwarda Gierka do Indii jest przejawem bliskich stosunków, jakie rozwijają się na linii Warszawa — New Delhi. Gościliśmy w Polsce w ostatniej dekadzie lat I. Gandhi — premiera rządu i V. Giri — prezydenta. Składał wizytę w Indiach przed czterema laty premier P. Jaroszewicz.

Indie spełniają dużą rolę w ruchu krajów niezaangażowanych, mają bardzo liczącą się pozycję w Azji i żywo zainteresowane są pokojowym rozwojem stosunków w Europie. Uwaga, jaką poświęcono przygotowaniom, a potem wynikom Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie **świadczy o aktywnej obecności Indii w polityce nie tylko azjatyckiej, ale również światowej.**

W najważniejszych problemach międzynarodowych stanowisko Indii albo zupełnie pokrywa się z naszym — wspólnoty socjalistycznej, albo jest wielce zbliżone. To nie tylko ułatwia kontakt, ale — co więcej — nadaje mu charakter przyjacielskiego dialogu.

Indie mają swoje złożone problemy, które stara się rozwikłać Indira Gandhi. Z górą półtora roku temu prawica hinduska przypuściła frontalny atak, którego celem miało być obalenie rządu. Pisaliśmy wówczas (powracając do tematu i potem), że Indira Gandhi wprowadziła w odpowiedzi na te próby stan wyjątkowy, jednocześnie jednak ogłosiła wielopunktowy program rozwiązania największych kłopotów przez niezbędne reformy. Dziś jest **powszechna opinia obserwatorów życia wewnętrznego Indii, że działania te okazały się owocne,** a sama Indira Gandhi jeszcze bardziej umocniła swój autorytet.

W ocenie minionego roku podkreślaliśmy m.in., że Indie i Pakistan dostarczyły przykładu, jak można ze stanu konfrontacji wchodzić na drogę normalizacji stosunków. Przypomnijmy, że wcześniej w wygaszeniu tego konfliktu istotną rolę spełnił Związek Radziecki, który podjął się mediacji. Ubiegłoroczna deklaracja radziecko-indyjska, rozwijająca układ o pokoju, przyjaźni i współpracy między obu krajami z 1971 roku, uzasadnia słowa spikera parlamentu Indii, że **stosunki te są „szczególne".** To także wiele mówi o miejscu Indii we współczesnym świecie.

Wizyta Edwarda Gierka będzie nie tylko pierwszą jego wizytą w Indiach, ale w ogóle w kraju azjatyckim. To tym bardziej podkreśla jej znaczenie.

Do tematu oczywiście powrócimy, a teraz — pozostając na kontynencie azjatyckim — kilka słów o ostatnich wydarzeniach w Chinach. Otóż z tamtejszych kół **rozeszła się nieoficjalna wiadomość jakoby Teng Siao-ping mianowany już został premierem.** Ponieważ jeszcze za życia Mao Tse-tunga został on odsunięty w cień a prasa chińska okrzyknęła go wrogiem publicznym — pogłoska ta spotkała się ze zrozumiałym zainteresowaniem komentatorów. Poprzedziły ją — jak zwykle — gazetki ścienne (tadżypao), wyrażające poparcie dla przewodniczącego Hua Kuo-fenga, wiceprzewodniczącego Je Cien-inga i właśnie dla Teng Siao-pinga. Nawiązując do tego faktu pekiński korespondent Tanjuga pisze że **lud zrehabilitował Tenga** i jest tylko pytanie, czy nominacja ta już miała miejsce, czy też ponowne pojawienie się jego na scenie politycznej jest jeszcze kwestią czasu.

Równocześnie w Pekinie odbywają się liczne manifestacje w rocznicę śmierci Czou En-laia oraz bez przerwy rozwija się kampania przeciwko „czteroosobowej bandzie", czyli kierownictwa radykałów.

A teraz przenieśmy się do Stanów Zjednoczonych, aby odnotować **pożegnalne orędzie Geralda Forda.** Ustępujący prezydent poświęcił w nim wiele miejsca polityce zagranicznej, stwierdzając, że pozostawia ją swemu następcy „zdrową i odważną". **Ford podkreślił wagę jego władywostockich rozmów z Leonidem Breżniewem,** które w rezultacie doprowadziły do ograniczenia programu budowy pocisków nuklearnych i głowic MIRV. Nawiązując do obecnych rozmów SALT II dodał, że nowe porozumienie „może znaleźć się w zasięgu ręki" w najbliższym czasie.

Równocześnie jednak Ford opowiedział się za kontynuowaniem trzech amerykańskich programów zbrojeń, a więc dalszą rozbudową potencjału militarnego.

W tym samym duchu wypowiadają się ostatnio różne koła w USA, a niektóre szermują hasłami rzekomego „zagrożenia" ze strony ZSRR.

Co jest celem tej kampanii? **Narzucenie NATO nowej tury zbrojeń i wywarcie nacisku na nową administrację w Waszyngtonie.**

„Siły kompleksu wojskowo-przemysłowego — pisze komentator »Prawdy« — są zdecydowane przeszkodzić rządowi USA, który 20 stycznia przystąpi do wykonywania swych obowiązków, w realizacji zapowiedzianego przez Cartera zamiaru poświęcenia głównej uwagi rozmowom z ZSRR na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych oraz poszukiwaniu sposobów rozwiązania aktualnych problemów..."

Jak widać nie brak w USA sił, które chciałyby u nowego prezydenta „zaklepać" wysokie limity militarne i nadać im dużą szybkość realizacji.

W. SŁAWSKI

SPORT

COŚ TU NIE GRA

Na zimę w tym roku narzekać nie możemy. Śniegiem sypnęła umiarkowanie, bywało przecież gorzej, mrozem nie ścina zbyt silnie. Są warunki do uprawiania wszelkich sportów zimowych, ale widać nie dla wszystkich, bo co która ekipa wyjedzie na jakieś zawody, to furt tylko słychać o tym, że jest niedotrenowana. W wyszukiwaniu powodów do usprawiedliwień jeden wszakże argument odpadnie, że nie było śniegu i mrozu.

Toczy się więc życie sportowe w sposób umiarkowany i powiedziałabym, że trochę pozorny. Irena Szewińska i Bronisław Malinowski występują na zawodach aż w dalekiej Australii, gdzie teraz akurat jest lato. Wojciech Fibak zbiera laury na turniejach w Stanach Zjednoczonych. Inni odpoczywają lub szykują się do zagranicznych wojaży. Jacek Gmoch właśnie wrócił z takowych i zapowiedział, że ostro weźmie się do naszej kadry piłkarskiej. Piłkarze trenują, bo do wiosennej rundy już nie tak daleko. A w Krakowie odbyły się derby na śniegu w piłkę nożną. Zresztą, jak dobrze pójdzie, to cała liga grać będzie na śniegu. Tylko w halach życie sportowe toczy się jak zawsze zimą. Grają siatkarze, koszykarze, piłkarze ręczni. Trwają rozgrywki ligi hokejowej.

Zimą jednakże chcielibyśmy, żeby moc sensacji dostarczyli nam łyżwiarze, narciarze, skoczkowie, biathloniści. Ci ostatni owszem dostarczyli nam sensacji, ale są to sensacje innej natury. W Zakopanem — jak doniosła prasa codzienna — odbyło się posiedzenie wyjazdowe Polskiego Związku Pięcioboju Nowoczesnego i Biathlonu, na którym nie tyle zastanawiano się, co zrobić, aby w sportach zimowych było lepiej, ile nad tym, co zrobić z tymi, co spirytus i wódkę szmuglowali do Finlandii. I tak za „wykroczenia celno-dewizowe" — jak to się urzędowo nazywa — czyli za przemyt usunięto z kadry narodowej na dwa lata Stanisława Trebunię, a na okres jednego roku: Andrzeja Rapacza, Ludwika Ziębę, Wojciecha Truchana, Leopolda Latawca, Stanisława Obrochtę, Józefa Michnika, Ryszarda Ponikwię, Józefa Nędzę i Krzysztofa Murańkę. Zabroniono im też przez rok czasu wyjeżdżać za granicę w celach sportowych. Jeśli chcą nadal zajmować się przemytem alkoholu, to już tylko na własną rękę.

Okazało się jednak, że nie tylko biathloniści przemycali alkohol za granicę. Tym wątpliwej jakości procederem zajmował się również olimpijski medalista Kazimierz Lipień i nie tylko on. Pisałam już o tym, że wożenie za granicę różnych rzeczy po to, aby je tam sprzedać i kupić inne, które opłaca się przywieźć do kraju, aby się wyjazd opłacił jest zwyczajem nagminnym i powszechnie praktykowanym. Sportowcy nie tylko w ubiegłym roku wozili za granicę alkohol. Prawdopodobnie nie raz im go odbierano i nikt z tego nie robił problemu. Normalka. Tak robią wszyscy, albo prawie wszyscy, a ci, którzy tak nie robią — to w przekonaniu różnych cwaniaków po prostu frajerzy. Skąd więc nagle taki rwetes i moralny kac? A stąd — po prostu — że o przemycie napisała skandynawska prasa i co więcej opublikowała zdjęcia naszych bohaterów. Sprawa stała się głośna. Dopiero po tej sprawie władze sportowe wydały sportowcom zakaz wywożenia za granicę alkoholu bez względu na to, do jakiego kraju udaje się sportowa ekipa, i jakie w tym kraju obowiązują przepisy celne.

Sytuacja w sporcie powoli dojrzewa do uważnej i szczegółowej analizy. Coraz więcej napływa sygnałów wskazujących, że w tej dziedzinie życia społecznego nie dzieje się najlepiej. Wspomniałam kiedyś o Marianie Szarmachu (brat Andrzeja Szarmacha), piłkarzu „Stomilu" z Olsztyna, który kopnął w twarz bramkarza warszawskiej „Polonii". Gwoli sprawiedliwości muszę poinformować Czytelników, że „Głos Pracy" piórem Janusza Cieślińskiego podjął się próby wyświetlenia całego zajścia. Zdaniem autora artykułu z „Głosu Pracy" Marian Szarmach nie kopnął celowo i rozmyślnie bramkarza „Polonii". Autor cytuje oświadczenie sędziego liniowego i lekarza, z których wynika, że był to przypadek. Z artykułu tego wynika, że to działacze „Polonii" wymusili niejako na arbitrze usunięcie z boiska Mariana Szarmacha. Sędzia zawodów Gerard Rumczyk po pokazaniu czerwonej kartki powiedział do ukaranego: — „Przepraszam, ale tak wyszło. Decyzji cofnąć nie mogę". A w protokole napisał, że usunął zawodnika za „celowo rozmyślne kopnięcie przeciwnika w twarz". I mimo wielu oświadczeń, jakie wpłynęły do Wydziału Wychowania i Dyscypliny PZPN w tej sprawie, wydział ten oparł się przede wszystkim na opinii sędziego. Ale na posiedzeniu Wydziału Wychowania i Dyscypliny PZPN nie było ani poszkodowanego bramkarza, ani sędziego głównego.

BOGDA MADEJ

RELACJE

RON KOVIC
BŁAGAM! WEŹCIE MNIE STĄD!

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Krew, która ciągle jeszcze wypływa z rany w moim ramieniu ścieka szeroką strugą po ochronnej kurtce — dookoła mnie kule z furią uderzają w piasek. Próbuję poruszyć nogami, ale nie czuję ich zupełnie.

— Weźcie mnie stąd, weźcie, błagam, pomóżcie mi! — bełkoczę.

— Pomóżcie, pomóżcie... o, Boże! O, Chryste!

Oddycham powoli, z ogromnym wysiłkiem. Muszę stąd uciec, muszę w jakiś sposób się stąd wydostać. Na lewo ode mnie ktoś krzyczy, ktoś wrzeszczy wniebogłosy nakazując mi wstać. Słyszę te wrzaski i w dalszym ciągu leżę bezwładnie na piasku.

— Gdzie jest sanitariusz — zachłystuję się. — Dlaczego nie ma sanitariusza?

Słyszę głośny trzask i ten ktoś zaczyna szlochać. — Boże! Odstrzelili mi palec! Uciekajmy, sierżancie! Wiejmy stąd!

— Nie mogę się ruszyć — dyszę. — Nie mogę poruszać nogami. Nie czuję moich nóg!

Widzę, jak pochylony biegnie w stronę linii drzew.

— Co z wami, sierżancie? — Teraz krzyczy do mnie ktoś inny i próbuję odwrócić się w jego stronę. Znów słyszę tępe uderzenie kuli i łkanie chłopca: — O, Jezu, Jezu Chryste!

Znów słyszę z tyłu tupot — ktoś inny biegnie w moim kierunku próbując mnie uratować. — Uciekaj stąd! — wyję. — Uciekaj stąd, do ciężkiej cholery!

Wysoki, czarny mężczyzna z długimi, kościstymi ramionami i olbrzymimi dłońmi podnosi mnie z piasku i zarzuca sobie na ramię; w tym momencie kule zaczynają pękać nad naszymi głowami jak wiązki sztucznych ogni. Pękają i trzeszczą nieustannie podczas gdy niebo nade mną wiruje z szybkością cyklonu. — Sukinsyny! Sukinsyny! — wrzeszczy czarny.

Kule uderzają w piasek, niebo i słońce zaglądają mi w twarz, a moje ciało opuściło mnie — jest teraz poskręcaną, dyndającą bezsilnie kukłą, wleczoną i przetaczaną po piasku w górę i w dół, przeklinającą i dyszącą zdławionym szeptem: — Cholerne, przeklęte sukinsyny!

Docieramy wreszcie do małego, piaszczystego zagłębienia — ciało od pasa w dół mam dziwacznie poskręcane i zupełnie martwe. Czarny mężczyzna wybiega z zagłębienia bez jednego słowa. Nie obchodzi mnie to. Mogę myśleć tylko o jednym, umiem myśleć tylko o jednym — o życiu, które tak bardzo chcę zachować. Wstrzymano atak. Wynoszą mnie teraz z zagłębienia — dwóch, trzech, czterech żołnierzy szybko przywiązuje mnie do noszy. Moje nogi dyndają bezwładnie w powietrzu, dopóki któryś z sanitariuszy nie dostrzega, że straciłem w nich władzę.

Ciągle jeszcze oddycham bardzo ostrożnie, za wszelką cenę próbując się uspokoić, zdusić ogarniający mnie strach i panikę. Chcę żyć. Jak oszalały powtarzam w myśli: — spokojnie, spokojnie, spokojnie — kiedy sanitariusze zapinają mi paski na nogach i wsuwają nosze z moim poranionym, bezwładnym ciałem do traktora — amfibii załadowanego po brzegi rannymi. Stalowe drzwi pojazdu zamykają się i rozpoczynamy drogę powrotną przez północny brzeg, przez rzekę, do głównego obozu batalionu.

Wokół mnie krzyczą i jęczą ranni.

— O, Boże, weźcie mnie stąd! Boże, pomocy! — wyją.

Jezu, są teraz jak małe dzieci — nie jak żołnierze Piechoty Morskiej, nie jak dzielni wojacy z plakatów, nie jak ci dumni ze szkoły oficerskiej — to wszystko dzieje się teraz naprawdę.

— Mamo! — krzyczy człowiek bez twarzy.

— Chryste! Nie chcę umierać! — szlocha młody chłopak obydwiema rękami przytrzymując wypływające z brzucha wnętrzności.

Amfibia kołysząc się łagodnie powoli płynie przez rzekę. Nie możemy być teraz dzielni; nie ma już ku temu żadnego powodu. Dzielność nie znaczy już nic. Lgniemy rozpaczliwie do siebie, do otaczającego nas świata, do wspomnień, do myśli i marzeń. Oddycham powoli resztką sił broniąc się przed snem.

Stalowe drzwi amfibii otwierają się wreszcie. Widzę twarze. To, zdaje się, sanitariusze. Są też żołnierze. Patrzą na nas w milczeniu, z ciekawością. Czuję powietrze, świeże powietrze. Wdycham je i smakuję. Wyciągają mnie z wnętrza amfibii, przenoszą ponad zakrwawionymi ciałami, wyłuskują z pełnych bólu okrzyków. Patrzę na czarną, wirującą plamę śmigieł helikoptera — lecimy nad obozem batalionu. Nie będę się już bić w tej wojnie i będę żył. Oddycham ostrożnie. Jestem wypełniony jedną myślą, która opanowuje mnie bez reszty — muszę żyć i muszę się stąd wydostać.

Wpychają mi w ramiona igły i szklane rurki połączone gumowymi przewodami. Teraz układają nas na piętrowych noszach ambulansu i z każdą mijającą godziną coraz bardziej zaczynam wierzyć, że będę żył. Uświadamiając sobie to coraz wyraźniej patrzę na ciała poukładane na otaczających mnie zewsząd półkach.

Nie wiem dokąd pędzi wiozący mnie ambulans. Niedaleko mnie leży mężczyzna bez nóg — wyje z bólu, by za chwilę kwilić jak małe dziecko. Pieńki, które niedawno były częścią jego nóg spływają krwią. Półprzytomny i oszołomiony wymachuje bezwładnie ramionami. Nie mogę na niego patrzeć, nie mogę słuchać jego straszliwych jęków. W pewnej chwili wydaje mi się, że dłużej tego nie wytrzymam. Muszę stracić przytomność, żeby nie oszaleć. Widziałem dzisiaj zbyt wiele, myślę z rozpaczą, ale trzymam się w garści ze świstem wciągając w płuca powietrze. Wreszcie zaczynam krzyczeć i przeklinać.

— Moja rana jest groźniejsza od twojej! — wrzeszczę. — Masz szczęście! — drę się wniebogłosy patrząc mu prosto w twarz. — Nie czuję nic od pasa w dół! Ty przynajmniej zachowałeś część nóg. Zamknij się, krety-

tynie! — wrzeszczę bez opamiętania. — Zamknij się, ty zasrany smarkaczu!

Ale on ciągle wymachuje dziko ramionami i podnosi zakrwawione kikuty aż pod dach ambulansu.

Po długiej podróży docieramy wreszcie do miejsca, w którym operuje się rannych. Wewnątrz mnie wybucha ogromna radość. Udało mi się dotrzeć tak daleko. Nie poddałem się i dobrnąłem jakoś do szpitala, w którym zoperują mnie i powiedzą, dlaczego nie czuję nic od pasa w dół. Teraz wiem już na pewno, że przetrwam. Nie dzięki jakiemuś bogowi czy religii, ale dlatego, że chciałem przetrwać, chciałem żyć.

Wyciągają mnie z ambulansu i przenoszą do jasno oświetlonego pokoju.

— **Wasze nazwisko?** — krzyczy ktoś nade mną.

— Cccco? — pytam oszołomiony.

— **Podajcie wasze nazwisko** — powtarza głos.

— K-k-kovic — wyjękuję.

— **Nie!** — ucina głos. — **Podajcie nazwisko, stopień, numer specjalności, datę urodzenia, imię ojca i matki.**

— Kovic. Sierżant. Dwa zero trzy zero dwa sześć jeden, mm, kiedy będę...

— **Data urodzenia!** — krzyczy głos.

— Czwartego lipca tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć. Urodziłem się Czwartego Lipca. Nie czuję nic...

— **Wyznanie?**

— Katolik — odpowiadam.

— **Macierzysta jednostka?**

— Co się tu dzieje? Kiedy zaczniecie mnie operować? — protestuję słabo.

— **Operację przeprowadzą chirurdzy** — odpowiada głos. — **Nie martwcie się** — dodaje pewnym siebie tonem. — **Są teraz zajęci, bo przywieziono bardzo wielu rannych, ale wkrótce zajmą się i wami.**

Widzę go wreszcie. Stoi przede mną prawie na baczność z długim notatnikiem w ręku i pospiesznie zapisuje moje odpowiedzi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego czekam tak długo na operację. Powinni przecież zoperować mnie jak najszybciej — wiem, że jest ze mną bardzo źle. Człowiek z notatnikiem wychodzi z pokoju, obiecując, że za chwilę przyśle do mnie księdza.

Zostaję sam. Leżę, patrzę na białe ściany i powoli, ze świstem wciągam w płuca powietrze. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, chcę przetrwać, chcę żyć.

— Kiedy mnie zoperują? — pytam.

— **Nie wiem** — kręci głową. — **Chirurdzy są teraz bardzo zajęci. Przywieziono wielu rannych. Trzeba przetrwać — tutaj nie ma czasu na nic więcej. Próbuj przetrwać, synu, a ja będę cię wspomagał modlitwą.**

Zaraz potem przewożą mnie do długiej sali, w której jest bardzo wielu doktorów i pielęgniarek. Kręcą się żwawo wokół mnie. Pracują szybko i sprawnie.

— **Będzie pan zdrowy** — mówi spokojnie jedna z sióstr.

— **Proszę głęboko oddychać!** — doktor zakłada mi na twarz maskę.

— Będziecie mnię operować? — pytam.

— **Tak. Proszę głęboko oddychać.**

Pogrążony w ciemności maski modlę się całą moją istotą, żeby dane mi było przeżyć tę operację i znów ujrzeć światło dnia. Bardzo chcę żyć — czepiam się tej myśli jak szaleniec. I wtedy, na chwilę przed zaśnięciem, otoczony czarną, wirującą wokół mojej głowy otchłanią i omotany drętwym kokonem zbliżającego się snu zaczynam walczyć tak, jak jeszcze nie walczyłem nigdy w życiu.

...Budzą mnie wrzaski rannych. Przeżyłem operację. Przez głowę prześlizguje się myśl, że moja rana jest karą za zabicie kaprala i dzieci, że teraz rachunek został wyrównany i że od tej chwili wszystko będzie w porządku. Leżę w pokoju wypełnionym okaleczonymi ciałami. Jestem przywiązany do dziwnego, okrągłego łóżka. W nozdrzach mam dwie szklane rurki, a z boku dochodzi do mnie sapanie i szczęk pracującej maszyny. W dalszym ciągu nie czuję nic od pasa w dół, ale wiem, że żyję. W piersiach tkwi mi tępe ostrze przeraźliwego bólu. Moje ciało jest zimne — nigdy jeszcze nie było tak słabe, tak bezsilne, tak zmęczone, zagubione i pogrążone w męce. Ledwo oddycham. Rozglądam się dookoła i poprzez mgłę odrętwienia widzę poruszających się ludzi. Poznaję człowieka z ambulansu. Wrzeszczy jeszcze głośniej, jeszcze rozpaczliwiej wymachuje zakrwawionymi kikutami i błaga lekarzy o morfinę.

Naprzeciwko mnie leży koreańczyk, cywil, który w ogóle nie brał udziału w wojnie. Podobno szedł po gazetę do kiosku i nastąpił na ukrytą minę. Wybuch oderwał mu obydwie nogi i ramię. Pozostał po nim tylko ten rozdygotany kawał mięsa, wymachują-

Ksiądz pojawia się nade mną zupełnie niespodziewanie. Pochyla się i koniuszkami palców delikatnie i powoli masuje mi skórę na czole.

— **Jak się czujesz?** — pyta.

— Dobrze, Ojcze. — Jego twarz jest bardzo zmęczona, ale nie ma w niej strachu. Jest bardzo spokojny, tak jakby powtarzał ten sam rytuał po raz nie wiadomo który.

— **Przyszedłem ofiarować ci ostatnie namaszczenie, synu.**

— Jestem gotowy, Ojcze — odpowiadam.

Szepcząc słowa modlitwy naciera olejkiem moją twarz i delikatnie przyciska mi do ust krucyfiks.

— **Będę się za ciebie modlił** — mówi, prostując się.

cy bezładnie jednym ramieniem i jęczący jak dogorywające zwierzę, które wie, że mknie ku niemu śmierć. Koreańczyk wrzeszczy jak potępieniec, a ja doczekuję się wreszcie zastrzyku z morfiny. O, morfina przynosi tak wielką ulgę! Pogrąża mnie w bezkresną ciemność i spokój.

...Rozbłyskują światła. Widzę, że na sąsiednim łóżku leży czarny pilot. Nie odzywa się ani słowem. W milczeniu, w zupełnym bezruchu patrzy w sufit. Podobno przeleżał tak cały dzień. Teraz jednak dzieje się tam coś niedobrego, coś musiało się stać, bo pielęgniarka woła o maszynę, a sanitariusz klęczy na nieruchomym, czarnym ciele przyciskając kolanami klatkę piersiową i rytmicznie uderzając w nią pięściami.

— **Serce przestało bić!** — krzyczy pielęgniarka.

Sanitariusz uderza, gniecie i uderza — jego zaciśnięta pięść spada na lewą pierś pilota jak młot.

— **Maszynę! Prędko!** — wrzeszczy co sił w płucach.

Pielęgniarka ciągnie za sobą wózek z aparatem. Próbują zasłonić łóżko parawanem, ale płótno raz po raz opada i ranni, którzy mogą patrzeć i myśleć, widzą co się dzieje z leżącym niedaleko mnie człowiekiem. Doktor podaje sanitariuszowi strzykawkę — śmieją się obydwaj, kiedy ten uderzając jak nożem z rozmachem wbija igłę w pierś pilota. Mówią coś o Zielonej Zatoce i Pakowaczach. Sanitariusz bez ustanku uderza pięścią w czarną pierś — wreszcie ciało pilota zaczyna wzdymać się, pęcznieć i przestaje przypominać ciało, twarz puchnie jak balon, a z kącików ust ściekają strużki śliny. Pilot patrzy w sufit i milczy.

— **Maszynę! Podłączcie maszynę!** — krzyczy doktor zajmując miejsce sanitariusza. Chwyta długą ssawkę przymocowaną do aparatu i przykłada ją ostrożnie do piersi pilota. Czarne ciało podskakuje na łóżku wyginając się w łuk pod wpływem elektrycznego wstrząsu — prostuje się tak i wygina kilka razy puchnąc przy tym coraz bardziej i bardziej.

— **Stawiam na Pakowaczy** — sanitariusz ociera pot z czoła.

— **Zielona Zatoka nie ma szans** — śmieje się doktor.

Na twarzy pielęgniarki również pojawia się uśmiech. — **Nie znam się na footbalu** — chichocze.

Zarzucają prześcieradło na głowę pilota, przesuwają ciało na nosze i wywożą je z pokoju.

Oprócz wrzasków Koreańczyka słyszę teraz piskliwy lament dziecka rozlegający się gdzieś w głębi sali. Siostra mówi, że zostało poparzone napalmem zrzuconym przez nasze samoloty. Nie widzę go, ale wrzeszczy bez przerwy tak jak Koreańczyk i beznogi żołnierz z ambulansu.

— **Spokój, do jasnej cholery!** — krzyczy sanitariusz.

Nagle pojawia się generał. Idzie środkiem sali zatrzymując się na chwilę przed każdym łóżkiem. Maszeruje wzdłuż tego długiego szeregu stając na baczność przed każdym rannym. Kilka kroków za nim idzie chudy szeregowiec z polaroidem w ręku. Generał ubrany jest w nienagannie skrojony, starannie zaprasowany mundur i do połysku wyczyszczone buty.

— **Dzień dobry, żołnierzu** — mówi. — **W imieniu Prezydenta Stanów Zjednoczonych i Dowództwa Korpusu Amerykańskiej Piechoty Morskiej mam zaszczyt udekorować was Medalem Purpurowego Serca oraz** — generał nabiera tchu podczas gdy chudy szeregowiec błyska z boku polaroidem robiąc rannemu zdjęcie — **oraz wręczam wam fotografię, którą możecie posłać rodzicom.**

Sprężystym krokiem podchodzi do mojego łóżka i powtarza dokładnie to samo co powiedział przed chwilą. Otrzymuję Medal Purpurowego Serca i w tym momencie chudy szeregowiec wyskakuje zza pleców generała naciskając przycisk polaroidu.

— **A oto** — dodaje generał — **fotografia, którą możecie posłać swoim rodzicom.**

Wykonuje potem energiczny zwrot i maszeruje do następnego łóżka, na którym dziewiętnastoletni chłopak moczy pościel uryną bełkocząc coś i płacząc jak małe dziecko.

— **W imieniu Prezydenta Stanów Zjednoczonych** — rozpoczyna generał. Bełkot chłopca zamienia się we wrzask, jego ręce szarpią zakrwawione zwoje bandaża. — ...**dekoruję was Medalem Purpurowego Serca. A oto** — kończy pospiesznie oficer wręczając odznaczenie dziewiętnastoletniemu warzywu „...**oto zdjęcie** — generał zająkuje się rzucając okiem na fotografię, którą chudzielec wyciągnął przed chwilą z aparatu. Chłopiec nie przestaje sikać w prześcieradła — **A oto zdjęcie, które możecie posłać...** Generał nie kończy zdania. Przez długi czas patrzy na dziewiętnastolatka. Potem oddaje zdjęcie chudzielcowi i wykonując energiczny w lewo zwrot maszeruje do następnego łóżka.

Tłumaczył:
JERZY TWORKIEWICZ

PANNA B.

W 1972 roku pierwsi ludzie lądują na Księżycu. W tym samym roku w położonej 250 km od Paryża małej wsi skromny urzędnik ubezpieczeń popełnia samobójstwo. Topi się w rzece Flanne. Motywy samobójstwa są z początku niejasne. Później okazuje się, że urzędnik odwiedzał potajemnie pannę B., kobietę o bliżej nieokreślonym wieku i przedziwnym życiorysie. Słowem absolutnie tajemniczą postać, która intrygowała coraz bardziej okolicznych mieszkańców. Okazało się bowiem, że urzędnik ubezpieczeń nie był jedyną ofiarą panny B. Ginęli po kolei wszyscy, którzy ją odwiedzali. Całą sprawą interesuje się również powieściopisarz Maurice Pons, który mieszka w tej okolicy. Zagadka tajemniczej panny B. frapuje go coraz bardziej i na swoją rękę stara się wyjaśnić przedziwne związki łączące kobietę i kolejnych samobójców.

Nie zdradzimy pointy tej fantastycznej powieści umieszczonej przecież w czasach tak bardzo nam współczesnych. Możemy jedynie dla większego zainteresowania Czytelników przytoczyć wierszyk, który służy jako motto w powieści Maurice'a Ponsa.

„Skoro „la mort" to śmierć,
A „l'amour" to kochanie,
Przeto śmierć od miłości
Wiedzie swe nazwanie."

B.M.

Maurice Pons — „Panna B", przełożyła: I. Dewitz, PIW, Warszawa — 1976, str. 186, cena: zł 20,—

DIABEŁ PRZEGRANY

Jerzy Rawicz, autor wielu książek dotyczących okresu dwudziestolecia międzywojennego, m.in. „Generał Zagórski zaginął", „Doktor Łokietek i Tata Tasiemka", „Kariera Szambelana", „Do pierwszej krwi" — w swojej najnowszej publikacji „Diabeł przegrany" przedstawia losy pułkownika Wacława Kostka-Biernackiego, postaci, z którą — jak pisze Jerzy Rawicz — „opinia wiązała wszystko co było złe w polityce wewnętrznej trzynastolecia rządów obozu Piłsudskiego". Przypomnijmy w skrócie karierę Wacława Biernackiego — bojowiec PPS z 1905 r., później szef żandarmerii legionowej, oficer sztabowy, komendant twierdzy brzeskiej, wojewoda poleski, któremu administracyjnie podlegał obóz w Berezie, wreszcie — generalny komisarz cywilny przy naczelnym wodzu w randze ministra, bo tak brzmiał akt nominacyjny dla Biernackiego, podpisany przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 września 1939 r. Jerzy Rawicz przedstawia losy Kostka-Biernackiego od najmłodszych lat, aż po jego proces w Polsce Ludowej. Spokojnie i rzeczowo relacjonuje fakty i wydarzenia, które rysują nam wyraziście sylwetkę Biernackiego, zawodowego wojskowego, czynnie angażującego się w życie polityczne, człowieka, z którym na trwałe związały się pojęcia: „Brześć" i „Bereza", a przy tym wszystkim także niewyżytego autora. To Wacław Biernacki był autorem książki „Diabeł zwycięzca", w której m.in. pisał: „Normalny człowiek zawsze tęskni za mordem, choćby w najgorszym razie tylko za mordem owadów. Jest to najstarsza i najszacowniejsza tęsknota ludzka". Nie bez powodu Jerzy Rawicz nadał swojej książce właśnie tytuł „Diabeł przegrany".

Jerzy Rawicz „Diabeł przegrany", Czytelnik, W-wa 1976, str. 323, cena zł 42.

POD OBCYMI SŁOŃCAMI

W „Złotej serii" literatury popularnonaukowej, której patronuje Wiedza Powszechna, ukazała się ostatnio książka Waltera R. Fuchsa „Pod obcymi słońcami". Wystarczy chyba przytoczyć tytuły choćby kilku tylko rozdziałów: „Czy istnieje życie w układzie Drogi Mlecznej?", „Czy warto prowadzić „nasłuch kosmiczny?", „Jak poznać abecadło łączności kosmicznej?", „Czy można dolecieć pojazdem kosmicznym do Oriona?", aby miłośnicy literatury „science fiction" od razu domyśli się, jakim problemom poświęcona jest publikacja W.R. Fuchsa. Nie wdając się w merytoryczną ocenę książki „Pod obcymi słońcami", przytoczymy tylko krótki fragment ze wstępu, zatytułowanego „Kosmiczna godzina bajek": „Gotthard Günther nazwał kiedyś literaturę „science fiction „amerykańskimi bajkami"; Erich von Däniken pokazał, że bajki te można opowiadać w różnych językach. Należy jednak pamiętać, że „kosmiczne bajki" nie wypełniają całej literatury „science fiction". W naszych rozważaniach postaramy się przedstawić przede wszystkim jej wartościową część, związaną ściśle z rzetelną wiedzą i kładącą większy nacisk na słowo „science", niż na słowo „fiction".

Spośród problemów przedstawionych w książce W.R. Fuchsa niewątpliwie najbardziej zainteresują czytelników te, które poświęcone są sposobom nawiązywania kontaktów z innymi cywilizacjami i konstruowaniu sztucznego języka, dzięki któremu ludzie mogliby nawiązać rozmowy z „kosmicznymi sąsiadami" Sceptykom, którzy nie wierzą w możliwości istnienia innej, niż ziemska cywilizacji, książki Fuchsa polecać więc nie będziemy. Natomiast wszystkim, którzy bakcyl „science fiction" połknęli donosimy, że książka „Pod obcymi słońcami" ukazała się w nakładzie 20-tysięcznym. Trzeba więc szybko udać się do księgarni.

Walter R. Fuchs „Pod obcymi słońcami", tłumaczył: M. Kubiak, Wiedza Powszechna, W-wa 1976, str. 209, cena zł 40.

OD LINCOLNA DO NIXONA

„Iskry" wydały ostatnio zbiór szkiców i artykułów prof. Jerzego J. Wiatra, pisanych i publikowanych w ciągu kilkunastu lat, dokładniej od roku 1962 do roku 1974, których wspólnym tematem są Stany Zjednoczone. Autor poświęcił już problematyce społeczno-politycznej Stanów Zjednoczonych kilka książek i wiele artykułów. Najnowsza publikacja nosząca tytuł „Od Lincolna do Nixona" jest jeszcze jednym efektem naukowych zainteresowań prof. Wiatra i jego siedmiu podróży po Stanach Zjednoczonych, jest efektem jego spotkań i rozmów z wieloma ludźmi ze środowiska intelektualnego i studenckiego. Ten swoisty dokument pokazuje obraz współczesnych Stanów Zjednoczonych, ich polityki zagranicznej, ale przede wszystkim stosunków wewnętrznych, odsłania problemy na co dzień nurtujące społeczeństwo amerykańskie. Książka prof. Jerzego J. Wiatra kończy się na słynnej aferze Watergate i dymisji Nixona. Mimo, że sporo się już od tego czasu wydarzyło, pomoże nam jednak lepiej zrozumieć i to, co będzie się działo pod rządami nowego prezydenta.

Jerzy J. Wiatr „Od Lincolna do Nixona", Iskry, W-wa 1976, str. 238, cena zł 30.

LAMUS CIEKAWOSTEK

O swojej pasji Marian Kozłowski: autor „Lamusa ciekawostek" tak pisze: „Hobby autora tego zbioru to kolekcjonowanie ciekawostek, dziwactw, osobliwości. Nie doczekało się ono jeszcze oficjalnej nazwy, choć korzystając z praktyki innych dziedzin, można by je określić jako kuriozystykę". Marian Kozłowski publikuje zbierane przez siebie ciekawostki w „Expressie Wieczornym" w rubryce: „Kto chce — niech czyta", która to rubryka kontynuuje dzieło — jak sam pisze — zainicjowane przez wielkiego mistrza kuriozystyki nieodżałowanego Władysława Zambrzyckiego.

„Lamus ciekawostek" to w miarę uporządkowany zbiór przeróżnych kuriozów i anegdot, ciekawy, a co ważniejsze, często zaskakujący w lekturze. W „Lamusie" można wyczytać np. że pierwsi bokserzy walczyli w pozycji siedzącej, kij golfowy składa się z części noszących nazwy: głowa, podeszwa, pięta, palec, szyjka, twarz, a długa szyja żyrafy zawiera mniej kręgów niż szyje ptaków — wróbel ma w szyi czternaście kręgów, łabędź — dwadzieścia trzy, a żyrafa tylko siedem. Oczywiście można by długo jeszcze przytaczać różne ciekawostki, o których opowiada Marian Kozłowski, ale zainteresowanych lepiej przecież odesłać do źródła, czyli „Lamusa ciekawostek", dowcipnie zilustrowanego przez Szymona Kobylińskiego.

Marian Kozłowski „Lamus ciekawostek", KAW, W-wa, str. 270, cena zł 30.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

ŁAMANIE GŁOWY

Rozrywki umysłowe są z pewnością rzeczą pożyteczną i wcale nie uważam, że np. krzyżówki są zajęciem dla półgłówków, jak kiedyś napisał Jerzy Urban. Krzyżówki mogą być nawet zajęciem bardzo kształcącym, pod warunkiem oczywiście, że są opracowane solidnie.

Ale na przykład czytam hasełka w krzyżówce i mam wątpliwości. Oto hasło: **„styl w literaturze i sztuce zapoczątkowany we Włoszech (XVI wiek)."** Zarówno okres jak i ilość liter wskazuje na barok, ale... Przecież barok nie był stylem, lecz kierunkiem. Między tymi dwoma pojęciami istnieje subtelna, ale istotna różnica.

Podobna nieścisłość w innym haśle: **„utwór literacki, wyszydzający wady ludzkie".** Chodzi o satyrę, ale przecież jakże ubożuchna byłaby satyra, gdyby tylko o to w niej chodziło. Satyra ośmiesza i piętnuje nie tylko przywary ludzkie, ale zjawiska, stosunki, obyczaje, postawy, orientacje polityczne, sposoby zachowań, instytucje... Wiem, że krzyżówka to nie historia literatury, ale jeśli już ma trochę kształcić, to niech nie spłyca i nie miesza pojęć.

Natomiast o prawdziwe łamanie głowy przyprawiła mnie notatka z **„Głosu Robotniczego".** Tytuł jej brzmi: **„Dekoracja zasłużonych kombatantów".** Czytam więc i dowiaduję się, że w uroczystości na Widzewie wziął udział przewodniczący DRN **(imię i nazwisko tłustym drukiem)** i wiceprzewodniczący **(imię i nazwisko tłustym drukiem).** Dowiaduję się, że sprawozdanie złożył wiceprezes **(imię i nazwisko tłustym drukiem),** a następnie władzom dzielnicowym podziękował prezes **(imię i nazwisko tłustym drukiem).**

Czytam więc te nazwiska i nie mogę się doczytać związku między tytułem **(„Dekoracja zasłużonych kombatantów")** a treścią publikacji. I wreszcie — jest! Ostatni akapit i ostatnie zdanie brzmi dosłownie tak: **Dwóch zasłużonych kombatantów II wojny światowej udekorowano Medalem Zwycięstwa i Wolności".** Koniec cytatu i koniec artykułu. Nazwisk „zasłużonych kombatantów" — oczywiście — nie podano.

Nie lubię nadużywać wielkich słów, ale jest to skandal i kpina z czytelnika, z odznaczonych i — pośrednio — z tych wszystkich ludzi wymienionych w publikacji tłustym drukiem. Nikt się tu nie może tłumaczyć, że „zabrakło miejsca". Na dwa najważniejsze nazwiska? Przecież gdyby nie oni i nie tacy jak oni — przewodniczący nie byłby dziś przewodniczącym, prezes prezesem i dziennikarz nie byłby dziś dziennikarzem.

Zacytowana tu publikacja nie jest niczym oryginalnym w naszej prasie, nieraz już podobne dziwne informacje zdarzało mi się czytać. Łamię więc sobie głowę, dlaczego tak się dzieje?

Powodów do łamania głowy jest więcej. Oto czytam w **„Życiu Literackim"** artykuł Romana Gorzelskiego pt. **„Zemsta kontrolerki"** i nie mogę zrozumieć jak to się dzieje, że Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej w Łodzi ma ochotę kompromitować się taką „kompetentną" kontrolą, jaka miała miejsce w Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej. Zanim Gorzelski rzecz całą opisał, w Łodzi było głośno o kontrolerce, która badając działalność instytucji estradowej nie wie, jaka jest różnica między scenografią a scenariuszem. Z tego, co pisze Gorzelski, wynika, że po prostu ktoś na kimś postanowił się odegrać i do tego celu użyto państwowej instytucji o poważnie brzmiącej nazwie. Nawiasem mówiąc, jeśli kontrola wykazuje w instytucji ponad pół miliona złotych strat, a dokumenty wykazują około czterystu tysięcy złotych zysku, to powinien wkroczyć w sprawę prokurator. W takiej bowiem sytuacji albo dyrektor jest malwersantem, albo kontroler fałszerzem. Ale „kto jest kto" — nie wiadomo.

Tak, tak — we współczesnym świecie nawet gazety nie można sobie poczytać bez łamania głowy.

WIDOK

LEWYM OKIEM

IDYLLA MALEŃKA TAKA...

Obywatel Styś, kierownik dwuosobowej sekcji w pewnym referacie niedużego oddziału w dużym wydziale pewnego urzędu, postanowił się pewnego dnia odrodzić. Może stało się to pod wpływem dwóch pism satyrycznych, wielu dzienników i tygodników oraz programów rozrywkowych PR i TV, chłoszczących bezduszność i tępotę biurokratów, może zadziałał wstrząsowo jakiś silny bodziec emocjonalny, a może Ob. Stysiowi przyszło nagle do głowy, że oprócz miesięcznej zapłaty za pracę przyjemnie byłoby mieć z tej pracy także trochę satysfakcji w postaci uznania wdzięcznych klientów. Myśli takie nie każdemu przychodzą do głowy i nie w każdy piątek, ale chyba czasem gdzieś komuś przychodzą. Krótko mówiąc — Ob. Styś postanowił zostać urzędnikiem idealnym, i to zarówno w rozumieniu regulaminów i instrukcji, jak i szeroko pojętej służby społecznej.

Przede wszystkim postanowił zaczynać pracę co dzień punktualnie o godzinie siódmej trzydzieści, zgodnie z zarządzeniem dyrekcji, i nie spóźnić się nigdy ani o minutę. Niestety, już pierwszego dnia spóźnił się pół godziny bo pewien motorowy, który miał mieć służbę, nie przyszedł do pracy a jego rezerwowy zamiennik nie chciał objąć wozu uszkodzonego i nie naprawionego od dwóch dni. Wóz zaś nie był naprawiony dlatego, że mechanik zamiast czterech wozów obsłużył trzy i zabrakło mu czasu, a zabrakło dlatego, że musiał odebrać dziecko ze żłobka, gdyż żłobek zalała woda z uszkodzonego kranu, który groził awarią już od miesiąca, tylko że administracja nie miała wolnych hydraulików, z tej prostej przyczyny, że hydraulicy zatrudnieni byli przy fuchach. Trudno, oni też mają rodziny i muszą z czegoś żyć.

Więc na miasto wyjechało mniej wozów tramwajowych, a te co wyjechały, poruszały się sympatyczną gromadką, jeden za drugim. Przyczyny tego zjawiska nie udało nam się stwierdzić. W każdym razie Ob. Styś czekał na przystanku bardzo długo i nawet — jako idealny urzędnik — chciał jechać taksówką, tylko że na postoju nie było jak zwykle żadnej, a te które przyjeżdżały żądały jazdy w zupełnie innych kierunkach niż kierunek stysiowy.

Spóźniwszy się pół godziny pan Styś został zbesztany przez panienkę z kadr, która spóźniła się o dziesięć minut mniej. Zaraz zresztą został wezwany do dyrektora, który — jak się okazało — wezwał na tę samą godzinę tuzin osób, rozwiał z jedną, a reszta czekała za drzwiami, w sekretariacie. Styś swojej kolejki nie doczekał, bo dyrektor otrzymał pilny telefon i odłożył rozmowę na jutro. Więc po godzinie czekania wrócił Styś do swego biurka i zaczął studiować grubą instrukcję, zeszytą z boku drucikami. Czytanie sprawiało pewną trudność, gdyż niektóre stronice były zupełnie blade, bo powielarni nikt nie chciał sprzedać tuszu na rachunek, a bez rachunku nie wolno. Za to inne stronice były dosłownie zaczernione i nieczytelne, bo powielacz od dawna był już uszkodzony i tusz spływał nierównomiernie, jak sam chciał. Były też strony wpięte do góry nogami, ale to już subiektywna wina panienki z kancelarii, która pracuje na etacie starszego inspektora, ale jej ambicje życiowe nie pokrywają się ze stanowiskiem pracy, z czego wynikają często stany dyspepsji i roztargnienia.

Skończywszy instrukcję pan Styś zabrał się do najpilniejszych spraw. Żeby uniknąć biurokratycznej pisaniny, zaczął telefonować. Na siedem kręceń uzyskiwał średnio jedno połączenie właściwe, niestety, adresat, był zajęty lub nieobecny. Owszem, zdarzało się i tak, że podnosił słuchawkę ktoś właściwy, szkoda tylko, że obie strony nie słyszały się wzajemnie i krzyczały coraz głośniej słowa, nie mające nic wspólnego ze sprawą.

To już lepiej załatwić pisemnie. Pan Styś pilnie machając długopisem wygotował w godzinę dwadzieścia listów, bardzo pilnych. Hala maszyn, przeładowana pracą (dwie maszynistki na urlopach macierzyńskich, blokada etatów), przepisze je najpóźniej pojutrze. Dyrektor podpisze za tydzień. Goniec zaniesie na pocztę, co pozwoli mu chodzić po mieście cały dzień albo stać w kolejce po dżinsy. Poczta doręczy ekspresy za dziesięć dni, a ekspresy polecone trochę później.

Pan Styś tymczasem zaczął przyjmować interesantów. Z pretensjami przyszli: dwóch motorniczych, mechanik tramwajowy, hydraulik, trzej kierowcy taksówek, telefonistka na zwolnieniu lekarskim, kierownik urzędu pocztowego i doręczyciel. Wszyscy mieli absolutną rację.

Obywatel Styś urzędował pilnie, zapomniawszy nawet, że dziś mieli mu przywieźć meble. Na szczęście ci, co mieli przywieźć, też zapomnieli.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

WAGON NIE SZPILKA

Szukanie szpilki w stogu siana jest wprawdzie czynnością możliwą, ale bezskuteczną. Można szukać szpilki w stogu siana, ale nie ma żadnej gwarancji, że się ją znajdzie. Trzeba mieć jednak dużą wyobraźnię, aby uświadomić sobie beznadziejność takiego szukania. Wagon kolejowy jednakże w niczym szpilki nie przypomina, a okazuje się, że może zginąć jak szpilka w stogu siana. Taki przypadek zdarzył się rzeczywiście, o czym 16 grudnia 1976 roku pisał „Express Wieczorny".

Zakłady „Podhale" z Nowego Targu zamówiły za granicą maszyny, które statek przywiózł w ciągu 4 dni z Rotterdamu do Szczecina. Była to pilna przesyłka i miała szybko koleją dotrzeć do Nowego Targu. Ale nie dotarła. Nie mogąc doczekać się pilnej przesyłki, zawierającej maszyny niezbędne do wykonania zagranicznego zamówienia, „Podhale" najpierw monitowało telefonicznie w PKP w Nowym Targu, a następnie zwróciło się... o pomoc do „Expressu Wieczornego". 16 grudnia 1976 roku — jak już wspomniałem — ukazała się notatka pt. „Gdzie jest wagon nr 1844/47-51876?". Natychmiast Ministerstwo Komunikacji wysłało w teren kontrolerów. Rozpoczęły się poszukiwania.

Kilka dni temu „Express Wieczorny" poinformował, że wagon się znalazł. Znalazły się maszyny dla „Podhala". Dotarły one do Nowego Targu 20 grudnia 1976 roku, a więc w 5 dni po terminie, w którym fabryka miała rozpocząć eksportową, zamówioną przez zagranicznego kontrahenta, produkcję. Załoga „Podhala" uruchomiła te maszyny już 21 grudnia 1976 roku i przy dużym poświęceniu, mimo świąt potrafiła do końca roku nadrobić prawie 6-dniowe opóźnienie.

Historia wagonu skończyła się dobrze, można więc ją do akt odłożyć i tylko cieszyć się. Nowotarskie „Podhale" i Ministerstwo Komunikacji powinny być wdzięczne „Expressowi Wieczornemu" za pomoc. Ale to byłoby zbyt piękne, aby było prawdziwe. „Podhale" może jest i wdzięczne warszawskiej popołudniówce, ale Ministerstwo Komunikacji... zganiło gazetę, za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Okazało się bowiem, że numer wagonu podany w „Expressie Wieczornym" w ogóle nie istnieje. „Podhale" nie interweniowało na stacji PKP w Nowym Targu, bo nie ma na to... pisemnych dowodów. Przesyłka dla „Podhala" wyruszyła ze Szczecina 23 listopada 1976 roku. I w ogóle nie ma sprawy, a nieodpowiedzialni dziennikarze robią tylko zamieszanie w niepodległym państwie PKP.

Pod koniec ubiegłego roku bardzo często z gazet i telewizji można było dowiedzieć się o wielu klientach PKP, którzy przetrzymywali wagony i utrudniali tym niełatwą pracę przewoźnika w okresie tak zwanego szczytu, czyli nasilenia przewozów. Ale w tym samym czasie ówże przewoźnik wysyła 23 listopada 1976 roku wagon nr 14754404 — tym razem „Express Wieczorny" już nie pomylił się w numeracji wagonu — wagon ten dociera do Nowego Targu dopiero 20 grudnia 1976 roku. W końcu wagon nie jest szpilką a sieć PKP stogiem siana. Wagon ma swój numer, list przewozowy, dokumentację, jako że przewoźnik bierze odpowiedzialność za przewożony towar. Jak więc to jest możliwe, że przez 27 dni ginie wagon z pilną i wartościową przesyłką?

Z punktu widzenia Ministerstwa Komunikacji „Express Wieczorny" popełnił fatalny błąd, ujawnił bowiem bałagan panujący na PKP. Mało tego, dowiódł, że w Ministerstwie Komunikacji nie bardzo wiedzą, co się dzieje w ich państwie, jako że Ministerstwo Komunikacji powiadomiło warszawską gazetę o tym, że pilna przesyłka ze Szczecina do Nowego Targu wiozły nie PKP a Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej. Ktoś tu wyraźnie swoje nadrzędne władze wprowadził świadomie w błąd.

Nie zajmowałbym się sprawą zaginionego wagonu, który przez blisko miesiąc był nie wiadomo gdzie, gdyby nie ton odpowiedzi Ministerstwa Komunikacji. Zamiast bowiem rzeczowej odpowiedzi na zupełnie oczywistą sprawę, warszawska gazeta otrzymała kilka pouczeń. Wielkim szczęściem „Expressu Wieczornego" jest to, że w ogóle tę odpowiedź, nawet z pouczeniami, otrzymał. PKP stoi bowiem na stanowisku, że na jakąkolwiek krytykę nie należy odpowiadać, gdyż pasażerowie i klienci naszych ukochanych kolei powinni być szczęśliwi, że PKP chce sobie nimi zawracać głowę.

Pamiętam taką audycję, rzekomo rozrywkową, w czasie której kilku kolejarzy wymyślało z ekranu telewizyjnego widzom potencjalnym pasażerom PKP za ich nieżyczliwy stosunek do kolei, za to, że przeszkadzają kolei pracować spokojnie. Pasażer bowiem — jak to powinno być powszechnie wiadomo — ma długi szereg obowiązków, ale nie ma żadnych praw. Okazuje się, że klient również powinien być szczęśliwy, że swój ładunek otrzymał, a że po blisko miesiącu, to już nie jego sprawa.

Zawsze dziwiłem się, jak to jest możliwe, aby pociąg osobowy, mający poruszać się po liniach PKP według rozkładu jazdy, mógł wyruszać ze stacji początkowej z kilkunastominutowym opóźnieniem. Ale jestem naiwny. Z jednej z wypowiedzi telewizyjnej urzędnika PKP dowiedziałem się, że nic nie ma w tym dziwnego, bo skoro przyjedzie opóźniony, a musi być umyty i wysprzątany, to zrozumiałe, że wyruszy opóźniony. Wszystko jest takie proste. Dla PKP.

MARCIN RODAK

magazyn

MAREK NEJMAN

POCZĄTEK

— Dzień dobry...

— Tsss — żona gwałtownie wepchnęła mi mój własny szalik w usta.

— Co się stało!? — szepnąłem przerażony.

— Oni... Wyobraź sobie... Nareszcie! — głos jej się łamał, kiedy pokazywała zamknięte drzwi.

— Jesteś tego pewna!?

— Najzupełniej. Podsłuchiwałam. Daję głowę!

— Moje kochane dzieciny — załkałem ze szczęścia. — A ja już zwątpiłem...

— A nie mówiłam ci — triumfowała żona — kiedy ty zamartwiałeś się, że Krzysio skończył dziewiętnaście, a Zdzisio dwadzieścia lat: na wszystko przyjdzie czas. I to samo z myśleniem. Dziś wprawdzie zaczęli, ale za to ostro wzięli się za siebie.

— Ostro myślą, mówisz... A o czym?

— Jak zarobić dziesięć tysięcy złotych!

— A ja już oskarżałem świat — chlipnąłem — iż jest zły i niesprawiedliwy. Dziś na przykład w osiedlu jakieś zbiry obrabowały kiosk. A nasi złoci siedzą tu sobie cichuteńko, myślą i nie wadzą nikomu.

— Myślą i jak im to myślenie wyjdzie, podreperują nasz budżet — zatarła żona ręce.

— Kochane smyki, trafili w dziesiątkę z tym myśleniem!

Na drugi dzień z drżeniem przekraczałem próg własnego mieszkania.

— Tsss — szalik znów zakneblował mi usta, ledwo zdążyłem je otworzyć.

— A więc nic się nie zmieniło? — podskoczyłem radośnie

— Zmieniło się, ale na lepsze — promieniała żona.

— Jak to?

— Oni myślą coraz sprawniej. Coraz śmielej... — żonie brakło słów.

— Bo myślenie nie zna granic! — wykrzyknąłem. — Ale skąd ty wiesz, że robią postępy?

— Znów rano podsłuchiwałam — wyprężyła się dumnie żona. — Myślą już jak zarobić pięćdziesiąt tysięcy złotych!

— A to smyki! — łzy szczęścia potoczyły mi się same po policzkach. — Mądrzeją mi w oczach! Ale przecież — zreflektowałem się — nie wymyślili jeszcze, jak zarobić dziesięć tysięcy, a już głowią się nad pięćdziesięcioma?

— I słusznie. Jeśli wymyślą jak zarobić pięćdziesiąt tysięcy złotych, to sposób na dziesięć prawie sam przyjdzie. A zresztą, czy warto się rozdrabniać?

— Kto by przypuszczał — oddałem się radosnej refleksji — że jednak ludzie z nich wyrosną. I świat wcale nie jest taki zły. Jednych w nim się gładzi, drugich pod włos bierze. Nasze pociechy myślą, jak zarobić pięćdziesiąt tysięcy złotych, a w osiedlu obrabowano dziś kiosk na pięćdziesiąt tysięcy. I jest w tym wszystkim cudowna równowaga...

— Rany boskie!

— Co się stało? — spojrzałem przerażony na żonę.

— Przecież wczoraj też mówiłeś, że w osiedlu obrabowano kiosk. Na ile?

— Na dziesięć tysięcy... Rany boskie! — zawołałem. — I co teraz będzie?

— To twoja wina! Stawałeś na głowie żeby zamienić mieszkanie na większe. Że to niby lepiej, bo chłopcy będą mieli samodzielny pokój. To teraz masz! Jak byśmy mieli ich na oku, do nieszczęścia by nie doszło.

— A przez ciebie nie czytali gazet, bo im je wyrywałaś i robiłaś sobie papiloty...

— Co ma piernik...

— A ma! Wyczytaliby, że jak się już chce zrobić kiosk, to najlepiej przed pełnoletnością. Przez ciebie nie czytali gazet. Pójdą do kicia!

— Nie kłóćmy się! — żona załamała ręce. — Myślmy, co robić!?

— Jak ich wypuszczą, zamieszkamy znów razem, by nie doszło do dalszych tragedii...

— A ja zaprenumeruję im świeży dziennik, by byli na bieżąco!

— Włączę telewizor — powiedziałem stanowczo.

— W takiej chwili!? Oszalałeś!

— Może jakaś amnestia — rzuciłem z nadzieją w głosie

— Słusznie — przytaknęła żona. — Ciekawa jestem, czy amnestię dadzą w kolorze?

— Wiesz co — powiedziałem sadowiąc się przed telewizorem — grunt, że zaczęli myśleć. Myślenie, to podstawa. Zawsze to basałykom mówiłem.

— Tak — przytaknęła żona dostawiając sobie fotel — najważniejsze, że zaczęli. Każdy początek jest przecież bardzo trudny.

DUET „MIRTON—SZEN"

Ten znany łódzki duet piosenkarski tworzy małżeńska para: Jolanta Szen i Jerzy Mirton, która występuje wspólnie na estradach od niespełna sześciu lat.

Nim jednak rozpoczęli oni wspólną pracę, Jolanta Szen ukończyła wydział wokalny w szczecińskiej szkole muzycznej. Właśnie w Szczecinie, a następnie — w Łodzi, stawiała pierwsze sceniczne kroki otrzymując szereg interesujących solistycznych ról w Teatrach Muzycznych obu miast („Baron cygański" — rola Arseny, „Hrabina Marica" — rola Lizy, „Kraina uśmiechu" — rola Mimi itd.). Warto dodać, że Jolanta Szen uzyskała dyplom wokalny u prof. Janiny Wyrzykowskiej, a później kształciła jeszcze głos u prof. Olgi Olginy z łódzkiej PWSM.

Jerzy Mirton natomiast występował na krajowych estradach od 1965 roku, kiedy to uczestniczył jako debiutant w Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Zdobywał estradowe doświadczenie występując z towarzyszeniem różnych zespołów instrumentalnych i w różnego rodzaju programach.

W dorobku duetu „Mirton—Szen" na szczególną uwagę zasługują liczne wyjazdy na zagraniczne tournees. W ciągu kilku lat istnienia duetu wielokrotnie gościli oni w Związku Radzieckim (wybierają się tam znowu w kwietniu br.), Niemieckiej Republice Demokratycznej i Czechosłowacji. Oklaskiwała ich również publiczność w Finlandii i na Węgrzech. Największy jednak aplauz zyskały sobie ich występy za oceanem — w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Przywieźli ze sobą stamtąd plik pochlebnych recenzji: wychodzący w Nowym Jorku „Polish Daily News" zamieszczając ogromne zdjęcie łódzkich artystów pisał: „Duet Mirton sensacją polskiej estrady", natomiast polonijny „Głos Polski" z Toronto (Kanada) tak recenzował pokaz estradowy: „Duet Mirton—Szen" wykazał, że posiada nie tylko dużą rutynę, ale również i talent nawiązywania kontaktu z publicznością, umiejętność przerzucania się z jednego nastroju w drugi. Zaprezentowana wiązanka piosenek była wielkim sukcesem zmuszając artystów do wielokrotnych bisów". Wszystko to pozwala przypuszczać (jeśli dodamy, że duet Mirton do dziś otrzymuje wiele listów od rodaków zza oceanu), że piosenkarskie małżeństwo da jeszcze niejeden koncert dla zagranicznej polonii w tych krajach.

Osobny nurt działalności duetu to występy w kraju. Poza trasami koncertowymi (ostatnio Mirton—Szen brali udział w programie „Łódzkiej Katarynki", a aktualnie postanowili usamodzielnić się i rozpocząć współpracę z własnym zespołem akompaniującym) dość często zobaczyć ich można w programach telewizyjnych takich, jak: „Wielka Gra", „Z najlepszymi życzeniami", a wcześniej — „Piosenka dla Ciebie" i „Postaw się, nie zastaw się". Chętnie uczestniczą także w audycjach radiowych (np. „Podwieczorek przy mikrofonie", „Program z dywanikiem", „Wesoły autobus").

Nie tak dawno dużym powodzeniem cieszyła się piosenka Henryka Debicha z tekstem Cezarego Juszyńskiego „Na urlop jeżdżą zakochani", którą nagrał dla Polskiego Radia duet Mirton—Szen. W najbliższym czasie Jolanta Szen i Jerzy Mirton przystępują do kolejnej sesji nagraniowej i można się spodziewać, że i tym razem wśród nowych pozycji repertuarowych nie zabraknie przeboju.

S. W.

POWIĘKSZENIA

REPORTER Z BALONEM

Z **„Dziennika Popularnego"** dowiedzieliśmy się, że red. **Zdzisław Szczepaniak** sprzedawał balony na balu sylwestrowym. Dochód wyniósł 450 złotych, czyli więcej niż reporter może otrzymać za relację z nocy sylwestrowej.

Nieprawdziwe są natomiast pogłoski, że w **„Dzienniku Popularnym"** pisują sprzedawcy balonów.

NAUKA

Spółdzielnia Pracy **„Lingwista"** ogłasza, że organizuje „Kursy kroju i szycia". W rewanżu Izba Rzemieślnicza zacznie nauczać języków obcych.

JAK SIĘ CZUJE BONIEK?

„Express Ilustrowany" donosi, że **Z. Boniek** czuje się dobrze. Przebywającego w szpitalu futbolistę odwiedziła grupa działaczy i oto relacja: **„czuje się dobrze i ma świetne samopoczucie. Zapytał nawet czy przynieśliśmy mu piłkę, bo się bez niej potwornie nudzi".**

Leżący w szpitalnym łóżku pacjent, który oświadcza, że chętnie by pobaraszkował w pościeli z piłką, kwalifikuje się, naszym zdaniem, do dalszego leczenia.

SEKSUOLOGIA

Seksuolog-amator pisze w „Walce Młodych": **„Własny samochód daje poczucie siły i niezależności, nie mówiąc już o doznaniach erotycznych, które dostarcza automobilistom zgrabna karoseria. Autobusy muszą więc wypaść z konkurencji, choćby dlatego, że mało kto chce spać ze słoniem".**

Walczący seksuolog z „WM" przypomina tego rekruta ze znanej anegdoty, któremu się wszystko z d... kojarzyło.

KRONIKA TOWARZYSKA

Dzięki serii wywiadów w tygodniku **„Radio i Telewizja"** możemy przedstawić w **„Powiększeniach"** nieco plotek z towarzystwa TVP.

Otóż **Olga Lipińska** nie ma kolorowego telewizora, choć realizuje kolorowe programy telewizyjne. **Wanda Konarzewska** od 18 lat kocha tylko swojego męża, a **Marian Kubera** (XYZ) chętnie by gdzieś wyjechał i to zaraz.

Poza tym **Witold Pograniczny** umie robić na drutach, **Tadeusz Sznuk** lubi blondynki, a szef redakcji Sportowej TV, **Andrzej Jucewicz,** nie lubi zastanawiać się nad sobą.

JUSUF DŻAUHAR

BEZDOMNE KOTY

Kiedy tego wieczoru w Kairze rozległo się wycie syren poprzedzające nalot, moja ostatnia pacjentka — na imię miała Daulat — jeszcze nie zdążyła opuścić mojego gabinetu. Wypadało nam pozostać razem aż do czasu, kiedy minie zagrożenie. Dym z papierosów kłębił się i tańczył nad głowami ludzi, ludzi ogarniętych niepokojem i strachem przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Spojrzałem na nią i znowu schowałem się za gazetą. Daulat nie należała do piękności, ale pasowała jej wesoła, zielona plamka na podbródku i przyciągała ku niej uwagę. Ten maleńki, uroczy tatuaż był dowodem tego, że Daulat pochodziła ze wsi.

Ukończyła 20 lat. Grała małe rólki w najpodrzędniejszych teatrzykach, które powstają w sposób nieoczekiwany i utrzymują się przez sezon dając kilka powtarzających się spektakli, a potem przeżywają krach, zaś ich dyrektorzy znikają nie zapłaciwszy biednym aktorom. Dlatego też dziewczyna w poszukiwaniu zarobku musiała liczyć nie tyle na swój talent, co na urodę i ochotę niektórych młodych ludzi trawiących najlepsze lata w kawiarniach przy ulicy Umad-ad-Din, pocałować wesołą, zieloną plamkę na jej podbródku.

Znałem ją już dwa lata, ponieważ mieszkała u mojego przyjaciela Tagira, nieżonatego inżyniera, który pracował w Ministerstwie Komunikacji. Uprzedzał, że przepędzi ją o ile tylko wyjdzie z domu bez zezwolenia. Toteż kiedy pewnego razu, wieczorem, Tagir nie zastał jej w domu, zamknął przed nią drzwi, a ona szlochając przyszła do mnie prosić o wstawiennictwo. Mój przyjaciel był twardy i łzy Daulat nie zmieniły jego decyzji. Nie krył przede mną, że skorzystał z okazji, ponieważ już dawno mu się znudziła i sam szukał pretekstu do kłótni. Jej wygląd wzruszył mnie. Przypominała mi bezdomnego kota, który szuka kryjówki, toteż wyraziłem jej swoje współczucie i próbowałem ją pocieszyć. Od tamtego dnia, gdy przekonała się, że jej nie unikam, zaczęła do mnie czasem przychodzić.

Daulat pojawiała się tylko z zapłakanymi oczyma. Gdy życie uśmiechało się do niej — znikała. Widząc jak jest zmęczona, dawałem jej możliwość wylania swoich skarg i wypowiedzenia swoich obaw. Zauważyłem, że znajduje w tym uspokojenie i pocieszenie. Otwierała przede mną duszę, wzdychała, a wyciągając rękę na pożegnanie, szeptała: „Ostatecznie wszystko jest dobrze — przecież mam przyjaciela". Nie ciążyła mi. Daulat nigdy nie była natrętna, nigdy niczego nie żądała i rzadko przyjmowała te bezzwrotne pożyczki, które jej proponowałem pomimo, że właśnie bieda przygnała ją do mnie. Wstyd nie pozwalał Daulat przyjmować pieniędzy, ale prosiła mnie, abym posłał sługę po kanapki, dziwiąc się przy tym, jak szybko zdołała przetrawić suty obiad i znowu się wygłodzić. Patrząc na wysuszone wargi i słuchając jej słabego głosu, ustalałem, że nie jadła od wczoraj. Głodny blask jej oczu przypominał mi oczy bezdomnych kotów, które cierpiały głód podczas ciemnych, dżdżystych nocy. Obserwując Daulat podczas jedzenia odczuwałem skrytą radość. Czy była to radość podającego jałmużnę, czy też słodycz współczucia dla jej urody rozdeptanej przez los?

Tego wieczoru, kiedy Daulat czekała w moim gabinecie na zakończenie alarmu powietrznego, zadzwonił telefon. Okazało się, że dzwoni moja była narzeczona, której nie widziałem od czasu naszego zerwania i że chce spytać mnie o „moje drogocenne zdrowie". Podziękowałem jej chłodno. Mój gość zainteresował się, z kim rozmawiałem. Kiedy odpowiedziałem, że dzwoniła moja była narzeczona, Daulat otworzyła usta ze zdumienia: nic nie wiedziała o zerwaniu zaręczyn i myślała, że lada dzień się ożenię. Zaczęła mnie wypytywać, a gdy przekonała się, że zerwanie jest z mojej strony nieodwołalne i że na zawsze przepędziłem tamtą dziewczynę z mego życia — umilkła.

Na długo zapadło milczenie, które przerywał tylko monotonny warkot samolotów śmigających w powietrzu w poszukiwaniu celu. Zauważyłem, że Daulat chce coś powiedzieć, ale słowa nie schodzą jej z warg. Wreszcie wymówiła z trudem:

— A więc jesteś teraz wolny?

— Tak — odpowiedziałem.

Wtedy skurczywszy się jakoś ze wstydu, powiedziała:

— Dobrze mnie traktujesz. Wiele razy wspominając ciebie odganiałam myśli o samobójstwie. W tobie moja ostatnia nadzieja. Mieszkasz sam. Czemu nie miałbyś mnie wziąć do siebie? Będę posłuszna, będę ci usługiwać... Nie mówiłam o tym dawniej, bo miałeś narzeczoną, różne domysły mogłyby ci tylko zaszkodzić. Ale teraz mogę cię prosić, abyś uratował mnie od ulicy. Jakże ja marzę o czystym życiu! Jakże chcę odkupić swoją ciemną przeszłość!....

Oburzyłem się, chociaż nie pokazałem tego po sobie.

Żmija! Próbuje przeniknąć w mój dom, w dom człowieka o nieskazitelnej reputacji i czystym sumieniu, który decydował się wychodzić do niej tylko pod osłoną ciemności!

Nie wiedziała, czym objaśnić moje milczenie, czy wezmę ją do siebie, czy nie. Znowu zaczęła mówić drżącym głosem i opowiedziała mi historię swego życia:

Jej matka pochodzi z Saida, z rodziny, której jedynym dobytkiem był honor. Kiedy umarł ojciec, Daulat miała 7 lat, a matka 30. Jej młodość była w pełnym rozkwicie. Rozeszły się słuchy, że odkąd owdowiała, poddała się przestępczej miłości. Cała rodzina zadecydowała, że powinna umrzeć. Wyznaczono czas i miejsce kaźni. Jednakże jakiś podlotek podsłuchał zmowę i uprzedził ją. Matka Daulat uciekła ze wsi i uratowała się cudem. Oto już 13 lat, jak matka, którą miłość wydała zemście żyje w Kairze, gdzie zatrzymała się w połowie drogi między uczciwością a upadkiem. Córka nie minęła jej losu. Matka i córka mieszkały oddzielnie, w różnych dzielnicach i często jedna nie wiedziała, gdzie mieszka druga. Warunki „pracy" i walka o kawałek chleba rozdzielały je niejednokrotnie. Daulat ciągnęła szeptem:

„Krewni trafili na nasz ślad. Oni nie stracili jeszcze nadziei, że nas znajdą. Słyszałam, że są teraz w Kairze. Jeśli znajdą, nie ma dla nas ratunku... Dlatego właśnie prosiłam cię, abyś wziął mnie do siebie. Będę się ukrywać. Nigdy nie wyjdę... Chcę przecież żyć...". Ale ja nie zmiękłem. Coś mówiło mi: „Daulat grała w teatrze, teraz brakuje jej sceny. Czy nie wykorzystuje czasem mojej dobroci i nie wypróbowywuje swego talentu w moim gabinecie?..."

Ta myśl kazała mi miękko przeprosić i odrzucić jej propozycję.

Przyszła znowu po upływie 5 tygodni. Drżała na całym ciele. Znaleźli jej matkę. Kuzyni. Trzech potężnych młodzieńców. Mieli nóż i byli gotowi na oczach wszystkich pchnąć go w jej pierś. Obiecywali przebaczyć, jeśli wróci z nimi na wieś i będzie tam żyć uczciwie, nie handlując sobą. Nie miała innego wyjścia. Musiała uwierzyć im i ukorzyć się.

Zapytałem:

— A czy nie myślałaś o policji?

Roześmiała się, jak gdybym zaproponował coś zupełnie niedorzecznego:

— Zemsta przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, a ci, co się mszczą, nie lękają się nawet katorgi.

Żegnając się Daulat podała mi rękę. Pokornie szła na śmierć. Słaba nadzieja uratowania matki, kazała jej postawić na jedną kartę własne życie. Termin był cztery dni. Potem matka zostanie zabita.

Wyjrzałem przez okno, aby ostatni raz spojrzeć na jej szczupłą figurkę i wydawało mi się, że los już dawno określił jej drogę, po której stąpała teraz. Daulat obiecywała napisać, jeśli mściciele dotrzymają słowa i nie będą zmywać hańby krwią.

I oto minęło już tyle czasu, a nie otrzymałem od niej ani słowa. Czy żyje? A może umarła?

Tłum. z arabskiego
ELEONORA KARPUK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 53. W-2.